

JOZEF IGNACY

KRASZEWSKI

POWIEŚCI HISTORYCZNE

SASKIE OSTATKI

(AUGUST III)

WYDAWN[illegible] RCT

SASKIE OSTATKI

SASKIE OSTATKI

(AUGUST III)

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

TOM I

WYDAWNICTWO M. ARCTA w WARSZAWIE.
1912

I.

Rok 1763 rozpoczął się hukiem i grzmotem straszliwym dział na zamku Nieświeżskim. Jedne po drugich dawały ognia, nabijano, co się zmieściło, zapalano wpośród okrzyków, oblewano kielichami wina, które przy nich spełniano tak nieoględnie, że kilku śmiałków armaty potrąciły i poobalały.

Nie mniejszą wrzawą witała rok nowy Warszawa, w której król August III rezydował jeszcze, ale już mu się uśmiechał powrót do ukochanego Drezna, o którem śnił i marzył.

Mało to zaprawdę obchodziło J. K. Mość, że wycieńczona siedmioletnią wojną Saksonia litości i miłosierdzia woła, że w Polsce rwały się sejmy, ładu nie było, panowała samowola i anarchia, że Brühl wszystko sprzedawał, co kto u niego chciał kupić, a stronnictwa w Koronie i na Litwie zdawały się zapowiadać wojnę domową.

Brühl z jednej strony, Czartoryscy z drugiej, Fleming i Radziwiłłowie—zajeżdżali się, palili, sądzili po trybunałach za infamię, godzili i waśnili, a jak król tymczasem wyśmienicie się bawił, wszystkim wiadomo.

Po niezliczonych miłośnicach, które starannie do kronik za Augusta II wciągano, również, jak liczne jego potomstwo, syn, który odziedziczył wszystkie gusta i nawyknienia ojca, wyrzekł się metres zupełnie.

Napróżno go usiłowano nakłonić, aby jak Ludwik XV po Ludwiku XIV, on też wstępując w ślady swego poprzednika, wybrał sobie jaką Cosel lub Lubomirską.

Nadto był pobożnym, aby jawnogrzesznictwem miał się zwalać, potem zbyt miał zazdrosną żonę i rozumnego kierownika sumienia, który potrafił zapobiedz, aby namiętności za brzegi się nie wylewały.

Mówiono coś po cichu,—nic nie stało się głośnem.

Rozpływał się król nad cudnym głosem Faustyny, słuchał jej rozkazów, lecz... królowała tylko w teatrze... Zresztą miał August III czem zastąpić rozkosze zmysłowe, nie potrzebując się ani kryć, ani wstydzić namiętności do łowów, upodobania w muzyce, nawyknienia do słuchania grubych i tłustych żartów nadwornych błaznów, trefnisiów i ulubieńców; miłośnictwa obrazów, czci dla Rafaela, miłości dla pokutującej Magdaleny, naostatek i rozkochania w tej-fajce, z którą August II jeździł po lipskim jarmarku...

Wszystko złe, okropne, smutne, rozpaczliwe spadało na ramiona ulubieńca Brühla; on dźwigał wszelkie ciężary, on połykał wszelkie gorycze, on miał odpowiadać przed potomnością. U drzwi J. K. Mości stała straż, która, gdy włożył szlafrok, nie puszczała nikogo, oprócz o. Guariniego, ministra Brühla, królowej i powołanej służby...

Nie przechodziły tego progu ani pisma, ani ludzie, ani jęki, westchnienia, ni pochlebstwa, ani śmiechy i paszkwile.

Przed oknami król miał plac tak strzeżony, jak drzwi; pokazywano mu na nim tylko to, co chciał widzieć, zakrywano, coby go zafrasować mogło.

Przed oknem tem wieczorami, gdy król nie miał polowania, albo powrócił niem nie syty, rzucano konie zdechłe, do których się przywlekały psy zgłodniałe... a król mógł do nich strzelać wygodnie.

Bawił się też oswojonym, ulubionym krukiem, a czasem i psami, ale od czasu jak się dowiedział, że Fryderyk pruski hodował charty, odpadła go ochota zajmowania się niemi.

Czas upływał tak, wyśmienicie podzielony na nabożeństwo, odżywianie i napijanie, łowy, śmiechy, słuchanie Faustyny i przyjmowanie gości, z Saksonii i Polski

napływających, gdy Brühl im wnijść z sobą dozwalał, że król August nudzić się nie miał czasu. A mimo to tęsknił!

Wprawdzie lasy polskie i litewskie mogły mu zastąpić te, które rosły pod Huberzburgiem, Moritzburgiem i w oddalonych zakątkach Saksonii, żubry warte były jeleni, ale galerya obrazów, którą tak kochał, którą zebrał takim kosztem, stała zamknięta w Königsteinie i jedna tylko Magdalena towarzyszyła królowi na polskiem wygnaniu; ale nie miał tu takiego teatru, jak w Dreznie, na którymby tryumfy Aleksandra Wielkiego rozwijać się mogły, ani pysznej bażantarni z teatrem letnim w zieleni, ani swych śpiewaków, ani swego kościoła... ani swego Drezna!

Wielkie maskarady, karuzele, jarmarki, które tak swobodnie się obracały w saskiej stolicy, na warszawskim gruncie obracać się nie umiały.

I ci kontuszowi poddani J. K. Mości, tak śmieli i krzykliwi, nie byli mu tak ulubieni, jak jego spokojna szlachta saska, która słuchała nie rezonowała, nie upominała się o nic i dawała zastępować na najwyższych dostojeństwach przez Włochów, Francuzów, przybłędów ze świata całego.

Pomimo pilnej straży, którą Brühl sprawiał u królewskich podwoi, wciskały się zuchwałe memoryały hetmana Branickiego przeciwko ministrowi Brühlowi, skargi na jego chciwość, przekupstwa, zaskarżenia i potwarze.

Odrzucał je wierny swojemu ministrowi król z oburzeniem, darł je i deptał, ale psuły mu one humor, stanowiły choć krótko trwającą, lecz dysharmonijną nutę.

Nadzieja więc powrotu do Drezna po kilkoletniem z niego wygnaniu, uśmiechała mu się bardzo... ale Brühl wielce rozumnie nie chciał go tam puścić, dopókiby okrutne ślady zniszczenia, jakie mściwa ręka Fryderyka zostawiła po sobie, usunięte nie zostały.

A nie było to łatwem. Saksonia wychodziła z pod jarzma obcego, jak męczennica, którą puszczono po torturach okrwawioną, wynędzniałą, bezsilną. Ślady pruskich rąk wypiętnowały się na zamku, w mieście, a najstraszliwiej wypiekły na Brühlowskim pałacu i grodach.

Tu wszystko stało w ruinach. Królewski przepych pierwszego ministra leżał w gruzach, zasypany śmieciem. Ledwie się z niego to dało ocalić, co się trwałością swą oparło plądrującym żołdakom.

Drezno miało czas zapomnieć, że niegdyś było najrozkoszniejszem, najweselszem, najożywieńszem miastem w Europie, że miało karnawały, podobne do Weneckich, dwór, przypominający Wersalski, króla, który chadzał cały w brylantach.

August III, powracając, nie powinien był zastać tego, co przed nim tajono. Przez cały ciąg wojny król wiedział tylko o powodzeniach, nie słyszał o klęskach, nie wierzył w nie. Gdy niespokojny zapytał Brühla czasem znienacka:

— Mamyż pieniądze?

Minister z oburzeniem odpychał posądzenie samo, iżby ich mogło zabraknąć. I mógł na to zapytanie „mamy“, nie kłamiąc, zaręczyć, że je mieli, bo jego skarbca nawet wojna siedmioletnia wyczerpać nie mogła. Brühl miał pieniądze. Opłacano mu każdy urząd koronny i litewski, każdy przywilej, który król podpisał, każdą łaskę, każde żądanie spełnione. Brał pieniądze od przyjaciół i od wrogów, którzy równie jak pierwsi, opłacać mu się byli zmuszeni.

Niekiedy tylko kamerdyner królewski, naśladując Brühla, rano, nim nadszedł minister, podsunął coś N. Panu do podpisu i August III, paląc fajkę, z uśmiechem dziecka, które figiel płata, zamaszysto kładł na nim swe imię, grożąc na nosie...

Składano na faworyta kruka, że on te arkusze przekradał.

Brühl tak, jak się osiedlił w Saksonii, umiał zakorzenić się w Polsce, wywieść od Brühlów z Ocieszyna i syna uczynić Polakiem, starostą i generałem wojsk Rzeczypospolitej.

Nigdy cynizm nie rozpościerał się zuchwalej na wysokim i na widok całego świata wystawionem stanowisku.

W przededniu, gdy się wygnanie polskie skończyć miało, gdy się król i minister powinni byli cieszyć z tego, co uratowali, gdy bić potrzeba było we dzwony i śpiewać Te Deum, niestety! jakieś przeczucia czarne opanowały wszystkich.

Brühl chodził zżółkły, posępny i struty. Dławili go Czartoryscy... Augusta III dusiło wspomnienie pruskiego bohatera Fryderyka; w Polsce, gdy się pozbyciem Sasów radować chciano, jakieś przewidywania klęsk i zawikłań chmurzyły najpogodniejsze umysły.

August myślał czasami o swej rodzinie, chcąc ją na tronie elekcyjnym ubezpieczyć, a od północy, która mu się z przyjaźnią oświadczała, nie wiele jej dowodząc, grzmiało i błyskało jakąś grozą... Zapowiadano stamtąd jakiegoś tajemniczego następcę, którego obawiali się wszyscy.

Atmosfera była duszna i ciężka.

W Rzeczypospolitej naprawdę nie rządził już król, nie władał nią zręczny Brühl; rządzili się Czartoryscy, familia, zamącali nią Radziwiłłowie...

Po pałacach i dworach popijano i popuszczano pasów od rana do wieczora, ucztowano po refektarzach klasztornych, często na wązkiej grobli u młyna, w lesie, na po'ance spotykać było można rozstawione stoły i improwizowaną biesiadę dwu nie marnujących czasu senatorów, których potem dla kontynuacyi podróży niesiono uśpionych do karet, aby wczas stanęli na ufundowanie Trybunału.

Czasu trybunałów sądzono na gardło, ale obok po szopach wyprawiano lukullusowe gody, na których beczka starego wina, pięćset czerwonych złotych wartująca nie była rzadkością.

Cóż za dziw, że podchmieliwszy sobie panowie o północy dzwonili do furt panien zakonnic?...

Było tu wogóle tak wesoło, że czasem wesela od pogrzebu rozeznać nie było podobno. Z równym przepychem odbywały się jedne i drugie, ale ślubów nie brano na seryo... Rozwody były tak łatwe, jak małżeństwa kruche. Po Auguście II zostały tradycye i spadki galanteryi.

Tylko w głębokich zaciszach oddalonych prowincyi po staremu świętym był związek małżeński, w stolicy i miastach służył on za narzędzie spekulacyi i rozpuście.

Nigdy się może w przededniu bankructwa nie sypały, nie płynęły takim strumieniem wezbranym pieniądze, jak w owych czasach, nigdy nie kochano się w takim przepychu jaskrawym i świecącym.

Dwory panów wyglądały na monarchiczne, a wojska ich liczyły się na tysiące; szlachta kusiła się na pańską postawę. Tylko niekuśliwy kmieć pozostał, jak był, ze swą rzepą na zagonie wyjałowiałym, w wytartym kożuchu, w podartej siermiędze, z chatą na wpół w ziemię zapadłą.

Duchowieństwo, co z łona szlachty i panów rosło, nie było od niej różne. Na jednego Konarskiego, iluż było Massalskich, co chodzili we frakach przy szpadach i grywali po całych nocach w faraona!

Język Kochanowskich, zduszony łaciną, konał w jej objęciach. Drukowano na bibule obrzydłe panegiryki, pojąc się niemi, jak gorzałką. Po miastach, po pałacach, po dworach językiem modnym był francuski, w handlu szwargotano po niemiecku, w klasztorach i po trybunałach posługiwano się łaciną, polski język zszedł na folwark i do przedpokoju.

Książka też walała się zapomniana i była obumarłą, bez życia. Co najwięcej czytano kalendarz Duńczewskiego, edukowano się na ziemianinie Haura. Stare piosnki latały z obłamanemi skrzydłami w powietrzu.

Niepokój jakiś panował w umysłach. Co to będzie? z cicha pytali jedni drugich, a nikt odpowiedzieć nie umiał. Wiedzieli tylko wszyscy, że tak, jak było, pozostać nie mogło. Anarchia doszła do tego stopnia, że tak długo potrwać nie mogło. Ci, co ją mnożyli, wiedzieli, że jutro jej coś kres położyć musi.

Król i Brühl patrzyli, tęskniąc, w stronę Drezna, inni na północ się oglądali, inni gotowali dla siebie korzyści z nieładu.

Magnatom śmiała się korona. Tak panować, jak August III, potrafiłby z nich prawie każdy!

Zmiany, którą czuli wszyscy nadchodzącą, nikt przyśpieszyć nie miał odwagi, nie pragnął. Gmach porysowany, strzaskany, mógł się im obalić na głowy!

W saskim pałacu nie pakowano do podróży, w Brühlowskim stało jeszcze wszystko tak, jakby się ruszyć nie miało.

Powódź nieładu i burzliwe fale anarchii nie dochodziły do spokojnego pałacu saskiego. Oblegano Brühla, do króla nikt się nie dobijał; saska gwardya broniła przystępu.

W stolicy cień jeszcze jakiś władcy czasem czuć się dawał; dalej za rogatkami tylu było panów, ilu magnatów nimi być chciało. I były państwa Czartoryskich, Flemingów, Brühla, Potockich, Radziwiłłów, Ogińskich, Lubomirskich lub skojarzonych małżeństwy i pokrewieństwy.

Na każdy sejmik ciągnęły obozy, na każdym się rozpoczynała wojna, często przelewała krew, i zwyciężeni uchodzili do domów, wpisując do akt stosy manifestów.

Nigdy tyle papieru nie zapisano napróżno. Siła rządziła i robiła, co chciała, ale w ważność i znaczenie papierów wierzono święcie.

Pisano, jak mówiono i pito, bez miary. Każdy sejmik kończył się manifestem, każdy sejm nim zrywał. Każda czynność nim groziła, a kto umiał wykrętnie piórem władać, jak szablą, ten sobie łatwo torował drogę na świecie.

Stylu nie wymagano, ale zwinności myśli i giętkości sofizmatów. Kto umiał władać konstytucyami, korektorami, studentami, ten stał górą. W ostatnim razie dopiero, gdy nie stało argumentów, szabla je zastępowała.

Był wieczór; król w swoim gabinecie czekając na światło, odpoczywał w szlafroku jedwabnym tureckim, lekkiem futerkiem podbitym, z fajką dopalającą się w ustach. Naprzeciw niego na ścianie, nie wysoko, wisiała ukochana Magdalena pokutująca, otoczona ramką srebrną, pozłacaną i wysadzaną kamieniami drogiemi. Magdalenie nie było zbyt do twarzy w tej oprawie, ale świadczyła ona dotykalnie o czci, jaką J. K. Mość miał dla arcydzieła.

Wystawiało ono cudnie piękną grzesznicę, jeszcze świeżuchną i pulchną, więc chyba dopiero od godzin kilku zamieszkującą chłodną pieczarę, u której wnijścia spoczywała, zaczytana w ogromnej księdze.

Byłaż to pokutująca Magdalena ta, która godną

stała się, aby jej Chrystus powiedział, iż wiele przebaczonem jej będzie, bo wiele kochała?

Malarz nie myślał podobno o tem, aby ją uczynić świętą, ale chciał i zrobił ją piękną. Król się kochał w tej piękności.

Magdalena mu towarzyszyła wszędzie i teraz na wygnaniu. Powracać z nim miała do Drezna. Król patrzył na to arcydzieło, jak gdyby z niem rozmawiał—i zadumany milczał.

Był to ten sam August, którego postawa, twarz, wdzięczne ruchy młodzieńcze powszechną budziły dla niego sympatyę na dworze Ludwika XIV, ten sam, którym zachwycały się arcyksiężniczki austryackie,—który, gdy chciał pozyskiwał sobie serca męskie i niewieście, ale ostatnich nie dopuszczał do siebie, by mu spokoju drogiego nie zamąciły.

Przestrzegała go ojcowska przeszłość i skarb wycieńczony na Cosel, na X. Cieszyńską, Denhoffową, Königsmark i tyle innych, przestrzegał ojciec Guarini, pilnował zazdrosny Brühl, zasłaniała pobożna królowa Józefa. August III nie chciał znać płochych kobiet.

A pomimo to piękny ów król dziś bardzo się zmienił, niepodobnym był do siebie.

Siedmioletniej wojny nie brał zbytnio do serca. Klęski nie dochodziły do niego. Siedział spokojnie w Warszawie, gdy drudzy bili się za niego, polował, napawał się muzyką—i zestarzał od tej bawełny, w którą go Brühl obwijał tak starannie!

Oczy jego zgasłe nie miały blasku, usta blade uśmiechać się oduczyły prawie, policzki były nabrzękłe i obwisłe, powieki jakby napuchłe, całe ciało ociężałe zdawało się usuwać i opadać ku ziemi.

Często usypiał, siedząc, a ziewał nawet gdy Faustyna śpiewała; i czoło, dawniej wygładzone, marszczyło się i fałdowało, jak u prostego biedaka.

Z poza uśmiechu, który nałogowo się zjawiał na jego twarzy i ustach, wyglądał strach jakiś i okrutna tęsknica, której nic nakarmić nie mogło.

Spoglądał z obawą nawet na Brühla, którego kochał i bez którego żyćby nie mógł.

Wyjazd był postanowiony, w Dreznie oczekiwano, ale jak tu było tę polską Rzeczpospolitą rozkołysaną, swawolną, porzucić na łaskę i niełaskę Czartoryskich i Radziwiłłów?

Nie można było zaręczyć wszakże, czy król myślał o przyszłym Trybunale, który się tak burzliwym obiecywał, jak był Wileński, czy o chybionym strzale do sarny, czy o operze, którą dla niego w Dreznie, na nowym teatrze obiecywano. Miałaż to być Semiramis czy Artemiza?

Wsparty na ręku, głęboko się zaciekał w te problema, z których rozwiązania czyniono mu niespodziankę!

U progu stał Brühl, ale to był też cień tego Brühla, który w przededniu wojny świeży, wesół, rumiany, pachnący—przynosił Augustowi na twarzy i w ustach zapewnienie szczęśliwego i swobodnego panowania!

Znękał go pogróżkami Fryderyk, zmęczyli uporem Polacy, zabrali mu żywot Czartoryscy, oczernił potwarzą hetman Branicki.

A w Saksonii nie wszystkich swych wrogów mógł osadzić w Königsteinie!

Był melancholicznie smutny; i jemu przeczucie zabijało oddech, ale przed królem nawykł był wszystko malować różowo.

Zwolna August III zwrócił ku niemu oblicze i wzrokiem zdał się prosić, aby go pocieszył.

— Brühl! co ty mówisz? co myślisz? Gdy my dwaj tę nieszczęśliwą Rzeczpospolitę porzucimy, opuścim, oni się tu pozajadają!

Minister pomilczał trochę.

— N. Panie—odezwał się cicho, bo wiedział, że i jego ktoś mógł podsłuchiwać,—gdyby ich się trochę pozjadało, przerzedziło, szczególniej burzliwych, sądzę, żebyśmy na tem niewiele stracili.

Uśmiechnął się król i pogroził.

— Czartoryscy szczególniej—dodał Brühl—niezmier-

ną butą gorszą i niepokoją. Gdyby im rogów przytarto, lżejby wszystkim było!

— A któż to potrafi—przerwał August,—jeżeli prawdą jest, że liczą na czynną pomoc cesarzowej?

— Chwalą się nią, ale cesarzowa—dodał Brühl—nie będzie śmiała wkroczyć bez przyczyny, a nie jest wam N. Panie niechętną.

— Mamy przeciwko nim księcia miecznika, raczej wojewodę wileńskiego,—poprawił się król—to zuch nieulękniony!

— Aż do szaleństwa śmiały—rzekł minister—to p awda, na Litwie mąci też i on, tak, że na niego wszyscy się uskarżają.

— Ja go bardzo lubię, Panie Kochanku!—zaśmiał się August III.—Litwa za niego dałaby życie!

— Poi ją całą—rzekł Brühl,—i wino daje dobre.

— A jak strzela i na niedźwiedzia idzie z oszczepem! —wykrzyknął król.—Pójdzie i na Czartoryskich!

— Pokaże się to na wileńskim Trybunale, bo tam się oni zetknąć muszą.

— A biskup Massalski oleju do ognia doleje,—szepnął August.

— Mnie się zdaje, że ich samych sobie zostawić potrzeba—odparł minister.

Król pomyślał trochę.

— Domagają się senatorowie, abym posłał od siebie pośrednika, coby ich jednał.

— A któż podejmie się tego?—zapytał Brühl.—Między dwu takich zapaśników słabemu iść—zgniotą go!

Król spojrzał na niego, szukając rady.

— Hm?—mruknął.

— Biskup kamieniecki wprawdzie się stręczy— dodał Brühl.

Na wspomnienie Krasińskiego, czoło króla powlokło się chmurką; nie odpowiedział nic.

— Wiesz—począł, odpocząwszy, zmieniając nieco kierunek—com ja nie czynił dla pojednania was wszystkich! Czartoryscy i ciebie prześladują!

— Tchnąć mi nie dają, ale przy Twej opiece, N. Panie, nic mi zrobić nie mogą, błotem tylko ciskają na mnie a ich płatni pisarkowie, paszkwilami mnie ścigają.

— Wiem, wiem—przerwał król—każ je katowi palić na rynku, pozwalamy ci! Niewdzięczni są!

— O, ten Trybunał, ten Trybunał się nie obejdzie bez przelewu krwi — dołożył Brühl, który się rozgrzewał.

Nagle August III spuścił głowę.

— Posłałeś do Drezna?—spytał.

— Posyłam codzień—zawołał minister.

— Teatr będzie gotów?

— Dniem i nocą kończą,—zapewnił Brühl.

— Galerye przewieźli z Königsteinu?

— Cała jest już w Dreznie——zapewnił minister.— Madonna na swem miejscu.

Król, słuchając, złożył ręce.

— Kiedy ja nareszcie, stęskniony, to arcydzieło boskiego mistrza zobaczę!—zawołał głosem rzewnym. Śniła mi się nieraz w jasności niebieskiej nade mną. Czułem ją, a oczów podnieść nie śmiałem. Aniołowie ręką jego prowadzili, gdy ją malował.

Głos mu drżał, gdy to mówił i zniżywszy go, jakąś myślą wstrzymany, zamilkł. Zdało mu się, że Brühl, który miał też galeryę, mógł być zazdrosnym. Chciał pocieszyć wiernego sługę.

— Ale i ty, mój poczciwy Brühlu,—rzekł—masz obrazy bardzo piękne, i tobie nic z nich, spodziewam się, nie zginęło.

— Nic—odparł minister.

— Ten Dietrich—rozśmiał się August weselej—choć cudownie małpuje mistrzów, ale na Rafaela się nie porywa; toby było świętokradztwo!!

— Dietrich jest przecież niepospolitym malarzem— odważył się dodać Brühl.

— Ja go też cenię!—rzekł król.—Ho! ho! ale niech Holendrów się trzyma.

I znowu rozmowa przeszła na wyjazd króla.

— Warszawy żałować nie będziemy, ani stękać po niej—mówił minister.

— Lasów mniejszych i Saksonia nie ma—rzekł August.

— A nasze buki, N. Panie.

— A ich dęby?—odparł król.

Stojący za drzwiami sądzić mogli, że tu o największych zagadnieniach polityki europejskiej była mowa i narada, bo nikt może nie wiedział, w jak małej dozie August III znosił poważne sprawy. Do nich przecież służył mu Brühl.

On odpędzał od siebie te czcze troski, które dziś pozbyte, jutro powracały. Dla niego one nie miały wagi. On z łaski Bożej wyznaczony był, aby dwa państwa starały się go uczynić szczęśliwym za to, że je wspaniale, majestatycznie reprezentował.

Bolała go strata prowincyi, zwycięztwa Prusaka, lecz czemże to było? Chwilową fanaberyą losu... który nieochybnie powiać miał wkrótce pomyślnie nad dynastyą saską.

Poco miał mówić o tem, co go gryzło i męczyło.

Brühl widocznie miał na dnie coś, czego wydobyć brakło mu odwagi.

— N. Panie—odezwał się, przystępując bliżej stolika—nie chciałbym trudzić W. K. Mości, ale dla zapobieżenia, aby się to nie odnowiło, chciałbym wiedzieć, jakim sposobem uzyskano dwa podpisy na starostwo Radoszkowskie? O jeden z nich jam prosił W. K. Mości.

— No i podpisałem go—zawołał król.

— Tak, ale się znalazł i drugi, również podpisany—rzekł minister.

— Ja nic nie wiem o tym drugim—odparł król, poważniejąc,—nic a nic!

— Podpis nie ulega wątpliwości—potwierdził Brühl.

Zamyślił się król

— Ty wiesz, jak ja je podpisuję—rzekł naiwnie.—Przynosisz mi je, składają się oto tu, na stole, zrana biorę się do tej nieznośnej mi pańszczyzny. Czasem pięćdziesiąt razy każesz mi się podpisywać.

— Są to nieodstępne od panowania obowiązki—wtrącił Brühl z użaleniem.

— Obowiązki! obowiązki!—dodał August seryo.—Po śniadaniu siadam i z kolei kładę na każdym arkuszu imię swoję. Nie czytam ich, nie patrzę, bo ufam tobie; mógłbym na siebie wyrok podpisać—wierz mi!

Brühl się w piersi uderzył.

— Na mnie W. K. Mość, na starego sługę swojego, spuścić się możesz bezpiecznie.

— I spuszczam—dodał August.—Któż to wie, jak się dostał na stół ten przywilej.

— N. Panie—zniżając głos, rzekł minister—ludzie obwiniają o to Beringa!

— Ale on też jest moim starym, wiernym sługą!—przerwał król, zapominając się, że na równi go nawet stawił z Brühlem i mógł obrazić. W tejże chwili obawa go przejęła i podniósł się, biorąc ministra w swoje objęcia.—Brühl, rozstrzygnij to jak chcesz, na ciebie to zdaję.

Minister ruszył ramionami.

— Książę kanclerz zapieczętuje oba—dodał żywo—nie ulega wątpliwości, aby mnie i wam N. Panie nie przysporzył kłopotu. Dwu starostw Radoszkowskich niema.

— Wpiszcie mu inne —odparł król.

— Kanclerz wyśmiewa się już—szepnął Brühl.

— O niegodziwy! niemiłosierny!—zajęczał August.—To mnie tylko pociesza, że wojewoda wileński pomści się za mnie.

Brühl, jakby niebardzo temu ufał, zamilkł. Wniesiono uroczyście światło. Król nieco oczy przysłonił i milczał.

— Tokarnię—rzekł—wyprawić do Drezna; jam do niej przywykł już. Chociaż nie wiem, czy toczyć będę... nogi mi puchną.

— To przejdzie—odparł Brühl—a tokarnia nas uprzedzi.

— Myśliwstwo wypraw całe; pocoby ono tu zostawać miało?—dodał tęskno.—Ja nie wiem, czy tu kiedy powrócę. Sejmy mi zrywali wszystkie. Może gdzieindziej szczęśliwszym będę z niemi. Zwoływać je będziemy do Wschowy, do...

Zamyślił się król.

— Gdyby nie Prusacy—przerwał Brühl—bylibyśmy się postarali o to, aby je zwoływać bodaj do Drezna. Wszystko byłoby przygotowaniem do *coup d'etat*. Dziś się obawiam, aby nie było zapóźno; rozzuchwaliła się szlachta.

— A krzykliwi—wtrącił August—i głosy mają tak dysharmonijne; każdy z innego tonu.

— A im z nich kto otylszy, tem cieńszym śpiewa dyszkantem—rzekł Brühl.

— Masz słuszność! masz słuszność!—począł August III, uradowany tem spostrzeżeniem.—Wszyscy niemal mają głosy Parqualliniego.

Palec przyłożył do ust; roześmieli się oba. Lecz już go rozmowa z Brühlem znużyła, wyciągnął się na krześle i poziewać zaczął. Spojrzał na zegar, który wieczorną wybijał godzinę; rozjaśniło mu się oblicze. Potem już tylko pozostawały modlitwy z kapelanem i błogi spoczynek! A we śnie mogło przyjść widzenie Drezna... i odnowionego teatru, świecącego od barw jaskrawych i złota!

Brühl zabierał się odejść, ale go powstrzymał przy sobie. Miał jakieś tajemnicze życzenie, które choć sami byli, cichuteńko mu szeptał długo do ucha. Uspakajał go minister.

Otworzono drzwi do jadalni... i Brühl zaproszony, pociągnięty, musiał iść za panem, aby patrzeć, jak łapczywie, z chciwością apetyt żarłoczny nasycał. Pod koniec zapomniał nawet o ministrze, który się wysunął po cichu.

Skąd pochodził właściwie pan Klemens Tołoczko, niegdy porucznik, potem rotmistrz janczarów, nareszcie buńczuczny polnego hetmana litewskiego, Sapiehy, podstarości grodzki wołkowyski? Czy zabłądził od Smoleńska do Wołkowyska, czy z Wołkowyskiego w Smoleńskie,—zdania były podzielone.

To pewna, że począł z małego i że nie miał tak, jak nic, gdy go pan Piotr Zawadzki, przyjaciel jego, polecił

hetmanowi Wiśniowieckiemu i wziął pod swe rotmistrzostwo do janczarów, naprzód go kreując porucznikiem.

I tak się jakoś dobrze umiał akomodować panu Piotrowi Zawadzkiemu, póki on żył, księciu hetmanowi, dopóki go stało, że się do rotmistrzostwa dobił. Potem już rósł o własnych siłach.

Mężczyzna był urodziwy, jak na janczara przystało; zbudowany krzepko, silny, a gdy swój strój janczarski włożył i wymuskał się, oczy wszystkich kobiet za nim biegały. Pięknym tak bardzo nie był, ale miał coś w twarzy i postawie pociągającego, a z ludźmi się umiał obchodzić, iż się zbytnio nie uniżając przed niemi, zyskiwał ich sobie.

Wszyscy mu tę sprawiedliwość oddawali, że w towarzystwie wesołem nie było człowieka nad niego. Do zwady nigdy nie dawał okazyi, owszem, nie jedną złagodził i do kiereszowania się nie dopuścił, ale mu na męstwie nie zbywało. Przytem i głowę miał tęgą, co się zowie, bo prawnikiem nie będąc, w interesie bodaj najzawilszym zawsze sobie radę dał, nie potrzebując jej szukać u drugich.

Pięknej prezencyi swej winien był zapewnie, iż hożą i majętną, bo oprócz posagu, wiosek parę dobrych miała po rodzicach, pannę Kołłątajównę, chorążankę wołkowyską zaślubił. Żyli z sobą szczęśliwie, ale krótko, bo żona mu, na przeżycie się z nim opisawszy, wprędce, zapisy zostawiwszy, zmarła.

Został tedy posesionatus już wołkowyskim, a tu jak się prędko umiał wcielić w obywatelstwo i stać ulubieńcem szlachty dziwnemby się zdało, gdyby nie osobliwe przymioty, jakiemi go Bóg obdarzył.

Rósł w oczach. Wczoraj niemal jeszcze nieznany, niepopierany, sam, jak palec,—ani się obejrzeli, jak im się stał wszystkim potrzebnym, że bez niego było ani stąpić.

Przez żonę swą Kołłątajównę, koligacye i pozawiązywane stosunki, związał się z braćmi szlachtą takim węzłem, jakby z jednego z nimi wyszedł gniazda.

Innemu tak jak na drożdżach nagle wyrastającemu, za-

zdrościliby drudzy, a szukali w nim, czemby go zmniejszyć mogli; ten, że dumnym wcale nie był, każdego poszanował, nie uchybił nikomu, więc mu się wszyscy ustępowali. Nie było w powiecie człowieka, coby go nie znał, nie bywał u niego, nie zapraszał do siebie, a nie cieszył się, gdy go miał. Nosili go na rękach.

Rotmistrzowską kopertą zdawał się być zaspokojony, i o inny tytuł się nie starał; choć człowiek w sile wieku i właśnie w tej porze życia, gdy ambicya ludzi popycha, nie dobijał się żadnych funkcyi publicznych.

W domu u niego było czysto, dostatnio, pięknie, dla gości zawsze drzwi i serce otwarte, ale skromnie i po szlachecku. Jednego mu brakło,—to urodziwej i miłej, jak i sam gospodyni, której mu życzyli wszyscy. Mawiał w początku, jakoby z żalu po chorążance nigdy się żenić nie miał; pot m, gdy nań nalegano, że gotówby, ale mu się nie wiedzie i szczęścia nie ma.

W sam j rzeczy nadchodził dla niego wiek, kiedy pospolicie żenią ludzie, a nie człek sam siebie.

Wszyscy szukali żony dla Toloczki. A nie mogło być inaczej, gdyż Sapieha, hetman polny litewski, raz wraz się nim posługiwał, a więcej może jeszcze sama pani hetmanowa, która mężem rządziła, domem i ludźmi trzęsła, bo była do tego stworzona.

Znała ją korona cała, gdy jeszcze była za pierwszym mężem Lubomirskim. Liczono ją do najpiękniejszych niewiast swojego czasu, gdy na nich nie zbywało na wielkim świecie. Ta piękność przymnożyła jej przyjaciół i niechętnych, zwłaszcza między współzawodniczkami. Umiała się też nią posługiwać, tak, że kogo sobie zjednać chciała, pewnie się jej oprzeć nie mógł i czyniła potem z nim, co się jej podobało.

Zdolną była i śmiałą nad podziw, ze złośliwych ludzkich języków wiele sobie nie czyniąc.

Po śmierci pierwszego męża, Lubomirskiego, nic dla niej ła wiejszem nie było, jak się wyswatać raz drugi. Młodziutką ją odumarł; piękna jak anioł, majętna, mogła wybierać między pretendentami. Naówczas wybór je. padł na Sapiehę. Nic mu zarzucić nie było można, okrom

tego, że na mężczyznę za miękki był i powodować sobą dawał łatwo. Lecz właśnie to może dla jejmości było najpożądańsze.

Więc wydawszy się za Sapiehę Aleksandra, wojewodę połockiego, umysłem jego, równie jak sercem owładnąwszy,—już nad nim panowała.

Nim zaś do tego przyszło, mówiono, że i młody Brühl, generał artyleryi i stolnik litewski, urodzony z Czartoryskiej, głowy dla niej potracili. A komu ona raz głowę zawróciła, ten się niełacno wyzwolił i wytrzeźwił!

Wraz z mężem swym albo raczej zastępując go, jęła się jejmość prowadzić czynne życie, nie dając spoczynku dużo powolniejszemu księciu.

A czem naówczas było życie takiego pana, wysokie dostojeństwo piastującego, skoligaconego z możnemi rody, które rej wodziły w Rzeczypospolitej,—to opowiedzieć trudno. O spoczynku tam myśleć nie było co. Samemi zabawami na śmierć się było można zamęczyć, gdyby do nich od młodości nie nawykli.

Nie miał taki pan wytchnienia ani na chwilę. Wybierano ich do trybunałów, na sejmy, na sejmiki, do komisyi, do sądów polubownych. Mało który nie miał wielkiego procesu, odziedziczonego po rodzicach. W sporach też familijnych od stawienia się, pomagania wymówić się nie było podobna.

Ledwie z Warszawy przybywszy, konie wyprzężono, musiano je już do Lublina, Piotrkowa, Wilna lub Nowogródka zaprzęgać. Wesela też, pogrzeby i tysiączne okazye wyciągały z domu.

Takim właśnie życiem przyszło żyć księżnie hetmanowej, która najczęściej z mężem rezydowała na zamku w Wysokiem. Z nią tu jeszcze ruchu i wrzawy przybyło, bo i wdzięki księżnej ściągały i ona rada była, gdy się koło niej gromadzono i gdy mogła potem przez ludzi intrygi różne rozwiązywać, a nieustannie coś marzyć, coś robić lub odrabiać.

Poznawszy rotmistrza Toloczkę, który niezmiernie usłużny był i baczny, a hetmanowi oddany, pochwyciła go pod swoją komendę i już z niej nie wypuściła.

Następowało właśnie w tym roku fundowanie Trybunału wileńskiego, na które Czartoryscy ze swej strony, Radziwiłł, wojewoda wileński, ze swej, z ogromnemi siłami i wysiłkiem się przygotowywali; więc jakżeby hetman polny i hetmanowa mieli na stronie neutralnymi pozostać?

Król wszelkiemi możliwemi sposobami pragnął gorszącemu konfliktowi dwóch stronnictw zapobiedz. Słał z pośrednictwem do układów Krasińskiego, biskupa kamienieckiego i Brzozowskiego, kasztelana połockiego.

Co żyło na Litwie, zbierało się też albo Czartoryskich popierać, lub z Radziwiłłem trzymając, z nim ciągnąć.

Po której stronie miał być hetman Sapieha, niby to wątpliwości nie ulegało. Wypadało mu z Radziwiłłem stanąć, chociaż z sobą niebardzo sympatyzowali, szczególniej księżna, której się grubijaństwo księcia wojewody nie podobało.

Ufając w protekcyę króla, który namiętnych myśliwych i pańskiego animuszu Radziwiłłów lubił bardzo, rodzina książęca, do panowania na Litwie nawykła, nie znosiła tu nikogo na równi. Czartoryscy zaś, ufni w przyrzeczoną pomoc czuli się silniejszymi nad Radziwiłłów wszystkich z księciem wojewodą, Panie Kochanku, na czele.

Książę kanclerz z pogardą odzywał się o księciu Karolu i jego „Pandzie". Z obu stron przyjaciele nosili odgróżki, ostre słowa i wyzywania.

Sapieha i żona jego nie byli dobrze z księciem wojewodą, który jej samej nie lubił i grubiańsko to czuć dawał. Z Czartoryskimi niebardzo wiązać się też chciano; hetmanowa radziła mężowi stać na stronie, czekać ewentów i z nich korzystać.

Oboje wybierali się do Wilna, chociaż aby na fundowanie tego Trybunału ruszyć z dobrej woli, na to potrzeba było niepospolitej determinacyi. Ale któż jej ma więcej nad kobietę, której wszyscy służą na klęczkach?

Książę hetman miał siła sług, przyjaciół, rezydentów z dodatkiem nowych i tych, których mu żona przyniosła

z sobą, a pomimo to księżna Magdalena trwożyła się, że ludzi nie miała.

Często zaglądający do Wysokiego, do księcia Tołoczko, zdawał się bardzo zręcznym i mogącym się przydać, szczególniej teraz w Wilnie. Szło o to, czy pan rotmistrz zechce się zaprządz w służbę hetmanowej, która znaną z tego była, że obrożę kładła i obchodziła się despotycznie

Przywabić pana Klemensa, zmusić do przebywania więcej w Wysokiem, niż w domu, zdało się hetmanowej łatwą sprawą, bo dotąd, co postanowiła kiedy, to się jej udawało zawsze. Tołoczko został zawojowanym łatwo, a na przyszłość otwierały mu się horyzonty szerokie i jasne.

Na taką fundacyę Trybunału jechać nie było rzeczą dla chudego pachołka pożądaną. Nie licząc tego, że bardzo łatwo można było guza oberwać, koszta same odstraszały. Miasto pod tę porę, nie wyjmując klasztorów, dworki mieszczan, aż do chałup, wszystko było zapchane, drogo płacone, niedostępne. Siano i owies, kto go sobie dostawić nie mógł, kosztowały sumy neapolitańskie. Tołoczko więc ani myślał się wybierać do Wilna, w głowie mu to nie postało.

Ale księżna postanowiła, że przy niej jechać musi i rozpoczęła manewrować, aby go skłonić ku temu. Rotmistrz wcale o tem nie wiedział. Trzeba go było czemś kupić.

Jednego dnia po obiedzie, księżna zarumieniona, swoim zwyczajem leżała nawpół na kanapce, bawiąc się z ulubioną psiną, wabiącą się Zefir, choć dla sadła ledwie się poruszała.

Tołoczko siedział nieco opodal.

Hetman w wygodnym fotelu zabierał się do poobiedniej drzemki. Odbywał on ją publicznie wśród gwaru rozmów, śmiechów, chodzenia, co mu nie przeszkadzało spać tak głęboko, że go czasem, waląc z moździerzy, nie można było przebudzić.

Księżna raz i drugi zagadnęła Tołoczkę, a że gwar był ciągły, ledwie dosłyszał i mógł odpowiedzieć.

— Przybliż się trochę, rotmistrzu...

Pan Klemens przysunął się posłuszny.

W tej porze życia, choć nie młody i nie elegant, Tołoczko jeszcze bardzo świeżo i dobrze wyglądał.

— Czemu się waćpan nie żenisz?—wystrzeliła księżna Magdalena, jakby z pistoletu, do niego.

Zmieszał się rotmistrz zrazu.

— Byłem żonaty, mościa księżno—rzekł;—straciłem wierną towarzyszkę w mojej Helusi, postanowiłem ślubów nie ponawiać.

Rozśmiała się hetmanowa.

— Dałbyś waćpan pokój temu romansowi zagrobowemu!—odezwała się.—Należy się ożenić, boć to prawo Boże, aby się człowiek nie marnował.

Tołoczko na to z cicha.

— Choćbym może i rad,—nie łatwa to sprawa! Za wdowca panny idą niechętnie, a jabym z wdową żenić się nie chciał. Przytem jeździć, szukać, w konkury się puszczać, to nie moja rzecz, a panny mi nikt do domu nie przywiezie.

— Jak to znać, że nie masz przyjaciółki—odparła księżna,—dawnoby cię ożeniła.

— Ale ja, mościa księżno, trudny jestem—rzekł Tołoczko.

— Czegóż wymagasz po swej przyszłej?—pytała hetmanowa.

— Rozumie się—począł rotmistrz—piękną być musi i mnie się podobać.

— Tak, to się rozumie, ale sądzę, że nadto wybrednym nie będziesz—dodała hetmanowa.

— Zbytniej młodości nie życzę sobie—ciągnął dalej—ale i zwiędłego panieństwa nie chcę.

— Dojrzałą dziewicę—rozśmiała się księżna.—No, zapewne i posażną?

O to się ja targować nie będę—rzekł Tołoczko.—Będzie miała co pod poduszką, tem lepiej, a nie, nie odstręczy mnie to.

— No i rodzina dobra?—pytala księżna.

— Juści z dobrego domu szlacheckiego musiałaby być—rzekł rotmistrz.—Do pańskich progów nie posunę się, ale krew dobra u mnie znaczy wiele.

— No a charakter i temperament?—dodała Sapieżyna wkońcu.

— Mościa księżno—zawołał Tołoczko—a któż to się pochlubić może, iż charakter niewieści odgadnie, albo przeczuje? Na to potrzeba błogosławieństwa Bożego, aby nie wpaść w paszczę.

Westchnął.

—. Dlatego—dokończył—przy tylu trudnościach, anim marzył o ożenku.

Pogładził się po łysinie, która już przeświecała mu z wierzchu głowy, choć bujne włosy dokoła ją otaczały.

Księżna długo się wpatrywała w niego.

— Wiesz co, rotmistrzu—rzekła—zróbmy z sobą umowę, choćby pod zakładem; waćpan będziesz nam, jako przyjaciel towarzyszył na Trybunał do Wilna, a ja za to, żem mu słodki przerwała spoczynek, obowiązuję się znaleźć ci żonę, która wszystkim twoim odpowie warunkom.

Tołoczko chciał to w żart obrócić.

— Rączki całuję w. książęcej mości—odezwal się—ale nie śmiałbym takiego kłopotu narzucić, gdy ich jest i bez tego dosyć. Myślę zostać Maltańskim kawalerem.

— Ja na to nie pozwalam —przerwała hetmanowa.—Veto! No, przybijmy targ.

Stojący blizko Sawicki, wojski lidzki obrócił się do Tołoczki.

— Waćpan byś księżnie jejmości na kolanach powinien dziękować, a ty się jeszcze drożysz. Z tak pięknych rąk na ślepo żonkę brać można.

— Mościa księżno—wtrącił rotmistrz—boję się nawet z łaskawych rąk jej brać żonę. Zastarym się czuję, ale gotówem i bez żadnej remuneracyi jechać na Trybunał, byleby mi państwo kazali, a jam się tam przydał na co.

— O! bardzo! bardzo! bardzo!—wtrąciła wojewodzina.—Już tylko jedź, reszta się znajdzie. Pojedziesz?

— Jam sługą w. książęcej mości—odparł Tołoczko.

Księżna mu rękę wyciągnęła, uśmiechając się; przyszedł ją pocałować i tego dnia na tem się skończyło.

Przyjaciele Tołoczki śmieli się z niego, gdyż on uparcie utrzymywał, że się nie da ożenić.

Całą tę poobiednią rozmowę żartobliwą brał za prostą zabawkę księżnej, która rozmaitemi facecyami niekiedy się lubiła rozrywać. Tymczasem nazajutrz zaraz usłyszał w rozmowie, iż księżna Magdalena już na jego podróż rachowała i po kilkakroć powtórzyła.

— Gdyś mi pan rotmistrz przyrzekł, słowa dotrzymasz.

Nie było już co wątpić, musiał być posłusznym, bo hetmanową sobie narazić stokroć gorzej znaczyło, niż hetmana. O ile dla przyjaciół była wylaną, tak dla tych, do których ząb miała, straszniejszego nad nią nie było wroga. Nie przebierała wówczas w środkach, gdy się pomścić i moc swą chciała dać poczuć.

Zakłopotał się mocno Tołoczko, nie dając tego poznać po sobie. Naprzód wydatek był znaczny, który nawet obrachować nie mógł z góry, powtóre czasu stracić dość musiał, sędziom się narazić, a co go czekało w Wilnie, tego żadna moc ludzka przewidzieć nie mogła.

Jeżeli kiedy fundowanie Trybunału obiecywało się, jako walna bitwa, to teraz, gdy dwa najzamożniejsze rody w Księstwie o nie walczyć miały. Wojsko Radziwiłłowskie, litewskie pułki hetmana, tandem nawet siły imperatorowej, na granicy stojące, do Wilna pościągać miały.

Rozporządzenia wojenne, jak przed rozprawą krwawą, już się gotowały. Mówiono kto i gdzie ma zająć stanowisko, a ewentualność bitwy przewidywali wszyscy. Miał książę hetman ludzi kilka tysięcy gotowych; Czartoryscy się nie swoją milicyą, bo ta się, Fleminga do niej włączywszy, nie równała Radziwiłłowskiej, ale cesarzowej nagotowaną siłą obraniać myśleli.

Co już o tem na dworze królewskim w Warszawie głoszono i rozpowiadano, strach słuchać było.

Hetman Sapicha z żoną zawczasu chciał przybyć, ciesząc się jakąś nadzieją, że może lepiej odegrać chlubną rolę pośrednika od księdza biskupa kamienieckiego.

Tchórzliwsze umysły zaklinały, aby nie dopuszczając do konfliktu, pojednanie jakieś wyłatać, ale kto znał księcia kanclerza, grafa Brühla, a nadewszystko księcia wojewodę, ten mało w zgodę wierzył.

Zawczasu w Wilnie postrach panował, jakby przed najściem nieprzyjaciela, a jak byli tacy, co na ogień lecieli, tak drudzy od niego uciekali. Tyle tylko, że Kamieńca nie fortyfikowano, ale niewiele do tego brakło.

Księdzu biskupowi kamienieckiemu i kasztelanowi Brzostkowskiemu, którym król polecił medyacye, choć pierwszy szczególniej był zdolności wielkich i zabiegliwy a zręczny, nikt nie ufał, aby mogli co sprawić.

Po księciu wojewodzie wileńskim pasye grały, że go żaden rozum nie mógł powstrzymać. Przyjaciele jego na humor pili i słuchać nie chcieli.

Postanowiono było unikać zetknięcia się z wojskiem cesarzowej, nawet je uchodzące po dobrach Radziwiłłowskich żywić i dawać im prowianty, ale Czartoryskim i ich partyzantom stawić czoło.

Dolewał do ognia oliwy ksiądz biskup wileński, kniaź Massalski, który w duchowieństwie polskiem, jak ludzie zapamiętali, podobnego nie miał, i naśladowców, dzięki Bogu, nie znalazł.

Dumę kniaziów Massalskich znali wszyscy, która temwięcej uderzała, że państwo to ich łączyło się z powikłanemi interesami, brakiem pieniędzy i chwytaniem ich, gdzie i jak się nadarzyło!

Oprócz tej pychy i lekceważenia ludzi, ksiądz biskup miał temperament, obyczaje, sposób życia, który więcej przystał rozpuszczonemu wojakowi, niż pasterzowi owczarni i ojcu duchownemu. Przepisów kościoła nie zachowywał wcale, nie będąc wiernym ani sukni duchownej, ani ślubom kapłańskim. Nosił się najczęściej po cywilnemu, francuską modą, przy szpadzie chodząc, jako szef pułku swego imienia.

We dnie zabawiał się jak najwygodniejszym trybem życia, używając pomiędzy rogówkami i robronami, a po całych nocach widywano go za zielonym stołem prowadzącego grę szaloną.

Swoje i cudze, kapitulne i biskupie sumy, gdy w ręce jego popadły, nie były poszanowane. Frymarczył dobrami,

nie pytając, a w postępowaniu jego samowola nie znała hamulca. Gwałtowny, namiętny z kolei galant i grubianin, niczem się wstrzymać nie dawał, a że mu pomocnicy potrzebni byli, takimi się, jak sam był, otaczał.

Duchowieństwo zacne i świątobliwe truchlało ze sromu i grozy. Lecz najpoważniejszym ludziom, gdy się mu ważyli czynić demonstracye, odpowiadał łajaniem, lub do szpady się porywał.

Złośliwy, dowcipny, cynik, był poczwarnem zaprawdę zjawiskiem, nawet wśród tego świata, który się wcale surowością obyczajów nie odznaczał.

Książę biskup Massalski, z Radziwiłłami spokrewniony, ale na wojewodę zajadły do szaleństwa, całą potęgą duchowieństwa, które miał w ręku, występował przeciwko niemu. Mało sobie z tego wprawdzie czynił Radziwiłł, ale inni się oglądali na Kościół, na duchowieństwo i klątwy, któremi grożono.

Rozdrażnienie pomiędzy księciem wojewodą, a księdzem biskupem doszło było do tego stopnia, iż Radziwiłł po dziesięć razy w dzień powtarzał:

— Chce on być Stanisławem, to ja mu Bolesławem będę.

Massalski, jako żywo męczennikiem być sobie nie życzył, ale ubezpieczony za murem i gwardyą swą przeciwko księciu bluzgał najobrzydliwszemi, grubiańskiemi pogróżkami.

Daleko jeszcze było do terminu fundowania Trybunału, a Wilno już wyglądało, jakby w stanie oblężenia. Po ulicach dzień i noc ciągnęły sznury wozów, wyładowanych owocem, sianem, mąką, zapasami spiżarni i beczkami napojów. Niektóre wiozły sprzęty, broń, przybory domowe, namioty pod konwojem żołnierzy dworskich różnej broni w barwach najosobliwszych.

Nie było dworku pokaźniejszego, kamienicy, szopy gdzieby już ludzie lub konie nadciągające się nie rozkładały. A że z obu stron nadchodziły siły obie nieprzyjazne, a o miejsce było trudno, rodziły się z tego kłótnie, bójki i wśród wymysłów odzywały się strzały co chwila.

Przy pałacach, które hetmanowie zajmować mieli na Antokolu u Sapiehów, około kardynalii Radziwiłłów, straże jaki taki porządek utrzymywały, ale po kątach porządkował kto chciał i burzył, kto mógł. Przez ulicę przeciągnąć było trudno jednym i drugim bez porywania się na siebie.

Z tego, co się widziało w samem jądrze miasta, można wnosić, co się działo poza niem na przedmieściach i po obozowiskach, na juryzdyce Radziwiłłów, Snipiszkach, na Antokolu, około biskupiej rezydencyi.

Tu brama żadna w biały dzień się nie otwierała bez parlamentowania, a przybywający wykazywać się musiał, kim był i z czem jechał.

Kościoły nawet, do których przystępu Massalski Radziwiłłowskim ludziom bronił, strzeżone były, lub pozamykane. Nie mniej zakonnicy, których stosunki dawne łączyły z rodzinami pańskiemi, pod pozorem autonomii zakonnej, swobodniej sobie poczynali, dając przytułek dobroczyńcom i przyjaciołom.

Tołoczkę pani hetmanowa wyprawiła przodem na Antokol, zleciwszy mu, ażeby zawczasu w położeniu się rozpatrzył i dla niej pozbierał wszystko, co mogło je rozjaśnić.

Nie był ro'mistrz obcym w Wilnie, znał je, jak każdy Litwin, ale dawno tu nie bywał i krótko zawsze bawił; znalazł się więc, jak w lesie.

Tylko, że wszędzie sobie radzić umiał. Z dawnych stosunków pozostały mu mnogie znajomości z Radziwiłłowskimi, którzy go za swojego uważali. Mało też kto z tamtejszych do Czartoryskich lub Fleminga się przyznawał, bo pierwsi, nigdy się o popularność nie starali i jej też nie mieli, a drugiego wyśmiewano, jako Niemca. Chodziły o nim anegdotki, które go, jako słabego umysłu i wcale kraju nieznającego malowały.

Radziwiłłowie zaś, choćby z nich który dokuczał szlachcicowi, byli jako swoi uważani i ludzie mieli do nich sympatyę wielką.

W ulicy, na Antokol ciągnąc, Tołoczko, który dla nogi obrażonej na wozie się wlókł, spotkał się z jadącym konno, dawno sobie znajomym Derkaczem, który niegdy

był jego sługą, a potem się dostał dla umiejętności wabienia i naśladowania wszelkich głosów zwierzęcych do łowiectwa Nieświeżskiego.

Tołoczko miał to szczęście, iż ludzie, co z nim kiedy mieli do czynienia, pozostawali mu życzliwi i przyjaźni. Derkacz też, obaczywszy go, przypadł go po nogach niemal całować. Człek był niemłody, szpak, brzydki aż strach, ale zręczny, przemyślny, jak mało kto.

— A ty tu co robisz?—spytał rotmistrz.—Juści w ulicy polowania nie wyprawiasz!

— Daj Boże, aby go nie było i żebyśmy szlacheckiej zwierzyny nie bili!—odparł Derkacz.—Ale kto dziś wie, na co się zanosi? Mnie z ważnemi listami wyprawiono.

Nie mógł się w ulicy zatrzymać Tołoczko, więc go z sobą do Antokolu pociągnął, rozpytując po drodze.

— Nie chciałbym ja być w skórze Czartoryskich,—począł łowczy radziwiłłowski.—Co się tam stanie z Trybunałem, tego ja nie wiem i nie rozumiem, ale że na księcia kanclerza zasadzki są wielkie, to pewna.

— Juści nie na jego osobę—rzekł Tołoczko,—bo Radziwiłł obić na gościńcu obije, ale spiskować na życie, nie jego rzecz.

— Nie jego, a no przyjaciół kaptować trudno, a i wiedzieć nie sposób, co który czyni.

Mówili potem o różnych rzeczach, ale na Antokol przybywszy, gdzie już znalazł dla siebie pomieszkanie gotowe, rotmistrz wziął Derkacza na spytki.

— Coś mówił o kanclerzu?—zapytał.—Juści na życie jego nie godzą?

Derkacz się zmieszał.

— Nie będę prawił o tem, czego dobrze nie wiem, a zaś to, co mi jednem uchem wlazło, drugiem wyszło. To tylko pewna, że i życia może być nie pewien, taka zajadłość na niego!

— Nie boi się on tego—rzekł Tołoczko.—Strachy na lachy; tem go książę nie strwoży. Ma i on siły, bodaj większe, niż księcia wojewody, bo mu idą w pomoc żołnierze imperatorowej i pono są w drodze.

— Dlatego też się na niego odgrażają—rzekł Derkacz.

— Gdzieś o tem słyszał?

Zmieszał się łowczy.

— Ojczulku mój—rzekł—nie wyciągajcież ze mnie tego, o czem ja powinienem był zamilczeć—odparł Derkacz.—Może to są plotki, czernidła.

— Ale kto? co?

Naglony mocno, Derkacz, który już za czapkę brał, cicho tylko się tłumaczył, że od dworu księcia z Mitawy zawiało tą wiadomością, ale bójka być mogła. Więcej z niego nie dobył Tołoczko.

— U nas się spodziewają—dodał po chwili,—że hetman polny ludzi da, aby zawichrzeniu zapobiedz.

— Wątpię bardzo—rzekł rotmistrz,—bo tu dziś ślepa babka i nie wiedzieć komu pomagać. Czartoryscy królowi są przeciwni i na niego godzą, bo im już za długo panuje. Radziwiłł tylko o sobie i swojej krwi pamięta. Ani z jednym, ani z drugim trzymać na zabój nie można. Król wysłał od siebie rozjemców, a ci ich pewnie pogodzą..

— Co daj Boże, amen—skłaniając głowę, dodał Derkacz,—bo człowiek od rozumu odchodzi, patrząc na to, co się dzieje.

To mówiąc, łowczy, któremu badanie nie w smak było, pożegnał dawnego pana i zniknął.

Tak na samym wstępie Tołoczko, jakby Opatrzność się nim opiekowała, dostawszy języka, nie miał już pokoju, dopóki nie wyjechał na miasto, aby się więcej dowiedzieć, nimby pani hetmanowa nadjechała.

Ale to, o czem się od Derkacza dowiedział, co potem wieczorem od Brzostowskiego kasztelana, którego znał, udało mu się wyciągnąć i o czem powszechnie rozpowiadano, wzajem się strasząc Trybunałem, tak się z sobą kłóciło i pogodzić nie dawało, że wszystko jedną baśnią mu się zdało.

W gabinecie ministra Brühla, pod wieczór, leżała na stole obrzymia koperta, sznurkami i pieczęciami umocowana, które dopiero co porozrywano.

Wydobyte z nich różnych kształtów listy i papiery w nieładzie zalegały biurko, a minister, białą ręką przebierając w nich, szukać się zdawał czegoś, o co mu szło najpilniej.

Skrzywione pogardliwie usta, wzrok zmęczony i wystygły, postawa cała człowieka znudzonego świadczyły, że odebranym depeszom niewiele ufał i niebardzo do nich chciał śpieszyć. Niekiedy wzrok podnosił ku drzwiom, jakby kogoś oczekiwał.

W chwili, gdy zniecierpliwienie dochodziło do najwyższego stopnia, drzwi się powoli uchyliły i młody, bardzo przystojny, wielce arystokratycznej powierzchowności panicz, wsunął się do pokoju.

Strój jego prędzej do dworu króla Saskiego, niż do polskiego dozwalał go wpisać. Ubrany był francuską modą, a nawet wielce wytworne suknie Brühla nie gasiły elegancyi młodego pana, który z pełną uszanowania poufałością przybliżył się do stolika.

— Kochany starosto—odezwał się minister, wskazując na biurko,—przybywasz z Wilna, miałeś zręczność nasłuchać się wszystkiego, co tam warczy i huczy przeciwko nam, uwolnij mnie od czytania plotek, a powiedz prawdę. Jak stoją Czartoryscy?

— Podparci na pułkowniku Puczkowie, który im ma przybyć na pomoc.

— Sam jeden?

— Ale nie, z pułkiem—rzekł przybyły;—chociaż będzie on tylko pogróżką, bo bić się nie myślą i wojny nie wypowiedzą.

Brühl słuchał obojętnie.

— I ja tak sądzę—westchnął minister.—Czy myślisz, że się zlęknie Radziwiłła?

— Nie—mówił dalej starosta,—ale niewygodni to są śmiałkowie.

— Plan ich niedorzeczny, dziecinny—odparł Brühl, wzruszając ramionami.

— Nie sądzę—przerwał starosta, marszcząc piękne czoło.—Plany ich obmyślane są wybornie, idzie o to, jak się wykonać dadzą. Idzie mu o zerwanie i niedopuszczenie ufundowania Trybunałów. Służyć to ma później za pretekst do zawiązania konfederacyi przeciwko królowi, którego chcą zdetronizować.

— Jak im pilno—szepnął Brühl zimno.—Wszystko to mrzonki są próżne; konfederacya z pułkownikiem Puczkowem kraj na nich oburzy. Po kraju mącić i wywoływać burzę łatwo, z nieprzyjacielem się wiązać, krajowi chcieć prawa dyktować,—myśl zuchwała i nieroztropna. Detronizacya!—powtórzył smutnie.—Nie wiedzą więc, że z króla skroni inna ręka, niż ich zdejmie koronę?

Starosta spojrzał niespokojny.

— N. Pan wyjeżdża do Drezna?—zapytał.

— Jak tylko będzie mógł—on i ja—dodał Brühl;—cesarzowa pozwoli się przejechać i zabawić pułkownikowi swemu, ale nic więcej, a tymczasem któż wie, co może spotkać kanclerza?

Uśmiechnął się.

— Cóż Aloë?—zapytał.

— To mi się zdaje niedorzecznością—rzekł starosta

— Tak, ale rzeczy, które są niespodziewane, dziecinne, śmieszne, najczęściej się udają dlatego, że nikt do nich przygotowanym nie jest—odparł Brühl.

— Aloë—mówił dalej starosta—jest człowiekiem bardzo zdolnym; dał tego dowody, stając u boku księcia Karola w Mitawie. W tem go jednak nie poznaję.

— Możem źle słyszał?—wtrącił Brühl.

— Aloë, który zna obyczaje księcia kanclerza i sposób jego życia w Wołczynie, powiada, że bardzo by było łatwo zmusić go do odwołania wszystkiego, co doniósł cesarzowej. Do tego dosyć było, aby się znalazł człowiek śmiały, któryby księciu w kancelaryi jego, gdzie najczęściej sam przesiaduje, przyłożył pistolet do piersi i przymusił do podpisania listu przygotowanego.

— W tem niema sensu—rzekł Brühl po krótkim namyśle,—ja to słyszałem inaczej. Możnaż przypuszczać,

aby książę kanclerz u siebie w domu dał się zmusić do podpisu i żeby napastnikowi dał potem ujść spokojnie? Naostatek, jaki ma walor wymuszone pismo? Wszystko to awanturnicze. Niepodobna mi przypuścić, ażeby faworyt kanclerza Małachowskiego taką dawał radę, a poważni ludzie mogli ją wziąć na seryo.

Uśmiechnął się Brühl.

— Toż samo—dodał—w stosunku naszym do Rosyi. Wieleśmy jej winni od czasów nieboszczyka pana, któremu Piotr zawsze przychodził w pomoc; teraźniejsza cesarzowa od tej tradycyi nie odstąpi. Pozwólmy się im łudzić, że dla Czartoryskich—saskiej dynastyi odstąpi. Nie mogą się uskarżać na nas, byliśmy i jesteśmy powolni—świadczy Kurlandya. Król własny interes poświęcił polityce.

Starosta słuchał, bawiąc się sznurkiem, leżącym na stole, jak gdyby przedmiot rozmowy mało go obchodził. Brühl też, który więcej się rozgniewał i poruszał, nie przywiązywał wagi do sprawy, o którą rozpytywał.

— Cóż robią Krasiński i Brzostowski?—rzekł po namyśle.—Biskup nam... to jest królowi, obiecywał bardzo wiele.

— Mnie się zdaje—odparł starosta,—że gdzie szło o traktowanie z panem wojewodą, inny wybór plenipotencyaryusza uczynić wypadło. Biskup Krasiński nie dotrzyma mu placu do kielicha, a traktowanie z nim na sucho się nie może ani poczynać ani skończyć.

— Powinien mu być pomocą Massalski—wtrącił minister.

— Nie wiem, czy on zgody i porozumienia pragnie—odezwał się starosta—a gwałtownością nie ustępuje księciu wojewodzie.

Lekka oznaka zniecierpliwienia dała się czuć staroście, gdy Brühl głos zabrał.

— Więc jakże sądzicie, że się to skończyć może?—rzekł żywo.—Król wie, żeście dziś przyjechać mieli, zechce z ust waszych posłyszeć, co się tam dzieje, jest niespokojny. Trybunał ten zatruwa mu chwile, które myśmy mu powinni się starać osłodzić. Cóż powiecie przed N. Panem? Nie idzie tu wcale, aby się dowiedział prawdy; byłoby okrucieństwem mu ją wyjawić. Starosta, musisz tak ułożyć relacyę, aby ona go pocieszyła i uspokoiła, rozumiecie?

— Ale ja—odparł starosta, wysłuchawszy lekcyi, jaką mu dał minister—nie potrzebuję się żaduym fałszem posługiwać. Rzecz jest pewna, że Radziwiłł per fas lub per nefas z Trybunałem się utrzyma, a Czartoryscy zostaną przy manifeście. Z jednej strony będą lamenty, o których Puczkow doniesie N. Pani, z drugiej hałaśliwy tryumf... bo z taką determinacyą szaloną, jak księcia wojewody, musi się choć chwilowo utrzymać górą.

— Szalona pałka, książę wojewoda—odezwał się Brühl.—Byli ludzie, którzy sądzili że wojewoda pogrzebie miecznika, tymczasem cały duch i obyczaj miecznika przeszedł na wojewodę. Szczęściem mamy go przy sobie.

Brühl spojrzał na zegarek. Ściemniało się.

— Należałoby, abyś zaraz się stawił do króla—rzekł po namyśle.

— Gdzież mam króla szukać?—zapytał przybyły.

Brühl zmarszczył się nieco.

— Jest na wieczornej strzelnicy—rzekł cicho—dokąd tylko poufałych się dopuszcza; ale wy idziecie ze mną.

— Na strzelnicy wieczornej?—powtórzył starosta.

Brühl nie odpowiedział na pytanie, śpieszył się i wskazując drogę, poprzedzał przybyłego.

Musieli wnijść na wewnętrzny korytarz pałacowy, który właśnie oświecono i służba się po nim kręciła.

Zawrócili się razy kilka, przeszli pokoje puste, wszędzie pod nogami znajdując drogę kobiercami wysłaną. Naostatek ukazały się wschodki pod dachem, wspartym na słupkach. Był to rodzaj altany, wychodzącej na tyły pałacu saskiego i plac pusty.

Król August ze strzelbą w ręku siedział, upatrując niecierpliwie jakiegoś zwierza, którego wśród miasta odgadnąć było trudno. Starosta patrzał ciekawie, nie mogąc zrozumieć.

U podnóża altany na piasku żółtym, w mroku wieczornym zarysowały się niewyraźne kształty rosłego konia,

który leżał rozciągnięty bez życia. Kruki, gałki i wrony unosiły się nad nim w powietrzu, zniżając niekiedy ponad zastawiony dla nich żer, a nie śmiejąc go dotknąć jeszcze. Nieco dalej przemykały się cienie wychudłych psów bezpańskich na bezpłatną strawę.

Oczy króla skierowane były ku nim, strzelba drżała mu w ręku, najlżejszy szelest, który psy spłoszył, gniewał go widocznie.

Wejście Brühla, którego kroki posłyszał, groźnym wyrazem twarzy przyjęte zostało, ale zaledwie mógł go rozpoznać, z pośpiechem wesołym zwrócił się do niego.

— Musisz mi dobrą przynosić wiadomość, kiedy tu przychodzisz—zawołał August, broni z rąk nie wypuszczając i wpatrując się zmrużonemi oczyma w starostę Platera, który szedł za ministrem.

— Ja sam nie przynoszę nic—odparł Brühl, przybierając ton mowy swobodny i wesoły,—ale oto jest starosta Plater, wprost przybywający z Wilna, który, jako naoczny świadek przygotowań do fundowania Trybunału, najlepiej ze wszystkiego sprawę zdać może.

Król z uśmiechniętem łagodnie obliczem obrócił się do pokornie kłaniającego mu się starosty.

— Mów, proszę,—odezwał się cicho.

Poznać było łatwo z postawy, ruchów i wyrazu twarzy Augusta III, o ile wieczorny mrok na niej czytać pozwalał, że króla żywo obchodziła relacya o Trybunale, którą miał z ust Platera połyszeć, lecz nadto był namiętnym myśliwym, aby zupełnie o swem dziwacznem polowaniu, nawet dla Trybunału zapomnieć. Można powiedzieć, że z wielkim uszczerbkiem powagi królewskiej, połowa Augusta słuchała Platera, a druga rzucała wejrzenia ku placowi, na zdechłego konia i cienie psów, które się powoli, ostrożnie ku niemu zbliżały.

Jednem uchem chwytał opowiadanie, drugiem krakania wron i biegania psów po pustym placu. I nie można było rozpoznać, co go wistocie obchodziło więcej, czy psy, na które czekał, czy Trybunał, o którego losie chciał się dowiedzieć.

— N. Panie — mówił Plater z uniżonością — wszystko zapowiada, że mimo pułkownika Puczkowa, którego sobie Czartoryscy uprosili u imperatorowej, mimo zagrożenia interwencyą rosyjską, Radziwiłł na swojem postawi. Ludzi ma dosyć, zajął pozycyę mocną, a nastraszyć się nie da. Posiłkuje go z energią wielką książę biskup Massalski.

Słów tych domawiał Plater, gdy król, który dotąd go słuchał cierpliwie, ale psów z oka nie spuszczając, podbiegł na palcach, mimo ociężałości swej, do galeryjki, okrytej kobiercem, która ganek otaczała, wymierzył szybko i strzelił.

Kłąb dymu na chwilę nie dał widzieć trafności strzału, ale król pamiętał liczbę psów; dwa tylko widać było uchodzące ze skomleniem, a pod galeryą rozlegało się bolesne wycie ranionego.

Twarz Augusta III i oczy wprzódy przygasłe zajaśniały radością tryumfu.

— Nie sądźcie — odezwał się do Brühla, — żebym ja go chciał zabić, a ranił tylko z przypadku. Chciałem go ranić i nogę mu utrącić; okaże się, iż spełniłem, com zamierzał.—Psów jest mało, potrzeba ich oszczędzać.

Plater, epizodem tym dziwnie zmieszany, milczał, nie wiedząc, co począć z sobą; królowi tymczasem czeladź jego myśliwska podała drugą strzelbę nabitą. Polowanie na psy głodne nie było skończone.

— Mów, starosto, dalej — rzekł August weselej,—proszę, słucham. Zdaje mi się, że mówiłeś o Massalskim.

Król skrzywił się znacząco, dając się dorozumiewać, że nie bardzo go szacował, choć Radziwiłłowi pomoc dał.

— Tak jest — począł starosta — książę biskup...

— Biskup i pułkownik — wtrącił żartobliwie Brühl— to mi się trafia rzadko, aby w jednej osobie dwa się takie *incompatibilia* łączyły.

— Książę biskup — ciągnął dalej starosta — Trybunałowi pozamyka kościoły, nie pozwoli duchowieństwu słuchać deputatów przysięgi. Ludzi swych daje pod komendę wojewody.

— I do bitwy i krwi rozlewu nie przyjdzie? — wtrącił August III niespokojnie. — Nie przyjdzie?

— Czartoryscy nie będą mieli z czem przeciw prepotensyi księcia wojewody wystąpić. Pułki Radziwiłłowskie dobrze okryte, na męstwie im nie zbywa. Skończy się więc prawdopodobnie na manifeście kanclerza, a i tego żadne akta nie przyjmą.

Królowi się twarz śmiała.

— A biskup Krasiński? — spytał

— Bardzo czynny — mówił Plater — sam byłem świadkiem nieustannej jego pracy — szyderstwo przebijało się w głosie. — Nie wyprzęgają ani na chwilę koni biskupa, którą stuka i dobija się to do kardynalii, to do pałacu biskupiego z kolei. On i Brzostowski spodziewali się, gdym wyjeżdżał, doprowadzić do tego, aby arbitrowie byli wyznaczeni do układów.

— Czasu to wiele zabierze, a wątpię, ażeby do czego doprowadziło — odezwał się Bruhl. — Czartoryscy dopóki jakąkolwiek siłę mają, nie ugną się. Radziwiłł nie ustąpi. Szczęście, że książę wojewoda mocniejszy jest.

Było już tak ciemno, że król, spojrzawszy na plac, na którym ledwie się jeszcze widzieć dawała leżąca przynęta, z westchnieniem i żalem widocznym oddał pachołkowi strzelbę, którą trzymał w ręku i poprzedzany przez służbę, która się ze światłem zjawiła, ciągnąc za sobą ministra i starostę, udał się z nimi do swych pokojów,

Kilka osób czekało tu na niego. Król, pomimo tęsknicy, jaką miał do Drezna, choć niespokojny, o losy Trybunału i ciągłemi skargami na Czartoryskich niecierpliwiony, był dosyć wesoły i Brühla ciągle przywołując do siebie na szepty jakieś tajemnicze, słuchał, co mu powiadano, uprzejmie przyjmując pochlebstwa i umyślnie dla niego przyprawiane wiadomostki.

Starosta, który nie był tu zbyt częstym gościem, z wielkiem zajęciem przysłuchiwał się rozprawom i rozmowom, ucząc się z nich zapewne wiele, gdyż to, co tu mu się słyszeć dawało i co tu uchodziło za prawdę, gdzieindziej wcaleby wyglądało inaczej.

Dla człowieka rozpoczynającego zawód przy dworze nauka była wielka, z jaką ostrożnością z królem o przeszłości i teraźniejszości mówić było potrzeba, ażeby się z tem nie minąć, co tu za rzecz pewną uznawano, a co gdzieindziej było wierutnem fałszem. Przekonał się, z jaką synowską pieczołowitością o zdrowie i humor pański, minister kołysał go i usypiał doskonale ułożonemi baśniami o jego własnem panowaniu.

Wszystkie wypadki nieszczęsnej wojny siedmioletniej na pokojach Augusta III były tryumfami i nader pomyślną zapowiadały przyszłość. Wiele głośnych faktów, powszechnie znanych i wiadomych, na pokojach ignorowano, nie istniały, lub przybierały barwę, która naturę ich zmieniała.

Starosta też wkrótce, uląkłszy się, aby mimowolnie nie wymówił się z czemś niewłaściwem, stał się bardzo milczącym. Szczęściem, na pokojach wieczoru tego najwięcej mówiono o Dreznie, odwracając uwagą od Polski i tego, co się tu działo. Z oburzeniem wspomniał tylko król o potwarzach, któremi prześladowano ulubionego mu ministra, a szczególniej o zuchwałym memoryale, czynności jego wyjaśniającym, podanym przez hetmana Branickiego.

Brühl spokojnie, jako niewinna ofiara, nieprzyjaciołom swym płacił wielką wspaniałomyślnością, która u N. Pana uwielbienie dla niego wzbudzała.

— Dla tych to wrogów swych — mówił August z uniesieniem, — Brühl zamiast domagać się na nich kary, prosi o przywileje i nadania!

Tak było wistocie, bo minister, nawet od Czartoryskich biorąc zwykły haracz, i dla nich wyrabiał urzędy i starostwa złotodajne.

Po wieczerzy szczupłe kółko gości królewskich rozchodzić się i rozjeżdżać zaczęło, a Plater powrócił do swoich, aby tam rozmyślać o dziwach, które widział i słyszał.

Brühl nazajutrz jeszcze wezwał go do siebie, aby się dowiedzieć o drobnostkach, które dla niego miały znaczenie wielkie. Zapomniał był między innemi zapy-

tać o hetmana polnego litewskiego, Sapiehę, a raczej o piękną żonę jego, która polityką męża kierowała. Wpływ jej nie był do pogardzenia.

Władała ona wielu umysłami, mówiono o wielce nią zajętym synu ministra Brühla, dla którego i ona słabość miała. Znajdowano, że król nawet, gdy ją spotykał, witał z galanteryą i słodyczą na ustach. Tem też usilniej starano się ją oddalić od dworu.

Nazajutrz pierwsze pytanie, zadane staroscie, jej się tyczyło.

Piękna Magdalena — ale nie pokutnica, — rzekł Brühl — jest-li w Wilnie? Oczy jej mogą zaważyć, a głos stanowić o zwycięstwie! Dwaj hetmanowie powinni trzymać z sobą.

— Hetmanowa jest w Wilnie — odparł starosta — bo hetman tam przybyć musiał, a onaby go samego nie puściła.

— Ma zupełną słuszność — wtrącił Brühl — Jest najlepszym jego adjutantem.

— Jak są z sobą hetmanowie, nie wiem — mówił dalej starosta—sądzę jednak, że się zbyt nie kochają, a książę wojewoda wileński nie gustuje wcale w pięknej Magdalenie.

— Zły ma gust — wtrącił Brühl.

— Dał tego dowody nieraz — rozśmiał się Plater. — Hetmanowa polna nie zadaje sobie wcale pracy, aby go pozyskała. Ma dosyć galantów, nie licząc męża.

Starosta urwał nagle i stał dobrą chwilę milczący.

— O stolniku słyszeliście zapewne? — zapytał, głos zniżając.

— Jest w Petersburgu — rzekł kwaśno Brühl. — Familia stara się z niego zrobić wielkiego człowieka, którym on nigdy nie będzie. Nie wątpię tylko, że po ojcu i wujach odziedziczy zręczność wielką i umiejętność siedzenia w potrzebie na dwu stołkach.

— Stolnik z Petersburga powrócił, jest w Wilnie i dworuje pilno około hetmanowej polnej.

— Ach! — zawołał Brühl — czy nie zawiele dwóch Sapieżyn na jednego Poniatowskiego? Wszakże wiadomo, że jest w wielkich łaskach u księżnej wojewodzicowej mścisławskiej. Dosyćby było tej jednej!

Plater się rozśmiał.

— Przypisują mu nietylko tę nową zdobycz — rzekł, — ale nadzieję, że go cesarzowa na przyszłej elekcyi pomiędzy kandydatów do korony ma postawić.

— To trochę zawiele — wybuchając śmiechem zawołał Brühl. — Grzeszycie, mój starosto, zbytnią łatwowiernością. Komuż na myśl mogło przyjść tak poczwarną niedorzeczność wymyśleć. Poniatowski stolnik kandydatem do korony!

— *Relata refero* — odparł Plater — chociaż sam widzę, że to jest plotka niezgrabna. Dla charakterystyki obecnej chwili i ona ma swoje znaczenie. Przywieziono ją z Petersburga, — nie narodziła się w Wilnie.

— Mogła przyjść na świat w Wołczynie — rzekł Brühl — bo Czartoryskim wygodniejby było mieć na tronie kreaturę posłuszną swojej roboty, niż nawet samym panować.

Zamyślili się dwaj rozmawiający. Wtem, gdy Plater myślał, czemby jeszcze ciekawość chciwego nowości Brühla mógł nakarmić, wszedł kapelan Augusta III ze zleceniem, aby ministra prosił natychmiast do króla.

Brühlowi znane były dobrze te po kilka razy na dzień wznawiające się pilne zawsze sprawy, do których był potrzebnym, kończące się najbłahszem jakiemś pytaniem.

Król bez niego żyć nie mógł, czuł się opuszczonym i trwożył, a gdy nie miał co z nim omówić, chciał choć patrzeć na niego. I tym razem nic się ważniejszego znaleźć nie spodziewał, chociaż kapelan zapewniał, że listy nadeszły od podstolego koronnego Lubomirskiego, które August III sam rozpieczętowywał i czytać je sobie kazał.

Zmarszczył się minister, dowiadując się o tem, bo się lękał, ażeby samowola królewska nie weszła w zwyczaj, gdy dotąd wszystko przechodziło przez jego ręce.

— Cóż się to stało N. Panu — odezwał się do kapelana, — iż sam list otworzył. Mógł w nim znaleźć coś niemiłego i zatrważającego, czemubym, ja mógł zapobiedz.

— N. Pan — odparł duchowny — tak jest niecierpliwy, aby mu co wyjazdu do Drezna nie kazało odroczyć.

Brühl, nie dosłyszawszy końca, ruszył natychmiast do pałacu saskiego. Konie zaprzężone zawsze na zawołanie czekały.

Króla zastał ze zgasłą fajką, krokami ociężałemi przechadzającego się po pokoju. List otwarty leżał na stole. August III, nie mówiąc nic, wskazał go rozpaczliwym ruchem rąk Brühlowi, który łapczywie go pochwycił.

Podstoli koronny miał dobra rozległe na granicy Wołoszy; trudno mu się tam upilnować było. Ludzie Lubomirskiego, napotkawszy kupców tatarskich, złupili ich i ubili kilku z czeladzi. Lament stąd powstał i narzekania nie na Lubomirskiego i jego ludzi, ale na samą Rzeczpospolitę. Chan, odgrażając się, oznajmił, że jeżeliby zaspokojonym nie był, Ordę ściąga i z nią pójdzie we wnętrznościach Rzeczpospolitej szukać sobie wynagrodzenia krzywd swoich.

Król drżał przerażony. Wojna z Tatarami, zatem, dziczy, której okrucieństwa i rozboje były w żywej wszystkich pamięci!

Lubomirski list chana z przekładem przesyłał w oryginale królowi, uniewinniając ludzi swych, a zarazem składając skargę drugą na Tatarów, że im Czarnocki, majętny szlachcic z Sandomierskiego, który też miał posiadłość na pograniczu, upatrzywszy chwilę sposobną, wpadł znienacka i kilkaset koni, na pastwiskach pochwyconych, uprowadził.

Mieli więc Tatarowie aż dwa słuszne powody do wypowiedzenia wojny i grozili zemstą srogą, jeżeliby wynagrodzonymi nie byli. Lubomirski się do winy nie przyznawał i pretensyi tatarskich zaspakajać nie myślał, a Czarnocki, choć sprawa głośną była, sianem się chciał z niej

wykręcić. Ani z jednego, ani z drugiego na razie nic nie można było wyciągnąć, a Tatarowie krzyczeli, że czekać nie myślą.

Król przewidywał już, że go dla Tatarów zatrzymać mogą w Warszawie.

— Brühl—zawołał król—potrzeba na to rychłego ratunku. Odjechać mi stąd nie dadzą, póki żarłoczności Tatarów nie zaspokoimy. Powiedzą, że się od Tatarów salwuję, jadąc do Drezna, a ty wiesz, jak mi tam pilno. Sześć lat nie miałem ani jednego godnego mnie widowiska. Cleopida czeka na mnie!

Brühl stał wpatrzony w rozwinięty długi list chana i porozrzucane papiery; zdawał się dumać nad środkami obrony.

Król naglił.

— N. Panie—odezwał się wreszcie,—kto się ośmielił papiery te, które tylko za pośrednictwem mojem dochodzić powinny W. K. Mości, wprost oddać do rąk Jego? Ja staram się zapobiedz, aby Wam trosk próżnych oszczędzić. To spisek na spokój, zdrowie i życie W. K. Mości; ja się naprzód domagam ukarania tej zuchwałości.

August III zadumał się nieco, ale z wdzięcznością przyjął to oburzenie Brühla.

— Brühlu—wyjęczał,—zostawmy to wykroczenie do rozpoznania w przyszłości. Tatarów mamy naprzód do pozbycia się ich.

Minister wiedział bardzo dobrze, iż zarówno Tatarów jak i chrześcijan, gdy się z niemi wojować nie chce lub nie może, pozbywa się pieniędzmi. Żal mu ich było dla smarowania brudnych kożuchów Ordy, ale nie strwożyły go te pogróżki. Chcąc jednak uchodzić za wybawiciela i nową uzyskać u króla wdzięczność, musiał się zlęknąć dziczy pogańskiej choć na chwilę.

— Tak jest N. Panie—odpowiedział z surowym wyrazem twarzy—tak jest, naprzód wszelkie niebezpieczeństwo od Ordy usunąć potrzeba. Pozwólcie mi się tem zająć.

— Wszystko zdaję na ciebie; ty jeden uratować mnie możesz—przerwał August.—Tatarzy muszą już stać na granicy, gdy my nie mieliśmy nawet przeczucia te-

go, co nas czeka. Tatarzy i kanclerz!! Brühl, naprzód proszę cię, niech duchowieństwo nakaże nabożeństwo po kościołach dla odwrócenia od nas tej klęski, a potem...

— Zaczniemy od Boga—odezwał się minister z westchnieniem potężnem.—Miałem tęż samą myśl, a potem... weźmiemy się energicznie do dzieła.

Król się zająknął zamyślony, wymawiając z trudnością.

— Pospolite! pospolite!

— Ja mam nadzieję, że pospolitego ruszenia potrzebować nie będziemy—przerwał Brühl.—Tatarowie są więcej na grosz, niż na krew, łakomi. Któż wie?... może nam się uda...

Zrozumiał August i rzekł żywo.

— Ale mamyż my pieniądze?...

— My je zawsze mamy—odpowiedział minister—ale ma je i skarb koronny, który za grzechy szlachty płacić powinien. Proszę Was, N. Panie, raczcie być spokojni—zrzućcie na moje ramiona ciężar ten. Spodziewam się mu podołać.

Rozrzewniony August III, uścisnął ukochanego ministra, który zagarnąwszy papiery, natychmiast z niemi do pałacu swego pośpieszył.

Tu rzucił się na kanapę, nie spojrzawszy nawet na nie i spokojnie zajął się nierównie dla niego więcej interesującą korespondencyą, która na niego czekała.

Były to listy poufne, z których przynajmniej połowa charakterem zdradzała pochodzenie swe z buduarów i sypialni niewieścich. Lecz nie miały one już dla zestarzałego i przeżytego ministra żadnego uroku i siły pociągającej. Daleko ciekawszemi były tajemnicze notatki, które z różnych stron nadchodziły, donosząc o ludziach, o interesach, o intrygach, w które Brühl był mniej więcej wmieszanym.

Umiał on ze wszystkiego korzystać i dlatego na wszystkie strony miał oko. Przez niego tylko robiło się to, co od królewskiej zależało woli, a August III tak był do tego przywykłym, iż nic sam przez się, ani przez nikogo bez Brühla dokonać nie śmiał. Jeżeli przypadkiem coś się zrobiło, pomijając go, zawsze prawie stawał się potem cud, zrobione trzeba było przerabiać, odrabiać i odwoływać. Brühl się widocznie nie mieszał do tego, przychodziło to samo z siebie.

Potrzeba było niepospolitej zręczności, znajomości charakteru króla i odwagi, ażeby przez lat kilkadziesiąt utrzymać go w tej kurateli, nie dać mu się poruszyć, nic począć, pomyśleć nawet. Brühl dokonywał tej sztuki sposobem bardzo prostym: żywił w Auguście III wszystkie jego słabostki, pomagał do ich rozwinięcia, do przeistoczenia się w nałogi, pielęgnował namiętności, upodobania, fantazye.

Miłość i poszanowanie pamięci ojca były sprężyną, która pobudzała króla do naśladowania go we wszystkiem, oprócz miłostek. Teatr, stworzony przez Augusta II, utrzymał jako dzieło, myśliwstwo mu ulubione uczynił najgłówniejszą swoją rozrywką, dla siebie zbierał tylko obrazy, które ściągał i drogo opłacał.

Brühl naprzód starał się o to, aby nigdy panu na tych zabawach nie zbywało, zajmował go niemi do tego stopnia, iż potem na nic innego czasu i sił nie stawało.

W spuściźnie po ojcu wziął także król upodobanie w lipskim jarmarku, na który wówczas zjeżdżali się dla zabaw książęta niemieccy, całe ich dwory, panie i młodzież. Jarmark lipski nadzwyczaj ożywiony, był karnawałem weneckim północy. August III ile razy mógł, przybywał do Lipska na mięsopust, bawił aż do popielca i cieszył się, gdy tłumny zjazd znajdował. Brühl naturalnie nigdy mu towarzyszyć nie omieszkał.

Sprowadzano aktorów francuskich, a handel też z tego korzystał.

Wszystko to, czego król podczas siedmioletniej wojny był pozbawiony, ciągnęło go teraz do Drezna i Lipska, do Sasów Hubertsburgskich i do galeryi, w której królowała Madonna Rafaela i dwa arcydzieła Corregia.

W chwili, gdy się spodziewał temu najgorętszemu pragnieniu zadosyćuczynić, zagrożonym był przez Tatarów i to przyprowadzało go do rozpaczy niemal. Ale od

czegóż był Brühl, ten Brühl, który wyszedł cało z walki z Fryderykiem i monarchę swojego ocalił.

Przypisywał mu to przynajmniej August III i wdzięczność jego nie miała granic. Troszczył się tylko o to, jak potrafi nagrodzić ulubieńcowi wszystkie straty, jakie on poniósł, będąc wystawionym na zemstę króla pruskiego, zrabowane pałace, zniszczone zbiory, spustoszone majętności.

Tatarowie przychodzili ministrowi w porę, niemal pożądani, bo zażegnawszy niebezpieczeństwo, od nich zagrażające, mógł zaskarbić sobie nowe prawa do wdzięczności. Wistocie zaś pogróżki od Ordy nie były żadną nowością; znano się z niemi i zawsze w jeden sposób radzono sobie; umawiano się o haracz, który im zapłacić miano.

I tym razem nic nie zagrażało nikomu, oprócz skarbu koronnego, który, choć wycieńczony, mógł się łatwo zdobyć na kilka lub kilkanaście tysięcy czerwonych złotych.

Brühl też ani spojrzał na listy Lubomirskiego, a zajął się swojemi osobistemi sprawami. Kilka wakansów było do rozdania więcej płacącemu. Nie zbywało na ofertach. Szło o to, aby pieniędzy wziąć jak najwięcej, a rozdać dobrodziejstwa tym ludziom, którzy najmniej szkodliwymi lub pożytecznymi być mogli.

Polska teraz po odjeździe króla wystawioną była na teatr zapasów stronnictw, walczących z sobą. Czartoryscy mieli nietylko cesarzową, ale niepospolite zdolności, powagę, znaczenie ludzi, którzy polityką zajmowali się całe życie.

Brühl nie taił przed sobą, że to stronnictwo, co popierając go, stało przeciw niemu, wyposażone było niepospolitem zuchwalstwem i butą.

Przybywająca do Wilna księżna hetmanowa, aczkolwiek śmiała i nie dająca się lada czem ustraszyć, na samym wstępie, zdążając na Antokol przez miasto, mogła już powziąć wyobrażenie o tem, czem będzie sama

walka o Trybunał, z przygotowań, jakie zastała dokoła Wilna i w niem samem.

Ulice i domy pełne były ludzi uzbrojonych, gromady pijanych piechot, hajduków, kozaków, pajuków, dragonów zalegały podwórza, rynki i domy, z których właścicieli powyrzucano. Były to dopiero same dwory możnych panów, którzy w tym dramacie role ważniejsze odgrywać mieli.

Z tych wszystkich wysłańcy królewscy, Krasiński, biskup kamieniecki i Brzostowski kasztelan, najmniej byli widoczni i pokaźni. Brzostowski chodził niepostrzeżony, działał ostrożnie i po cichu, jedną i drugą stronę strasząc nie tylko niełaską królewską, ale siłami przeciwników. U Radziwiłła powiedział o pułkach wciągających *in viscera* Rzeczypospolitej, których wprowadzenie kraj miał zrzucić na tych, co zmuszali do ich powołania. U księcia kanclerza wyliczał regimenta Radziwiłłowskie, jego nadworną milicyę, a wreszcie pomoc wojsk, które hetman polny będzie zmuszony mu dać.

Nie wiedziano jeszcze zupełnie, czy Sapieha to uczyni, bo księżna jejmość nie cierpiała wojewody wileńskiego, ale Brzostowski znajdował pożytecznem zapewnić, iż to jest postanowionem.

Krasiński czynniejszym był jeszcze, wymowniejszym, zręczniejszym, lecz tak, jak król w którego imieniu tu stawał, nie miał powagi i znaczenia.

Król to był Brühl, a u Brühla wszystko robiły pieniądze. Czartoryscy i Radziwiłł do ufundowania Trybunału po swej myśli przywiązywali największą wagę i gotowi byli ofiar nie szczędzić. U jednych i drugich biskup Krasiński znajdował opór żelazny i niecierpliwość zmierzenia się z nieprzyjacielem.

Wyśmiewano się z księcia wojewody wileńskiego, że u niego ciągła pijatyka i wrzawa, że po dziedzińcach strzelano, po ulicach biegano i nie tajono planów wojennych. Czartoryscy stosunkowo cicho siedzieli, ale to nie znaczyło wcale, ażeby mieli dać za wygraną.

Nie było dnia, ażeby przy drzwiach zamkniętych nie radziły obie strony, co począć mają. Narady niekiedy trwa-

ły do późnej nocy. Nie mogła naturalnie uczestniczyć w nich księżna Sapieżyna, ale wysyłała Tołoczkę, który towarzyszył hetmanowi i ze wszystkiego zdawał sprawę. Tołoczko był powiernikiem jej myśli, a Sapieha wiedział o tem i musiał się na niego oglądać.

Im termin owego fundowania zbliżał się bardziej, tem gorączka rosła. Stronnictwu Czartoryskich przekładano, że narażać się na niechybną klęskę nie godziło, gdy w układach, do których Krasiński się ofiarował, zyskać mogli dobre warunki. Nie wahał się obiecywać wysłannik królewski.

Wiadomem było, że Radziwiłł, brawurując to, że sił wojskowych prowadzić w taki czas nie było mu wolno, ruszył w cztery tysiące milicyi nadwornej, pod pozorem ingresu, na województwo wileńskie.

Wjazdy takie uroczyste i z pompą wielką książęta zwykli byli od wieków odbywać, a cały szereg wojewodów, za księciem stojący, stanowił *praecedens* niezaprzeczony. Nie można mu było wzbronić tego, co przedtem było dozwolon.m.

Pomiędzy lawirowaniem i stanowczem wystąpieniem zdania były podzielone.

Nazajutrz po przybyciu hetmanowej do Wilna Tołoczko doniósł ze szczegółami na czem stanęło u księcia kanclerza. Zwołana z pośpiechem wielkim rada przyjaciół *Familii*, po kilkogodzinnych burzliwych rozprawach, postanowiła czekać wentów dalszych, a mianowicie zezwolenia na poparcie wojskami, na które hetman wielki zgodzić się nie chciał.

Czartoryskim uśmiechał się plan nader zuchwały młodego Branickiego, starosty halickiego, który obiecywał całe wojsko Radziwiłła zetrzeć na miazgę. Drudzy widzieli w nim niebezpieczny eksperyment, który się nie mógł udać, a nieszczęście mógł sprowadzić.

Branicki, który miał wielką eksperyencyę wojskową i służył czasu wojny z Prusami w wojsku austryackiem, wnosił, aby nocą zniszczyć most na Wilii, mogący służyć do połączenia rozdzielonych sił księcia wojewody i na połowę ich uderzyć całą siłą.

Ale potrzeba było do pozoru zaczepki i pewności, że się nie pośliznie noga. Hetman na eksperyment wojsk narażać się nie chciał. Zalecano starostę halickiego z jego służby w wojsku austryackiem, na co miał dowcipnie odpowiedzieć nie należący do rodu pan Burba.

— Nie zaleca to pana starosty, że edukacyę brał w austryackiem wojsku, w którem się tylko nauczyć mógł, jak się biorą plagi.

Rozchwiał się więc ten plan, a biskup Krasiński ciągle na układy nalegał, męczył i miał nadzieję, że one dojdą do skutku.

Książę kanclerz nie życzył sobie układów, które zdaniem jego, powagę stronnictwa nadwerężały, ukazując słabość jego. Z klęski nawet można było jakąś korzyść osiągnąć, a przyjmując pakta i o nie się dobijając, przyznawano się do niemocy.

Nie śmiano jednak wbrew okazać oporu, odpychając układy; książę kanclerz obiecywał sobie prowadzić je tak, coraz nowe robiąc wymagania, aby spełzły na niczem.

Biskup Krasiński winszował już sobie sukcesu, gdy Czartoryscy wiedzieli z góry, iż zerwą wkońcu umowę.

Radziwiłł ze zwykłą swą butą żartował z księcia kanclerza i powiadał, że gotów się układać, byle wszystkie jego warunki przyjęto.

— Bo ja, panie kochanku, kroku w tył nie uczynię i nie dam się zbłaźnić.

Najgorzej wychodzili ci, co chcieli wyrozumieć Sapiehę, który sam nie wiedział, gdzie mu stanąć wypadnie, a żona go od wszelkiej decyzyi jasnej wstrzymywała. Ciągnięto go do księcia wojewody i dałby się był ująć, ale jejmość na to pozwolić nie mogła. Osobiście się jej naraził książę wojewoda, podchmieliwszy sobie, gdy jej grubiańsko przyciął, przypominając amory z młodym Brühlem, któremu, jak fama głosiła, winien był Sapieha polną buławę.

Drugą też tajemną pobudką do odstrychnięcia się od Radziwiłła było to, iż Sapieżyna zajęta była i rozkochana w stolniku Poniatowskim i pragnęła go odciągnąć od

znienawidzonej rywalki, księżnej wojewodzicowej Mścisławskiej.

Obie one walczyły naówczas o pozyskanie serca siostrzeńca Czartoryskich, o którym głoszono tajemniczo, iż wielka czekała go przyszłość.

Stolnik, który się naówczas w Wilnie znajdował, zachwycał wszystkie kobiety, należące do wielkiego świata. Pięknej i nader wdzięcznej twarzy, zalotny jak kobieta, dowcipny, pełen życia, stworzony do królowania w salonach, stolnik miał już za sobą sławę, przywiezioną z Petersburga. Był to, pomimo swej młodości, człowiek uniwersalny, mówiący doskonale kilku językami, któremu żadna nauka nie była obcą, umiejący być poważnym ze starymi, roztrzepanym w towarzystwie młodych, chwytający wszystkich za serca.

Mówiono żartobliwie, iż mu do perfekcyi na jednej rzeczy tylko zbywało—pić nie umiał, a w Polsce naówczas bez kielicha się nic nie odbywało, od niego zaczynało, na nim kończyło. Był on medyatorem, superarbitrem, najlepszym obrońcą i najskuteczniejszą sprężyną.

Mało go widywano w towarzystwach w Wilnie, gdzie więcej zdawał się szukać ludzi, aby ich poznać, niż, aby być poznanym; w niewieścich jednak kółkach obracał się chętnie i te mu były najmilszemi. Brat pani wojewodzicowej Mścisławskiej służył mu za przewodnika i adjutanta.

Zażywając Tołoczkę do spraw publicznych, szczególniej tam, gdzie na męża rachować nie mogła, hetmanowa zleciła mu też, aby się starał zbliżyć do młodego Branickiego, do stolnika, a nawet do wojewodzicowej, której każdy ruch śledzić była rada.

Posłuszny rotmistrz starał się o zawiązanie stosunków, lecz to mu się niebardzo wiodło. Naprzód pan Klemens był wychowany na łacinie, a kółko to czysto francuską miało fizyognomię i obyczaje. Wielka zapora dzieliła te dwie części szlachty i jedna do drugiej wcale nie była podobną.

Łacinnicy przechowywali tradycye narodowe, mieli dla nich poszanowanie, obcych naśladowań nie chcieli i wstręt nawet do nich głosili, gdy Francuzi, rozmiłowani w swym pierwowzorze i suknię starą zrzucali i wszystkie starodawne zwyczaje zastępowali elegancyą nowoczesną. Łacina prowadziła do kościoła,—francuzczyzna narzucała ateizm i niewiarę. W modzie było naśmiewać się z duchownych, bluzgać i szydzić z mnichów i pod niebiosa wynosić Voltaire'a.

Niewielu panów, na łacinie wykarmionych, zarazem z francuzczyzną się godził), ale i takich napotkać było można.

Pomiędzy kobietami matrony tylko trzymały się starych tradycyi i modliły z Heroiny chrześcijańskiej, młode już zamiast pobożnych książek, Rousseau'a nosiły w kieszeni.

Tołoczko, pomimo ogłady, która mu w salonie miejsce zajmować dozwalała, choć potrosze francuzczyznę rozumiał, nie mówił tym językiem, aby śmiesznym nie być i w głębi duszy brzydził się nim. To mu zawadzało, gdy trzeba było mieć do czynienia z paniami młodemi. Zręcznie się jednak posługując drugiemi, przynosił hetmanowej wiadomości i z tego mniej mu dostępnego świata.

Pracował tem gorliwiej dla niej, iż trafem napatrzył był właśnie w Wilnie panienkę, o której rękę zamyślił się starać z pomocą swej protektorki. Znał jej wielką zręczność w tych sprawach, a pewne okoliczności dawały mu nadzieję, iż księżna wielkich trudności w spełnianiu swej obietnicy mieć nie będzie.

W niewielkiej odległości od Wysokiego Litewskiego, w którem hetmanowa najczęściej przemieszkiwała, znajdowała się Kuźnica, majętność pani Koiszewskiej, strażnikowej trockiej, która tu z córką Anielą jedynaczką, od lat kilku przebywała.

Przedtem Koiszewska nie była tu znaną, z mężem swym rezydując około Wilna. Przybywszy w te strony, strażnikowa dała się tu poznać zaraz z tego, iż w osobliwszy sposób, we wszystkiem sobie radę dawać umiała. Mało potrzebowała porady prawników, gdyż statut i korektury na palcach znała. Około gospodarstwa chodziła, jak stary ekonom, który na tem zęby zjadł. Z jedną tylko francuzczyzną modną, choć język ten rozumiała, w zgodzie nie

była i do nowych obyczajów nawrócić się nie dała. Wszystko w niej było po staremu aż do przesady, wedle tradycyi, jak ongi bywało.

Rozumie się, że córkę Anielę chciała wychować wedle swej myśli i upodobania nie cudzoziemską modą ale po staropolsku.

Gdy się to działo, strażnikowa zamieszkiwała pod Wilnem, gdzie miała siostrę cioteczną, elegantkę i już na nową wiarę nawróconą. Mając wiele do czynienia z majątkiem i interesami, Koiszewska córkę często oddawała do siostry, nie przypuszczając, aby ona tam się nienawistną jej francuzczyzną zarazić miała.

Tymczasem stało się, że panna Aniela całem sercem do elegancyi przylgnęła i nauczywszy się szczebiotać i pisać po francusku, więcej się stała do ciotki, niż do matki podobną.

Koiszewska opatrzyła się po niewczasie, odebrała córkę i poczęła ją przerabiać na swoje kopyto, ale panna tem mocniej się przywiązała do tego, co jej się wydało lepszem i piękniejszem. Panienka była nie nadzwyczajnej rażącej piękności, ale wcale nie szpetna, a bujne włosy i duże oczy szczególniej ją odznaczały.

Wojna się poczęła pomiędzy matką a córką, zrazu bez wypowiedzenia, potem jawna. Panna Aniela nie śmiała przeciwko rodzonej matce występować, ale płakała, męczyła się a przerobić nie umiała. Chciała z niej strażnikowa zrobić gosposię dobrą, a jej śnił się wielki świat i towarzystwo takie, jakie u ciotki widywała.

Ponieważ wpływ ciotki, w sąsiedztwie mieszkającej, zawsze się na pannie Anieli czuć dawał, aby utrudnić stosunki, przeniosła się Koiszewska do Kuźnicy, ale trafiła z deszczu pod rynnę. Znalazła tu hetmanowę, która towarzystwo młodych i wesołych dziewcząt lubiła, a tu wszystko było na francuskim sosie.

Zrobiwszy naprzód znajomość z księżną, Koiszewska potem tak prawie, jak odsunęła się od niej, aby jej córki nie bałamuciła.

Powszechnie użalano się nad losem panny Anieli, pod ciężkim jarzmem despotycznej matki cierpiącej, ale Koiszewska twarda była. Nie dawała sobie imponować nikomu, robiła co chciała wedle przekonania.

Od zupełnego zerwania z Wysokiem, któreby było nastąpiło niechybnie, broniło to, że Koiszewska pobożną będąc, z córką do parafialnego kościoła w Wysokiem jeździć musiała. Tu się spotykała z księżną, która przez litość nad panną, a trochę też, aby na swem postawić, narzucała się Koiszewskiej.

Matka i córka obie z sobą były nieszczęśliwe, ale ani jedna, ani druga zmienić się nie mogła. Strażnikowa została kobietą starego autoramentu, a panna Aniela innego świata dziecięciem.

Jedyną nadzieją matki było, że ją potrafi wydać za szlachcica takiego, o jakim dla niej marzyła, któryby ją uczynił szczęśliwą i od płochego towarzystwa oderwał.

Wiadomem było, że panna miała gotówką pod poduszką dwanaście tysięcy złotych, a oprócz tego i wioskę, chociaż ją różne obciążały zapisy i kondykta. Dwanaście tysięcy nie było do pogardzenia, panna też świeża, młoda, lubiąca elegancyę, umiejąca szczebiotać i mogąca się podobać. Na starających się zbywać nie było powinno, ale strażnikowej Koiszewskiej każdy się obawiał. Powiadano, że męża w ryzie trzymała, wiedziano, że z córką też obchodziła się despotycznie, nie ważył się nikt do jej ręki.

W domu strażnikowej osób bywało mało, ona też nie lubiła wizyt i często wyjeżdżała. Tyle tylko, że pannę w niedzielę i święta widywano, przybywającą z matką do kościoła i modlącą się ze smutnym twarzy wyrazem. Ubolewano nad jej losem.

Tołoczko, który jakoś rzadko kiedy niedzielę u hetmana przesiadywał, jeżdżąc zwykle do domu i gospodarstwa, panny Anieli nie widział prawie i nie znał wcale. Uderzyła go postawa i twarzyczka, serce mu zabiło.

Po mszy, gdy wychodzili, zaraz w progu zapytał rezydenta hetmana, Śniegurskiego, ktoby była?

— A cóż to pan rotmistrz naszej panny strażnikównej nie zna?—zapytał chorąży.

— Jeżeli się nie mylę, po raz pierwszy ją widzę—

rzekł Tołoczko.—Panna wcale niczego, a nosi taki smutek w oczach, że mi jej czegoś żal.

— Ale bo wistocie dola jej nie do zazdrości—mówił chorąży.—Koiszewska, strażnikowa trocka, szacowna izacna matrona, ale panie kozak w spódnicy, trudno z nią żyć. To też słyszę, córka tam krzyż pański z nią znosi.

— Dlaczego?—badał Tołoczko.

— Bo wychowywała się, czy przebywała często u ciotki w domu eleganckim, wedle nowej mody i to do niej przylgnęło, a Koiszewska tego obyczaju i parle franse cierpieć nie może. Stąd pono między matką a córką nieporozumienie. Koiszewska przeniósłszy się w te strony, przyjechała z submisyą i do hetmanowej, a jak tu powąchała francuzczyzny, tak jej już ani złapać, ani wciągnąć; dziewczyna się w tej Kuźnicy samotnie męczy. Panna ma gotowego posagu dwanaście tysięcy, a po najdłuższem życiu dużo więcej mieć będzie, no i przystojna i w głowie słyszę, dobrze, a nikt się do niej nie przysunie. Córkę wziąć to nic, ale z nią matkę razem, dopiero orzech do zgryzienia!

Tołoczko słuchał, ale ani słowem się nie odezwał, żeby nie dać poznać po sobie, co mu już po głowie chodziło.

— Gdyby za mnie wyjść chciała, jabym się sekutnicy strażnikowej nie zląkł.

Przyszła potem jakoś właśnie rozmowa ó ożenku z hetmanową, która się go wyswatać obiecywała. Tołoczko to sobie przypomniał. Tegoż dnia w rozmowie, gdy do Wilna go wyprawiała księżna Magdalena, śmiejąc się wtrącił:

— Niechże księżna jejmość zawczasu mi remuneracyę przyobiecaną gotuje, bo ja się o nią upomnę, dalibóg.

Hetmanowa, która już była zapomniała o co szło, zapytała:

— Cóżem ja obiecała?

— A ożenić mnie—rzekł Tołoczko.

— Prawda! prawda! przypominam to sobie—odparła—ale jestem słowna! Co się obiecało, święte. Tylko mi usłuż na ym Trybunale, żebym była o wszystkiem dobrze uwiadomioną. Wiesz, że mój poczciwy hetman negliżuje się i lekceważy wiele; ja za niego i dla siebie muszę być pilną, a na was rachuję, jak na Zawiszę.

— Jeżeli tylko, jak na pana wojewodę mińskiego—przerwał Tołoczko żartobliwie.

— A nie łapże mnie za słowo—dodała piękna hetmanowa—a myśl, jakbyś swojego dotrzymał. Co się tyczy mnie, bądź spokojny.

Tołoczce, który sobie węzełek zawiązał na strażnikównie Koiszewskiej, nie wyszła już ona z pamięci; miał ją ciągle przed oczyma i przybywszy do Wilna medytował tylko, jakby na nią zasłużyć.

Tymczasem, jakby naumyślnie, u księży Bernardynów na mszy będąc, zobaczył ją tu znowu, gdyż matka dla interesu w Trybunale przybyła i ją z sobą przywiozła.

Tegoż dnia wiedział rotmistrz, gdzie strażnikowa stała i szukał już, ktoby go przedstawił.

Koiszewska domyśliła się łatwo, co go tu sprowadzało, ale nie dała tego znać po sobie, przyjęła go dobrze, wybadała, wypytała; wyciągnęła, co się dało i poczęła zaraz zbierać po znajomych wiadomości o Tołoczce. Ale mało kto go znał i niewiele mogła się dowiedzieć.

Rotmistrz już nie spuszczał ich z oka.

Koiszewska, przybywając na ten Trybunał, o którym jeszcze nie wiadomo było, ani czy się ufunduje, ani czyj będzie, miała dwie sprawy na celu. Naprzód proces zadawniony i trzeci już raz mający się sądzić *de noviter repertis* z Flemingiem, a w rzeczy pozbycie się córki i wydanie za takiego, któryby jej nie dał przerobić na francuską elegantkę, bo tych strażnikowa nienawidziła. Sama czuła, że nie podoła z nią, nie mogła bowiem pilnować jej ciągle; mąż poważny, uczciwy, łagodny, a energiczny razem mógł jeden ją ocalić, w skromnem domowem życiu uczynić szczęśliwą.

Koiszewska poznała już charakter Anieli dostatecznie, aby wiedzieć, jak sobie z nią ma począć. Siłą na niej nic wymódz nie było można, trzeba było kunsztu zażyć i dać jej męża, któryby ją na dobrej drodze utrzymał. Strażnikowa o sfrancuziałem towarzystwie mówiła otwarcie.

— Bardzo ono ładnie i elegancko wygląda, ale płoche

jest i na zgubę duszy godzi. Wolę, żeby córka moja nie tak pańsko i pięknie wyglądała, a Boga miała w sercu i tak żyła, jak jej prababki.

Rozpatrywała się więc, zajmując niby procesem. Tołoczko, gdy o nim zasięgnęła wiadomości nie podobał się jej głównie z tego, że hetmanowej służył. Szukała więc innego.

Nastręczył się w Wilnie, znajomość z nią robiąc, krewny daleki, młody Bujwid, starościc pogorzelski. Przybył on do Wilna w imieniu ojca, aby atentować przy procesie który miał z Przeciszewskimi.

Chłop był piękny, po staremu w bojaźni Bożej wychowany, a mówiło to za nim u strażnikowej, że ani słowa po francusku nie umiał. Wychował go starosta starym obyczajem na Alwarze i łacinie, kierując na prawnika i gospodarza. Prawnika z niego chciał mieć dla dogodności swej, bo nieustannie się pieniał i niezliczone miał sprawy, gospodarzem zaś musiał być, bo mieli na Żmudzi za Kownem dobra znaczne. Zrobił z niego, czego sobie życzył, bo Alojzy Bujwid między młodzieżą szlachecką prym trzymał. Konia dosiąść, do celu strzelić, w szable się wyrąbać, oracyę zaimprowizować, na łowach tydzień w lesie leżeć, w najgorszy czas przychodziło mu łatwo. Nie opuszczał też nabożeństwa i w kościele basem śpiewał, że wszystkich głuszył. Nosił się po polsku zawiesisto, suto, jaskrawo i z pewną elegancyą.

Ale w salonie z niego nie było pociechy; stał jak trusia, jąkał się i nie wiedział, co z rękami zrobić. Przejmując staropolskie cnoty, przejął też i przywary, bo, jakkolwiek młody, pił choćby półgarncowe kielichy spełniając duszkiem, i przy stole dotrzymywał najstarszym pałkom.

O wszystkiem tem Koiszewska była zawiadomioną, ale to ją nie zniechęcało i nie odstręczało; za wszystko płaciło, że francuzczyzny nie umiał i na fircyka w peruce przerobić się nie dał.

Pannie Bujwid się podobał, póki go nie poznała bliżej, bo był powierzchowności przyjemnej, a wyglądał, jak lew; kobiety zaś miękkich i słodkich mężczyzn nie lubią. Lecz w kilka dni odkrył się cały i Aniela patrzeć na niego nie chciała; wydał się jej dzikim, nieokrzesanym gburem. A że mówiąc, przeciągał jak potrosze wszyscy Litwini, przezwała go (bo po litewsku umiała nieco) *żemajtys kukutis* (kogut żmujdzki). Wydawał się jej śmiesznym ze swą brawurą, krzykliwością i manierami wiejskiemi.

Matka się unosiła nad nim, panna patrzeć nie mogła.

O Tołoczce, który się jej wydał za stary, i wiedziała, że wdowcem był, ani pomyślała, żeby się o nią mógł starać.

W mieście przez ten czas, poprzedzający ingres księcia wojewody i fundowanie Trybunału, stan był taki, że o asamblach, zabawach, wieczorach ani pomyśleć nie było można. Szczęk oręża głuszył muzykę, umysły były podrażnione, ludzie zajęci ważniejszemi sprawami i kobiety, które się wybrały na Trybunał do stolicy, bardzo źle na tem wyszły. Życie było nie do zniesienia. Zrana kilka godzin zajmowało nabożeństwo, ale potem, wyjąwszy, że się która z pań, mających ekwipaże, pojechała przypatrzeć obozom, albo do sklepów za sprawunkami, nie było co robić.

Odwiedzały się wzajemnie, narzekając, zjeżdżały na kawę i podwieczorki, a mężczyźni latali, odwiedzając swe znajome i plotki roznosząc.

Miejsca publicznego, gdzieby się towarzystwo liczniejsze zebrać mogło, nie było. A że panie podzielały sentymenta mężów i braci, więc choćby się zbliżyły do siebie, wzajem by chyba przymówkami ostremi się zabawiały.

W znaczniejszych domach, jak u Radziwiłła, Sapiehy, Lubomirskich, Massalskich, Pociejów, Ogińskich, Prozorów, domy stały wieczorami otworem; zabiegał tam kto chciał a każdemu radzi byli, bo coś z sobą przynosił, prawdę czy fałsz.

Takich pośredników, którzy przenosząc się z miejsca na miejsce, do intryg posługiwali bezwiednie, albo dobrowolnie, dosyć było. Do nich też śmiało i pana Klemensa Tołoczkę można było zaliczyć, bo choć stary i poważniejszy, tak obchodził domy i dostawał języka, jak inni.

Bujwid też szczególnie około Radziwiłłów i Massalskich się kręcił.

U pani strażnikowej, która domu nie miała wielkiego, nie zbierało się gromadnie jej towarzystwo, ale wieczorem zawsze ktoś był i jejmość się nie nudziła.

Panna Aniela, której w tej atmosferze starych po większej części ludzi, lub prostaczków było duszno, siedziała w kątku milcząca. Do towarzystwa miała tylko pannę Antoninę Szklarską, którą jej dobrała matka.

Szklarska, dosyć majętna, ale bardzo niepiękna, była już starą panną. Sierota, nie mając blizkich krewnych, najczęściej przebywała u przyjaciół, nie będąc nikomu ciężarem, bo lubiła być czynną, językiem władała po mistrzowsku i humor miała doskonały. Łączyły ją ze strażnikową jednakie pojęcia, nienawiść do francuzczyzny, miłość starego obyczaju.

Ubierała się Szklarska ze staroświecka, dziwacznie, chodziła w niemodnych już kontusikach, a rogówki i robronu nie kładła nigdy.

Osobliwe to było zjawisko, lecz ją dla dobrego serca szanować musiano i znano z uczynków dobrych, wybaczano jej wiele, coby drugim nie uszło.

Szklarska dochodziła do czterdziestki i sama mówiła o sobie, że chyba już za mąż nie pójdzie. Ospowata, piegowata, z oczkami małemi, z szerokiemi i tłustemi wargami, drobnym noskiem zadartym, z brodą szeroką i wystającą, brzydka bardzo, mimo to miała coś w wyrazie twarzy, w uśmiechu, co ją czyniło znośną. Gdyby się nie nosiła cudacznie, nie opinała kokardami żółtemi i czerwonemi, wieleby na tem zyskała.

Gdy jej kobiety doradzały coś, tyczącego się stroju odpowiadała:

— Ja bo ubieram się dla siebie, nie dla ludzi; dajcie mi pokój, mnie się to podoba i kwita.

Rozumie się, że Szklarska trzymała z Radziwiłłami.

— Czartoryscy i Flemingi do nas naznoszą niemczyzny. Niemczyzna a francuzczyzna to wszystko jedno!... To zaraza!

Tołoczkę, jako nieumiejącego po francusku Szklarska lubiła, a w Bujwidzie kochała się prawie.

Wtajemniczoną będąc we wszystkie projekta strażnikowej, Anielę pozyskać chciała dla Bujwida.

Panna do niej wstręt miała, bo jej się wydawała śmieszną; lecz wśród tych nudów uroczystych, jakie ją otaczały, była przynajmniej zabawną i to jej pannę Anielę jednało. Ale pomocą wielką matce być nie mogła, bo rzeczywistego wpływu na chwilę mieć nie mogła. Gdy stawała w obronie starego obyczaju, strażnikówna, nie spierając się, zamykała w milczeniu.

Tymczasem rozwiązanie przeciągało się. Tołoczko, mając w tem swą rachubę potrosze, a starając się przymnożyć gości hetmanowej, która lubiła, ażeby się koło niej zwijano i dworowano, chciał strażnikową namówić, aby odwiedziła sąsiadkę hetmanową.

— A dajże mi pan rotmistrz święty pokój. Co ja tam będę robiła? Wszystkie te lalki woskowe paplą po francusku, a ja tego języka nie umiem i znać nie chcę. Będę siedziała, jak malowana.

— Przecież tam się znajdzie siła po polsku mówiących—mówił Tołoczko.

— Beze mnie się chyba obejdzie—odparła strażnikowa.—Nie chcę, aby mi się Aniela do tego towarzystwa przyzwyczajała.

— Wiem, że pani hetmanowa radaby była strażnikowej, dla której respekt ma wielki.

Koiszewska ruszyła ramionami.

— Mnie mój krupnik z półgęska lepiej smakuje, niż jej pulpety.

Na tem się skończyła pierwsza próba.

Spotkały się potem we drzwiach kościoła i hetmanowa pozdrowiła strażnikową imieniem sąsiadki, zapraszając ją do siebie. Podziękowała Koiszewska grzecznie, ale zimno, coś niewyraźnego przecedziwszy przez zęby.

Wysłane później przez dworzanina formalne zaproszenie nie pomogło też. Strażnikowa się wymówiła chorobą...

— Wiem, o co babie chodzi—rzekła do Szklarskiej.—Wiedzą, że Aniela posag będzie miała i pewnie jakiegoś

swojego klijenta radaby jej zaswatać. Stara sztuka, ale ja się na nich znam i córką moją nie dam rozporządzać nikomu.

Zabiegom niezmordowanym księdza biskupa kamienieckiego udało się nareszcie Radziwiłłowskich przyjaciół, a przez nich samego księcia skłonić do porozumienia z Czartoryskimi. Z obu stron pozwolono na tę próbę, zaręczając, że ona nie zda się na nic. Chociaż przez deferencyę dla króla próbować gotowi. Nikt się niczem wiązać nie chciał, tak, aby każdego czasu, pod najbłahszym pozorem mógł zerwać umowę i odstąpić.

Mógł się, jeżdżąc po wszystkich, biskup Krasiński przekonać teraz, że ci, co byli razem i trzymali się kupą, niekoniecznie byli z sobą tak związani, jak się zdawało. W wielu rzeczach hetmana wielkiego litewskiego, Massalskiego, trudno było zrozumieć, a ciotecznego brata księcia wojewody Radziwiłła, hetmana polnego Sapiehę, na oko stojącego przy Radziwille, także posądzano, iż go żona studzi.

Książę kanclerz obiecywał posłać od siebie dla porozumienia się kogoś, ale śmiał się i ruszał ramionami.

— Niech pogadają—mówił,—cóż to szkodzi, *próba frei*, księże biskupie!

Przyszło do wyboru miejsca, gdzieby się na neutralnym gruncie mieli znaleźć pełnomocnicy z obu stron. Wydało się ks. Krasińskiemu właściwem zaprosić do kardynalii Radziwiłłowskiej.

Gmach to był rozległy, w samem centrum miasta, około kościoła św. Jana położony. W nim o salę do obrad i osobne pokoje dla ubocznych traktowań na stronie, nie było trudno.

Nikt się nie spierał; naznaczono dzień i godzinę, a choć to po cichu i *privatim* się miało odbywać, nie omieszkiwał książę wojewoda nakazać, aby dwór jego i czeladzic wystąpiły odświętnie.

Sam zaś, nie chcąc wcale osobiście mieć udziału w układach, zapewnił sobie tylko kątek taki przy sali wielkiej na dole, aby mógł słyszeć wszystko i rozeznać głosy.

Radzili mu przyjaciele, aby lepiej ciekawość swą poskromił i czekał na osobności rezultatu, bo się obawiali, aby czemś podrażniony, nie wyrwał się z ukrycia i wszystkiego nie zepsuł swą niecierpliwością.

— Ale cóż bo, panie kochanku—odezwał się—rozumiecie, że ja taki jestem gorączka? Mnie to ani ziębi, ani grzeje, wiem z góry, że z tego nic nie będzie.

Umocowani od Czartoryskich, mieli tedy przybyć na godzinę trzecią i na przyjęcie ich wszystko było w gotowości takiej, ażeby nic nie zdradzało, że się tu miało coś niezwykłego odbywać. Chodzili więc ludzie, zaciągały warty, przyjeżdżali goście, wchodzili i wychodzili mnodzy Radziwiłłowscy klijenci.

Biskup Krasiński i Brzostowski kasztelan oczekiwali już od godziny, a na twarzy biskupa łatwo poznać było, iż otrzymanemu rezultatowi swych starań rad był niezmiernie i sobie przypisywał tak szczęśliwie zapowiadającą się ugodę.

Książę też na swem miejscu drzemał, osłoniony parawanem, który maskował drzwi otwarte. Przy nim stał do posyłek wyznaczony młody Orzeszko, dworzanin na służbie dnia tego.

Uderzyła godzina trzecia.

W ulicy ruch był i taki ścisk przed kardynalią, że przybywający, których się spodziewano lada chwila, w tłumie rozpoznani być nie mogli. Domyślano się też, że jawnie pokazywać się nie zechcą.

Czekano tedy niecierpliwie. Na wieży też uderzył pierwszy kwadrans; Radziwiłł kazał nieco uchylić parawanu.

— Niema nikogo!

Nie było nikogo. Wszedł Nietyksza podkomorzy, który miał interes prywatny do wojewody, a o zjeździe wcale nie wiedział. Musiano go schować za parawan, aby przybywających nie spłoszył.

Rdułtowski wniósł, aby dla odwilżenia ust pośredników, kazać przynieść wina. Książę coś zamruczał tylko-

Biskup kamieniecki, żywego wielce temperamentu, czerwieniąc się i blednąc, ciągle na zegarek spozierał, a zęby mu się ścinały z gniewu, który w sobie tłumił.

Najmniejszy ruch, szelest zwracał oczy wszystkich na drzwi, które stały dotąd nieporuszone. Książę baraszkował z Nietykszą.

Następny kwadrans wydał się wiekiem. Brzostowski na pozór spokojny siedział u okna i patrzał w ulicę z obojętnością doskonale udaną i Krasińskiemu, gdyby nawet chciał, nie powiodłoby się udawanie takiego chłodu. Nie tail się z tempe amentem, a że do prowadzenia tych układów wiele czasu i trudu poświęcił, podanie w wątpliwość skuteczności starań jego wprawiało go w niewysłowione rozdrażnienie i gniew prawie.

Zdawało mu się, że miejsce za zgodą wspólną oznaczone zostało i że przybycie nie powinno było ulegać kwestyi. Spojrzał na towarzysza, który obojętnie bawił się sznurkiem od firanki. Zbliżył się do kasztelana.

— Pół do czwartej!—szepnął.

— Pół do czwartej—potwierdził Brzostowski —*Le quart d'heure de grace*, minął, *i un quart d'heure de disgrace*. Cóż dalej będzie?

— Juści *de bonne ou mauvaise grace*, wkońcu przybędą—rzekł kasztelan.

— I ja tak sądzę—dodał biskup.

Zahuczało coś w ulicy, spojrzeli oba. Ogromny furgon Radziwiłłowski, czterema bachmatami zaprzężony, wyładowany wysoko, wciągał właśnie do kardynalii.

Z za parawanu słychać było gruby głos księcia wojewody, śmiechem przerywany.

Biskup Krasiński który w miejscu ustać nie mógł, pośpieszył do księcia wojewody. Badał go oczyma; na twarzy rumianej księcia nie było najmniejszej oznaki wzburzenia lub niecierpliwości.

— Taki dzień do polowania stracić między czterema ścianami na stołku, w izbie, to grzech!—zamruczał książę.—W. panie księże biskupie nie umiesz tego ocenić, bo jesteś myślącym a nie myśliwym, ale ja...

Drzwi się otworzyły w pokoju pierwszym. Krasiński pośpieszył zobaczyć, kto nadchodzi. Dworzanie księcia wnosili butelki i kielichy, i ustawili je na wielkim stole. Zresztą nie było nikogo. Z ulicy dochodził ten sam rumor, złożony z przeróżnych głosów i szmerów, skrzypienie kół, klaskanie z batów, rżenie koni, szczekanie psów, otwieranie drzwi niesmarowanych, tarcia o bruk nierówny kół ciężkich. Zdala dochodził cienki głosik jakiegoś dzwonka, który kwilił, jak ptaszek w szumiącym lesie.

W progu ukazał się hajduk ogromny, który głową niemal sięgał uszaka górnego. Była na nim znana barwa Czartoryskich. Obejrzał się powoli po sali i zobaczywszy biskupa, którego w życiu nie widział, ale miał opisanego, zbliżył się do niego z pokłonem, kartkę trzymając w ręku.

Żywo wyrwał mu ją Krasiński i czytał, czytał i odczytywał. Ramionami zżymał w gniewie.

— Zaczekacie na odpowiedź.

Hajduk wyszedł, pokłoniwszy się.

Biskup stał już za parawanem.

— Bardzo księcia przepraszam—zawołał—nie winienem. Umówiliśmy się o kardynalię, a odbieram list od Morochowskiego, sekretarza Fleminga, że oczekują nas u niego.

— U Fleminga?—zapytał wojewoda.

Nastąpiło milczenie.

— Jedźcie do Fleminga—rzekł książę.

— Z kim?

— Sami, panie kochanku.

— Na cóż się to zda?

— A no na nic—rzekł książę—i na nicby się nie zdało zebranie u mnie, ale jam zawsze rad gościom.

Biskup stał w płomieniach.

— Mości książę, mówmy seryo, kogo książę wyznacza od siebie?

— Nikogo, nikogo, księże biskupie—rzekł wojewoda.—Chcą się układać, niech przyślą układaczy, ja się układać nie myślę.

— Ależ książę przystał na to!—zawołał zrozpaczony biskup.

— Przystałem słuchać, panie kochanku, będę słuchał cierpliwie.

Uśmiechał się, mówiąc to, książę.

Krasiński stracił cierpliwość.

— Zaklinam pana wojewodę, zapobieżemy daremnemu krwi przelewaniu, niech książę wyznaczy, jak przyrzekł.

— Ale z moich nikt nie pojedzie do nich i ja nie mogę szukać układów, bo ich nie potrzebuję; zgadzam się tylko na to, że propozycyi słuchać będę.

Z za księcia dały się słyszeć głosy.

Jedni żwawo brali stronę Radziwiłła, a drudzy Krasińskiego.

Książę milczał, krążąc wzrokiem dokoła.

— Jeżeli koniecznie potrzeba—rzekł—czynić ustępstwo, poślę im Szyłę i Drużbackiego.

— Ale bogdajby ich, byle mieli umocowanie od księcia—zawołał biskup.

Byli to dwaj nieznaczący dworzanie księcia wojewody, którzy zwykle jeździli przy jego powozie.

Uderzył kwadrans na piątą.

Znurzony i zrozpaczony biskup począł, ręce łamiąc, nalegać na księcia, który milczał, głowę spuściwszy.

Wszyscy dokoła zabierali głos i nikogo już słyszeć nie było można. Brzostowski wstał od okna i zdawał się wybierać odjechać z niczem.

— Nie widzę innego środka—wyrwał się Krasiński—tylko sam chyba stanę do księcia kanclerza. Jadę do niego po...

Książę Hieronim ruszył się, jakby on także chciał uczynić krok jaki, ale wejrzenie wojewody go wstrzymało.

Radziwiłł z obojętną dumą nie patrzył już na biskupa, układy nie zdawały się go obchodzić. Wszystko już groziło zerwaniem, gdy od Fleminga nadeszła nowa karteczka.

Ze strony księcia nalegali jego przyjaciele, wojewoda znudzony począł mięknąć.

— Jedźże mój księże biskupie—rzekł—i powiedz, że ja im ustępuję pierwszego kroku, niech powiedzą, czego chcą, czem ich mogę zaspokoić. Ja od nikogo nic nie potrzebuję, bo mam za sobą *legalitatem*, a oni warcholą. Jak kapryśnym dzieciom, aby nie krzyczały. ustąpić im potrzeba, Jedź księże biskupie.

Krasiński nie dał sobie mówić dwa razy, skinął na kasztelana i ruszyli do karety w chwili, gdy książę wina podać kazał i miała się solenna rozpocząć pijatyka, o której wyrokować nie było można, czy się skończy dziś, jutro, lub za trzy dni, gdy wszyscy będą leżeć bezprzytomni.

Nie było dwu dworów mniej do siebie podobnych, nad księcia kanclerza i księcia wojewody. Radziwiłł reprezentował stary obyczaj, stare państwo, lepsze czasy, Czartoryski był wcieleniem myśli Konarskiego, na pół kosmopolitą, propagatorem reform, zwolennikiem oświaty i duchowego związku z zachodnią Europą.

Na oko nawet wszystko się różniło na tych dwu dworach, choć Czartoryski całkiem swojego polskiego na europejski sposób przerobić nie mógł. Widać tu było jeszcze kozaków nadwornych, bojarów, dworzan po polsku ubranych, ale obok nich przeważały peruki, francuskie fraki, szpady, stroje—i szły przodem. Język też francuski był tu niemal tak używanym, jak polski. Cudzoziemców kręciło się wielu.

U Radziwiłła można się było sądzić gdzieś na wschodzie, u księcia kanclerza—przypominał się Paryż. W kardynalii napijano się ciągle, strzelano, wyprawiano huczki: około Czartoryskich cicho było, ludzie chodzili karni i posłuszni.

Sam książę kanclerz miał postawę i rysy twarzy wielce arystokratyczne, a wychowanie i życie uczyniło go typem magnata, czującego swą siłę i dumnego nią. Radziwiłł się ubiegał za popularnością, Czartoryski ją sobie lekceważył. Podchmieliwszy sobie panie kochanku, czasem pana brata widział w szlachcicu, choć gdy mu się on sprzeciwił, bił go na kobiercu. Książę Czartoryski szlachtą ubogą i ciemną posługiwał się, ale się z niej nie wyśmiewał.

Fleming zachował typ swój niemiecki nienaruszonym i był poprostu śmiesznym, ale czuł także siłę, jaką miał i dumny był a opryskliwy.

Biskup Krasiński zastał ich obu razem w towarzy-

stwie pułkownika Puczkowa, sprowadzonego na to, aby był naocznym świadkiem wypadków i zdał sprawę imperatorowej. Pułkownik, średnich lat mężczyzna, miał powierzchowność dosyć przyjemną i więcej przypominał salonowego dworaka, niż żołnierza.

Gdy biskup w progu się ukazał, Puczkow, czując, że zawadzać może, pożegnał ks. kanclerza.

Po wyjściu jego, Krasiński, łamiąc ręce, zawołał.

— Mości książę, nie rozumiem, co się stało! Miałem przyrzeczenie, że ktoś będzie przysłany do układów, czekaliśmy.

— Ja czekałem także—odparł książę szorstko.—Pierwszemu mnie zabiegać i prosić o pacyfikacyę nie przystało. Czekam, co mi książę wojewoda zaproponuje.

— A on oczekuje, jakie książę postawisz warunki pokoju—rzekł biskup.

Fleming i kanclerz spojrzeli na siebie.

— Przybywam się dowiedzieć w imieniu wojewody.

Czartoryski się przeszedł po pokoju, milczał.

— Idzie o zapobieżenie przelewaniu krwi braterskiej, o uniknięcie wojny domowej.

— Wszystko to słyszeliśmy—odparł kanclerz.

— Pierwsza rzecz—począł śpiesznie Fleming po francusku—rozpuścić to wojsko, którem grozi.

Kanclerz dał znak ruchem ręki, aby mówić poprzestał; nastąpiło milczenie.

Służący wszedł z biletem na tacy, który Czartoryski czytać zaraz zaczął, zapominając o biskupie.

Brzostowski tymczasem, odciągnąwszy Fleminga na bok, żywo mu coś kładł w ucho. Zawołano pisarza z kancelaryi i książę jakiś interes obcy ekspedyował, pozostawiając biskupa w oczekiwaniu. Krasiński potrzebował całej swej siły moralnej, aby się pohamować i nie wybuchnąć. Wtem kanclerz siadł i zwrócił się do niego.

— Niech to będzie dowodem powolności z mej strony, że ulegam namowom waszym i gotów jestem z księciem wojewodą traktować. Zbierzmy się gdzie w miejscu neutralnem, tylko nie u wojewody.

Krasiński, który miał obszerny lokal, chociaż w klaztorze, zapraszał do siebie.

Zgodzono się na to.

— Im mniej mamy radzić, aby to poszło łatwo—rzekł biskup,—tembym życzył rozpocząć wcześniej.

Zaczęto roztrząsać możliwość godziny dziesiątej. Dla księcia była ona zawczesną. Zgodzono się na jedenastą.

— Tymczasem ja moje warunki pacyfikacyi czarno na białem spisać każę—wtrącił kanclerz—aby potem nie obgadywano mnie, żem niemożliwych rzeczy pragną.

Straciwszy tu czas na słuchaniu uskarżeń się, wyrzutów, szyderstw ze stronnictw króla, przycinków do Brühla i t. p. biskup zmęczony siadł do karety.

Kasztelan Brzostowski stał we drzwiach książęcych.

— Ja nie widzę potrzeby towarzyszenia ks. biskupowi—odezwał się.—Zrobiliśmy, co się dało zrobić, idzie o to, abyś W. Pasterska Mość raczył o tem zawiadomić wojewodę. Ja zbytecznym byłbym, jako pośrednik, a jako świadek nie jestem potrzebny.

Nie nalegał Krasiński; znużony, zasunął się wgłąb powozu i konie ruszyły.

Wieczór już był bardzo późny, ale miasto nie myślało o spoczynku. Nie było w niem prawie okna ciemnego; powozy, konni, piesi przesuwali się po pod domami. W niektórych kamienicach na dole szynki, w których głębi widać było ścisk tłuszczy i słychać krzyki, brzmiały muzyką dziką.

Przez okna tu i owdzie niepozamykane okiennicami, na jasnem tle szyb wiły się ciemne cienie postaci dziwacznych.

Biskup roztargnionym wzrokiem spoglądał na ten obraz, mieniący się coraz, podobny do snu gorączkowego. Niecierpliwy był już stanąć w kardynalii i dzień ten utrapiony zakończyć wezwaniem do upragnionych traktatów.

Kardynalię zdaleka można było rozpoznać. Otaczały ją kupy ludzi, stojące na ulicy dokoła i przypatrujące się wyjeżdżającym i wjeżdżającym.

Mówiono w tych tłumach, że książę miał wyjeżdżać sześciu niedźwiedziami na miasto, inni utrzymywali, że wyjedzie nago na srebrnej beczce, jako Bachus i t. p. Naj-

niedorzeczniejsze plotki trzymały ciekawych, przysłuchujących się tu wrzawie dochodzącej ze wnętrza.

Nie było wątpliwości, że u wojewody ucztowano, a tam się rzadko biesiada kończyła bez jakiegoś wybuchu.

Kareta ks. Krasińskiego z wielką trudnością mogła się zbliżyć do bramy, potem dopiero zapomocą czeladzi wojewody, która niemiłosiernie ropędzała ciekawych, wtoczyła się w oświecone wrota i ogromne sienie, tak pełne ludu, jak ulica.

Tu wesołość panowała jak zwykle po chmielu, a z beczek piwnych czerpano jeszcze.

Biskup Krasiński wszedł do tej samej sali, w której rano oczekiwano konferencyi, ale tu nikogo nie było. Na krzesłach w kącie spało kilku dworzan, już doprowadzonych do tego, że dłużej na nogach się nie mogli utrzymać.

Przez drzwi otwarte widać było cały szereg pokojów, mniej więcej pełnych gości, a w końcu rzęsisto oświetlone stoły, przy których wojewoda przyjmował. Tu naprzemiany panowało milczenie, po którem następowały wybuchy śmiechów i krzyku.

Biskup wstrzymał się zamyślony, czy mu wypadało w sprawie ważnej przystąpić do tak mało przygotowanych do niej ludzi, ale miał nadzieję, że kogokolwiek znajdzie trzeźwym i będzie mu mógł zdać to, z czem przychodzi. Czasu nie miał do stracenia. Zbliżył się więc do książęcego stołu, gęsto obsadzonego towarzystwem, które w kielichy potrącało i wypróżniało je ochoczo. Szło o to, aby napatrzeć kogoś, z kimby rozmówić się było można.

Rozmyślał jeszcze, gdy uczuł, że go ktoś pochwycił za rękę. Był to młody Rzewuski, na którego twarzy wesołej, ale nie okazującej skutków upojenia, malowało się szyderstwo i lekceważenie tego towarzystwa, w które był wmieszany.

— A księże biskupie — zawołał — przybywacie zapóźno; myśmy wszyscy już pod hełmem, a do nas się teraz dostroić trudno.

— Ale ja przychodzę w ważnej sprawie—przerwał biskup,—chciałbym ją tylko zdać komu; pomóżcie mi, proszę.

— Wiem! wiem!—odparł Rzewuski,—ale nie widzę, kogobym mógł nastręczyć, wszyscy, nawet Narbutt....

Podniósł się na palcach, szukając oczyma. Krasiński stał niemal zrozpaczony. Wtem książę wojewoda, który mały kieliszek trzymał w rękach naprzeciw światła i lubował się bursztynową barwą zawartego w nim wina, trafem rozeznał stojącego naprzeciw siebie biskupa i żywo się poruszył.

Baczni na każde jego poruszenie przyboczni powstali z krzeseł, pytając spokojnie, co rozkazuje.

— Nic, dajcie mi pokój; muszę iść.

Rozstępowano się szeroko, a Radziwiłł raźniej i pośpieszniej, niż się po długiem zasiedzeniu można było spodziewać, przysunął się do biskupa, który szedł na jego spotkanie. Ujął go pod rękę.

Tuż był przyciemniony gabinet, który oświecała tylko jedna alabastrowa lampa. Nie było w nim nikogo, oprócz Morawskiego koniuszego, który drzemał.

— A cóż panie kochanku? co? — zaczął książę. — Czego oni chcą? Szybki z okna, czy kafelka z pieca?

— Jeszcze nie wiemy—rzekł biskup—ale,—nareszcie mamy obietnicę, że jutro swe żądania do mnie przyniosą, gdzie książę będzie łaskaw posłać kogo od siebie, aby mógł się ułożyć.

— Tak to łatwo—zamruczał książę i zadumał się chwilę.—Różne to są konsyderacye. Trybunału w ich ręce dać nie mogę. Majeritas przy mnie musi być, ale niemiłych im ludzi gotówem sakryfikować. Rosyan bym sobie na kark nie rad sprowadzać, a Puczkow mi owies i siano może wszystek wyjeść. Bić się też, gdyby z Sasami, z Niemcami, to tam jeszcze pół biedy, ale ze swemi! koniec końców, coś się im ustąpi, ale sza! sza!

Książę przyłożył palec do ust.

— W jakiem że oni usposobieniu?

Skrzywił się biskup.

— Książę kanclerz twardy—rzekł.

— Im słabszy będzie, tem stwardnieje mocniej—wtrącił wojewoda.

— Kogo książę pośle?—spytał Krasiński.

Wojewoda utopił wzrok w podłogę, jakby na niej kogoś szukał.

— Na węzeki chyba pociągnę—rzekł—sam nie wiem, zobaczę.

Krasiński nie nalegał już; po kilkakroć powtórzył godzinę i miejsce oznaczone w klasztorze.

— Cóż myślicie? będzie co z tego?—spytał książę.

— To zależy od was, mości książę. Jeżeli jest dobra wola utrzymania pokoju.

Nie było na to odpowiedzi; Radziwiłł westchnął, kazał sobie i biskupowi przynieść po kieliszku starego wina, otarł pot z czoła i usiadłszy na kanapie, pomrukując coś, usnął.

Krasiński, który ciągle go miał za zamyślonego mocno i gotującego odpowiedź—osłupiał. Posądził go o udawanie, lecz była to prawda jak najszczersza; książę chrapał i opadłszy na poręcz siedzenia, spoczywał po trudach dziennych.

Nie pozostało biskupowi, jak oddalić się pocichu, bo rychłego przebudzenia nie było się co spodziewać.

Wyszedł mocno znękany tem niepowodzeniem. W progu spotkał go młody Rzewuski.

— Nie mogę ani snu księciu przerywać—rzekł do niego—ani czekać, aż się przebudzi. Godzina późna. Będziecie łaskawi jutro przypomnieć wojewodzie moją z nim rozmowę i proście, aby mi dotrzymał słowa, jeżeli o wszystkiem nie zapomni.

— O to się nie macie co obawiać—rzekł Rzewuski—jeżeli chce pamiętać, będzie, ani mu przypominać trzeba...

Krasiński się już miał oddalić, gdy ciekawi, którzy na niego czatowali, zbliżyli się, biorąc między siebie. Szło wszystkim o dowiedzenie się, jaki nareszcie będzie koniec tych wojennych przygotowań. Nikt pono nie życzył sobie katastrofy i wojny domowej.

Biskup o tyle mógł ich uspokoić, że w nikim zbytniej nie widział do boju porywczości.

— Książę nasz—odezwał się Narbutt—na krew bratnią też nie nastaje, ale czci Radziwiłłowskiej broni i całą ją konserwować musi. Nie trzeba go do ostateczności doprowadzać. Gotują przeciwko niemu imponujące

manifesty, w których go gwałtownikiem szermującym prawami czynią. Chodzą już z rąk do rąk te skryptury, o których daj Boże aby się nie dowiedział, bo by je piszący za atrament krwią płacić musieli.

— Nic o nich nie wiem—odparł biskup.

Rdultowski obejrzał się dokoła powoli i ostrożnie wysunął zwitek papieru z kieszeni. Skupiono się wokoło niego, cisza nastała. Rzewuski pobiegł się upewnić, że wojewoda śpi.

Rdultowski trzymał arkusz cały zapisany gęsto, na który zewsząd oczy się zbiegały, przeczytał z niego kilka ustępów, tyczących się więcej miecznika, niż wojewody, jakoby kontempt praw wszelkich swojem postępowaniem dowodzącego, gdzie go Katyliną i nieposłusznym majestatowi króla i Rzeczypospolitej czyniono. Wstrzymał się jednak wkrótce, widząco burzenie przyjaciół wojewody, i obawiając się, aby mu manifestu nie wyrwano z rąk, schował go głęboko za żupan na przodzie.

Stali niektórzy z ichmościów prawie powytrzeźwiani wrażeniem, jakie na nich ułamki manifestu uczyniły. Odgrażano się, pragnąc imię autora dośledzić, a Rdułtowski dodał:

— Gdyby do wiadomości księcia to doszło, nie skłoniłoby go pewnie do ustępstwa, ale do zemsty pobudziło.

— Zatkałby mu gębę tym papierem—zawołał Wojniłłowicz,—ażeby się własną niepoczciwością udusił.

Wykrzykiwać zaczęto tak, że nareszcie i wojewodzie sen przerwano. Wstał, przecierając oczy i dopytując o przyczynę tej wocyteracyi, ale mu jej nie powiedziano, składając hałas na doskonałe wino, które tak szumieć zwykło, gdy się do dobrych głów dostanie.

Byłaby może biesiada skończyła się tym snem, gdyby wojewoda, czując się po krótkim spoczynku orzeźwionym nie zażądał, *de noviter repertis* z innej beczki począć libacyę.

Posłano z rozkazem, aby nowe gąsiorki na stół przyniesiono, do których inni zażądali przekąski tak, że służba na nowo nakrywać i podkurek zastawiać musiała.

Lekka ta przekąska, oprócz wędlin, wódek, pierni-

ków, słodyczy, dla poważniejszych żołądków, musiała fundamentalnych dostarczyć półmisków, pieczeni cielęcych i baranich, zrazów i bigosu, który z wielkim aplauzem powitano.

Księciu on przypominał łowy i śniadania w lesie, stąd zaraz rozmowa zawiązała się o ostatnim niedźwiedziu, postrzeżonym w Nalibokach, który psiarzowi skórę z czaszki zdrapał, ale zdrowy chłop wygoił się; tyle tylko, że grubszej czapki używać musiał. Posypały się anegdoty myśliwskie, które na czas jakiś o kanclerzu, o Czartoryskich, o wszelkich utrapieniach zapomnieć dozwalały.

Nic dziwnego, że przy bigosie i nowych kieliszkach, na podkurku czas tak zszedł niepostrzeżony, iż po klasztorach na jutrznię dzwoniono, gdy książę poszedł do łóżka.

Z gości znaczniejsza część, do domów się nie rozjeżdżając, w kardynalii mieściła się jak mogła. W sali narzucono siana i słomy, po pokojach kanapki i krzesła zużytkowane zostały.

Młody Rzewuski, który na siebie wziął księciu wojewodzie przypomnieć, iż biskup posłów od niego oczekiwać będzie na jedenastą, zasnął też snem młodych i sprawiedliwych.

Nikt nie śmiał zrana budzić znużonych i godzina dziesiąta biła a wojewoda nie wstawał jeszcze i Rzewuski sie dopiero przebudził.

Przypomniał on sobie natychmiast przyrzeczenie swoje, ale spełnić go nie mógł. Książę spał, a gdy począł wołać na służbę, było już blizko jedenastej.

Następowały zwykłe ranne ablucye i pierwsze śniadanie, modlitwy, potem raporta pilne i Rzewuski nie dostał się do wojewody, aż po czasie.

— Mówił mi wczoraj ksiądz biskup Krasiński— rzekł po przywitaniu,—iż mu książę kogoś wysłać przyrzekł na jedenastą godzinę.

— Hm!—odezwał się książę — wistocie, tak jest, ale do jedenastej daleko.

— Nie przyjdzie wcześniej, jak za godzin jedenaście— rozśmiał się Rzewuski.

Książę podniósł oczy na zegar.

— Zaspaliśmy—rzekł spokojnie—niema w tem nic złego, że na siebie czekać damy.

— Jedź-że asindziej sam do niego i tłumacz się jak chcesz, a żądaj, aby Czartoryscy swoje *desiderata* przysłali na piśmie. Więcej tam do czynienia niema nic.

———

Hetmanowa rada była, że mężowi towarzyszyła do Wilna, bo jej zawsze życie miejskie lepiej smakowało, niż Wysokie Litewskie, które pustynią nazywała. Tym razem jednak wiele ją tu rzeczy niecierpliwiło i przyprowadzało do złego humoru. Naówczas mąż pokutować musiał.

Zawczasu już roztrząsano kwestye nadzwyczajnej wagi: czy hetman polny miał wedle prawa i zwyczaju dać żołnierzy do utrzymywania warty przy Trybunale? Hetman wielki albo mniejsza buława była do tego obowiązaną.

Massalski otwarcie oświadczył z góry, że gdyby do ufundowania Trybunału przyjść miało, co się zdawało więcej, niż wątpliwem, on straży nie postawi.

Wiedział o tem panie kochanku, ale rachował na ciotecznego brata, hetmana polnego Sapiehę, iż ten mu jej odmówić nie może.

Pomimo tak blizkich stosunków familijnych nie widywali się teraz często. Sapieha, pod kierunkiem żony będący, unikał wojewody, a Radziwiłł dla hetmanowej, której nie lubił, nie śpieszył do brata.

Jednakże o tę straż dla Trybunału zawczasu trzeba było się upewnić.

Posłał dla wyrozumienia Wojniłłowicza.

Hetman Sapieha za miękkiego człowieka uchodził i giętkością umysłu się nie odznaczał, ale gdy mu potrzeba było się wykręcić, miał szczęśliwe instynkta. Wojniłłowicza, gdy o straży wspomniał, wyrozumiawszy, iż dla niej przychodził, zagadał zaraz jego własnemi interesami, o których wiedział, że one go obchodziły gorąco. Poczęli więc rozmowę i straż trybunalska została na boku, bo później więcej osób nadeszło.

Książę nic się nie dowiedział, ale tegoż dnia Sapieha do żony przyszedł, jak był zwykł, poufnie chcąc się naradzić.

Hetmanowa miała sposoby różne rządzenia mężem. Pierwszy był, iż mu insynuowała to, czego sobie życzyła, tak, iż sądził, że czynił wedle własnego natchnienia to, co ona mu podyktowała. Często nawet dla niepoznaki udawała, że jest przeciwnego zdania i że się podd je posłusznie woli męża.

A'e, gdy nie miała czasu niecierpl wila się, pilno jej było, wówczas wprost wstępnym bo em brała męża i dysponowała, jak ma postąpić.

W razie oporu i scysyi napadały ją wapory, mdłości, serdeczny śmiech, a wówczas wojewoda hetman na klęczkach, całując nóżki, przepraszał i rozkazom c ynił zadosyć.

Nad położeniem męża w tej sprawie Radz wiłłowskiej hetmanowa medytowala długo.

Hetman był związany pokrewieństwem z wojewodą i nie rad był go sob'e narazić, ale z drugiej strony ścisłe stosunki łączyły go z rozma:tcmi osobami przeciwnego obozu. Nie wypadało mu więc ani dla jednej, ani d a drugiej strony ok zać się powolnym: musiał zostać neutralnym, a winę składać na ludzi i okoliczności, które go zmuszały powstrzymać się od czynnego udziału w tym sporze.

Może za skłonn ścią swą idąc, byłby popierał Radziwiłła, ale wiedział, że żona nie pozwoli na to. Należało się z nią rozmówić poufnie w tym przedmiocie. Wojewodzina też upewnić się pragnęła, że mąż jej nie da się skłonić do wyraźnego poparcia wojewody.

Gdy hetman wszedł do pokoju żony, która odpoczywała jeszcze okryta pudermantlem, zastał ją chmurną i smutną. Pocałował ją w czoło, w rękę i usiadł przy niej, zapytując o zdrowie.

— N epodobna być zdrową—odparła hetmanowa.— Lubię życie, ruch, wesołość, nie cierpię nudów i milczenia, mam ich dosyć w Wysokiem; ale tu znowu wrzawa, prawdziwe piekło. Po ulicach strzelają, biją się, ścigają i coraz o jakiejś nowej dowiadujemy się awanturze.

Hetman odparł:

— A potrzebaż ci było, duszko moja, do Wilna się wybierać! Mówiłem i przestrzegałem, że tu spoczynku ci nie dadzą.

— Obawiałam się samego cię puścić—dodała piękna pani, patrząc w zwierciadło.—Masz nadto dobre serce, ludzie z tobą robią, co chcą, a ty potem za cudze błędy pokutować musisz.

Sapieha słuchał znajomych już sobie zdawna wyrzutów.

— Nie jestem tak dobroduszny i powolny, jak sądzisz—odparł hetman,—a tu właśnie *casus* taki, że potrzeba energii. Radziwiłł wiele wymaga, a nie wszystko po jego woli pójść może.

— O cóż to chodzi?—zapytała księżna.

— O bardzo wiele rzeczy—mówił hetman.—Wiesz jak blizkie nas łączy pokrewieństwo; chce tedy, abym ja z nim szedł, gdziekolwiek on pójść zamarzy.

— Spodziewam się, iż sam widzisz, jakiem to jest niepodobieństwem—przerwała hetmanowa.—Książę Karol, dzięki ludziom, co mu bębenka podbijają, głowę sobie zalewa, szaleje, unosi się, naraża całemu światu; ale on zawsze sobie da radę, w końcu ma czem sypnąć i usta zamknąć, a ci, co mu pomagają, padają ofiarą.

— Słowo w słowo to samo mówiłem wczoraj—rzekł Sapieha.—Zdaje się, że Trybunał, mimo Czartoryskich będzie ufundowany, choćby przyszło do rozlewu krwi, ale zamiast krwi—poleje się atrament. Wiadoma rzecz, że Trybunałowi należy się warta honorowa, którą hetmanowie dostarczyć powinni. Hetman Massalski wprost oświadcza, że jej nie da. Cóż tedy? Obrócą się do mnie, abym ja ją przysłał. Nie mamy żadnego powodu, dlaczegobym jej miał odmówić.

Hetmanowej usta się ścięły mimowolnie, z gniewu wyprostowała się dumnie.

— Jakto! myślisz mu wartę postawić?

— Przepraszam cię, myślę, jak nie postawić, ale dajże mi na to sposób—odparł Sapieha.

Księżna wsparła się na łokciu i dumała.

— Narażę sobie Radziwiłła, to nieuniknione, ale się później da przejednać, o to mniejsza; rzecz główna dlaczego

ja mam mu odmówić tego, co się każdemu Trybunałowi należy? Dlaczego?

Zadawszy to pytanie, na które wistocie odpowiedź była trudna, hetman wstał i poszedł drażnić ulubioną żony papugę, którą zawsze przyprowadzał do złości.

Księżna zadzwoniła i kazała nakryć klatkę. Nie odpowiadała nic.

— Jesteś pewny, że Trybunał stanie?—zapytała męża.

— Tak się zdaje nie mnie tylko, ale wszystkim—mówił Sapieha.—Primo Czartoryscy sił do postawienia przeciwko wojewodzie nie mają, zresztą sami nie chcą na żadną zgodę i pojednanie przystać, rezerwując sobie przyszłość.

Krasiński ma nadzieję ich pojednać.

— Nie zna ani Radziwiłła, ani Czartoryskich.

— Sądzisz więc?

— Trybunał stanie i warta będzie potrzebna—zaśmiał się hetman.—Poślą do Massalskiego, który naturalnie odmówi. Przyjdzie kolej na mnie. Dlaczegobym ja miał nie dać warty honorowej, nie wiem.

— Rzecz bardzo prosta,—żywo poczęła wojewodzina,—nie dasz dlatego, że hetman wielki jej nie dał... Zasłonisz się wprost jego przykładem. Honor ten nie należy ci, nie chcesz go uzurpować, ani sobie przywilejów nienależnych przywłaszczać.

— Hm—rzekł zadumany Sapieha,—słaby to argument.

— Owszem, najmocniejszy.

— A co gorzej—dodał Sapieha,—że wnosząc z tego, potem możnaby sądzić, iż hetman polny podległy jest hetmanowi wielkiemu i od niego zależy. Sposponują moją buławę.

— To wistocie na konsyderacyę zasługuje—odpowiedziała hetmanowa,—ale bądź co bądź, ja nie jestem za tem, ażebyś mu dawał wartę i okazał się sługą Radziwiłłów. Buława na tem nie zyszcze, a ty stracisz. Winieneś okazać się niezależnym od nich. Radziwiłł ma więcej pieniędzy, ale Sapieha taki dobry, jak on.

— To nie ulega wątpliwości—potwierdził książę, prostując się i dumniejąc.

— Argumentów znajdzie się na obronę dosyć—dodała księżna—ale z góry to sobie powiedz, iż warty dać nie możesz.

— Tak, ja to widzę, iż nie mogę—szepnął Sapieha,—ale potrzebuję czegoś, na czembym się oparł. Zerwać z Radziwiłłem groźna rzecz; naprzód wiesz, że on na wszystko gotów, nawet i do szabli gdy sobie podpije, a teraz pije, jak nigdy. Powtóre z Radziwiłłem się podrapać, to nic; ale on—to połowa Litwy. Kto nie z nim, ten jest przeciw niemu, na każdym kroku grozić coś będzie.

— Pytam się, co zyskałeś na jego pokrewieństwie i przyjaźni?—zawołała księżna.—Ani nawet antałka wina!

Pomilczała chwilę księżna, dając się wysapać mężowi; chodził i on zadumany głęboko.

—Czekajmy, jaki obrót wezmą sprawy—odezwała się, łos zniżywszy.—Ja ci nic nie chcę narzucać i dyktować postąpisz, jak ci własne przekonanie doradzi, ale nie trzeba się z deklaracyą żadną śpieszyć, a księcia unikać, ażeby się nie związać lada półsłowem.

Widać było, że powolności małżonka hetmanowa była bardzo rada; spodziewała się, począwszy tak zręcznie, poprowadzić sprawę warty do pożądanego końca. Nie potrzebowała nawet gwałtownie występować przeciwko panu wojewodzie, co zawsze potem na Sapiesze przykre pozostawiało wrażenie. Znał go bardzo dobrze i wszystkie jego przywary, ale zarazem kochał i nie rad był z nim zrywać.

Wyprosiwszy męża, gdyż nadchodził czas ubierania się i godzina, w której przyjmowała wizyty, księżna pośpieszyła z tualetą, i zaledwie wdziała rogówkę, posłała po Tołoczkę, któremu nowe chciała dać instrukcye i dowiedzieć się czegoś od niego. Co najmniej dwa razy na dzień rotmistrz musiał się stawić do niej, a pilno spełniał swą służbę, bo mu panna Aniela codzień więcej przypadała do smaku i na interwencyi protektorki największe pokładał nadzieje.

Tołoczko już był w mieście i pozbierał plotki.

— Jak stoją układy z Czartoryskimi?—spytała go niecierpliwie.

— Wczoraj nie doszły do skutku—odparł Tołoczko—a książę pił potem do rana ze swymi. Dziś Czartoryscy podadzą swe żądania.

— Nie wiesz jakie?—ciągnęła dalej.

— Wiem tylko, iż niepomiernie będą wymagające—rzekł Tołoczko.—Ponieważ na księcia hałas jest wielki, że siłą i gwałtem wszystko chce poczynać, więc coś może ustąpi, aby dać dowód królowi, iż mu był posłusznym i zgody sobie życzył, ale wszystkich warunków nie przyjmie.

Zbliżyła się do rotmistrza.

— Pamiętajcie wpajać przy każdej zręczności hetmanowi, że warty do Trybunału dać nie powinien. Pomyśleliby ludzie, że jest sługą księcia wojewody. Nie chce dać Massalski, nie powinien dawać Sapieha!

Tołoczko się skłonił.

— Wczoraj przyjeżdżał tu Wojniłłowicz, zdaje się dla wietrzenia, chcąc wyrozumieć hetmana, ale pono mowy o tem nie było.

— Książę jest ostrożny!

Rozśmiała się żona i poruszyła ramionami.

— A! gdyby nad nim nie czuwano—rzekła—co chwilaby nam figle płatał. Dobry jest i łagodny do zbytku, tego nieznośnego wojewodę weneruje, choć on drwi sobie z niego.

— Mój rotmistrzu—dokończyła, śpiesząc się hetmanowa—biegnij, proszę, abyśmy wiedzieli, jak stoją układy.

Tołoczno nizko się skłonił i zniknął.

Przyczyna, dla której pani hetmanowa tak się na pokoje śpieszyła, była, iż się pożądanego bardzo gościa spodziewała. Płocha i zalotna, a od dzieciństwa nawykła zabawiać się jedną co najmniej miłostką, hetmanowa nie miała serca, nie kochała męża, nikogo z tych, którym zawracała głowy, ale sama głową i fantazyą roznamiętniała się czasami. Naówczas potrzeba było cudu, że się nie narazi na złe języki, na zazdrość męża, na potwarze i tysiączne nieprzyjemności.

Wszystko to gotowa była znieść, byle postawić na swojem i tego, kogo zamierzyła mieć u stóp swoich, zmusić do zdania się na łaskę. Serce w tem najmniej miało udziału, ale miłość własna nabawiała ją szałem niemal, gdy spotykała trudności.

Płoche te miłostki, które zwykle nie trwały długo, nie wyprowadzały jej nigdy z tego świata arystokratycznego, w którym żyła. Ci ulubieńcy, którymi się chlubiła, należeli wszyscy do największych rodzin, do najwytworniejszego świata, do młodych gwiazd dworu i stolicy. Byli to zwykle ulubieńcy mody, którymi zajmowali się wszyscy, o których serca dobijały się wszystkie piękne panie. Pokonanie trudności, odebranie rywalce grało tu także wielką rolę.

Do tych najświetniejszych zjawisk owego czasu należał głośny już z miłostek, wysoko sięgający, siostrzeniec Czartoryskich, stolnik litewski, Poniatowski.

Wracał on właśnie z Petersburga i znajdował się w Wilnie. Oczy wszystkich kobiet zwróciły się ku niemu.

Piękny, miły, dowcipny, Francuz wychowaniem, słynął już sukcesami w sercach niewieścich, począwszy od Paryża do północnej stolicy. Wróżono mu wielką i świetną przyszłość.

Opiekowała się nim, oprócz wujów, przywiązana wielce do niego ciotka, hetmanowa Branicka—i co tylko z kanclerzem i Czartoryskimi było w stosunkach.

Sapieżynie dość było go spotkać parę razy, aby rozmiłować się wielkim płomieniem w ślicznym młodzieńcu i zaprzysiądz, że go zdobyć musi. Szło jej o to tembardziej, że fama głosiła, jakoby się już kochał w wojewodzinie mścisławskiej Sapieżynie, siostrze młodego starosty Branickiego.

Z panią wojewodzicową hetmanowa była w stosunkach najnieprzyjaźniejszych, nienawidziła jej, nie cierpiała. Wyrwać jej stolnika litewskiego było teraz najgłówniejszem zadaniem, dla którego gotową była wszystko poświęcić. Ku temu celowi zmierzało, co tylko czyniła.

Stolnik, dawniejszą mając znajomość z wojewodzicową, dotąd jeszcze zdawał się bardziej ku niej skłaniać, ale hetmanowa już umiała go podrażnić, przyciągnąć, zająć tak, iż zaczynał jej szukać i gonić za nią.

Wojewodzina pięknością nie mogła się mierzyć z rywalką, ale temperamentem, śmiałością, namiętnością ją przechodziła. Na przeszkodzie hetmanowej było to, iż w kołach, w których się stolnik obracał, ona była napół obcą. Ale kobiety niezbyt się pilnowały polityki mężów i rodziny, i nie gardziły hołdami z nieprzyjacielskiego pochodzącemi obozu.

Dla spotkania się ze stolnikiem hetmanowa oddała kilka wizyt, nie zważając na to, iż je fałszywie tłumaczyć było można.

I teraz też spodziewała się u siebie osób, z któremi Sapieha unikał stosunków. Głosiła salon swój neutralnym, z którego wszelkie intrygi były wygnane, a wesołość i zabawa w nim królować miały.

Stolnik już raz przychodził tu, a zastał takie przyjęcie, iż sama wdzięczność do powrotu go zmuszała. Oczekiwano go z niecierpliwością na Antokolu.

Tymczasem zajeżdżały powozy jedne po drugich, a ani młody Branicki, starosta halicki, ani on się nie pokazali. Wieczorem zaś przyjmowała u siebie wojewodzicowa,—i tam, tam stolnik niechybnie musiał się znajdować!

Hetmanowa zapomnieniem dotknięta do żywego, myślała teraz, czy pojedzie na wieczór do znienawidzonej rywalki. Wzdrygała się na tę myśl, ale nigdzie prędzej i pewniej stolnika napotkać nie mogła, gdy tak bardzo widzieć go i mówić z nim potrzebowała. Z poddaniem się losowi swemu, postanowiła przezwyciężyć się, jechać, a potem pomścić okrutnie. Stolnika się wyrzec było dla niej tem, czem wyrzec się życia. Nim teraz żyła tylko!...

Panie, co ją tego ranka odwiedzały, mogły poznać po twarzy, wejrzeniu, głosie, że ją coś do najwyższego stopnia wzburzyło, lecz tyle mieć mogła powodów niepokojenia się! Nikt nie odgadł tajemnicy.

Dla stolnika Poniatowskiego, który całą swą młodość niemal spędził z cudzoziemcami, zagranicą, we Francyi, Anglii, Dreznie i Petersburgu, kraj własny był ciekawą i nową kartą. Słyszał o nim wiele, widział go bardzo mało.

Burzliwe to fundowanie Trybunału było dla niego pierwszem praktycznem studyum obyczajów i ludzi. Z niezmierną ciekawością jechał do Wilna, ale że się tu spodziewano i lękano nawet walki i przelewu krwi, pani hetmanowa Branicka łapała wszystkich, z Litwy do Białegostoku przybywających, dowiadując się, czy ukochanemu siostrzeńcowi się co nie stało.

Stolnik, jakkolwiek mocno zajęty tym dramatem, zdaje się nie miał najmniejszej ochoty grać w nim czynnej roli. Francuz strojem, szablą nie władał i w zajścia kontuszowe wdawać się nie myślał. Ale z młodzieńczą ciekawością patrzał na ten świat, znany sobie tylko z opisów i tego, co się czasem pokazywało w Wołczynie.

Nie dziw teraz, iż w dniu, w którym wszyscy podglądali i nasłuchiwali, co się dzieje i transpiruje od księdza biskupa Krasińskiego, on ze starostą halickim objeżdżał piękne panie i domy, w których spodziewali się młodych twarzyczek

Po drodze stolnik napomknął o Antokolu, ale starosta miał od siostry instrukcye.

— Wieź go gdzie chcesz, tylko nie do hetmanowej. Niepoczciwa zalotnica poprzysięgła mi go odebrać.

Pomiędzy siostrą a bratem związek był jak najściślejszy. Wojewodzicowa ratowała go, gdy się zgrał w karty, on służył jej za posła do tych, z któremi potrzebowała, a nie mogła się zbliżyć. Rozkaz jej był dla starosty ważniejszym nad wszelkie inne względy.

— Na Antokol!—podchwycił.—Zmiłuj się, wszak to za światem, a hetmanowa już dziś po tylu przebytych przygodach, nie może być tak ponętną, aby dla niej odbywać podróż. Uwolnij mnie i siebie od Antokolu.

— Nie mogę, kochany starosto—odparł stolnik—winienem hetmanowi odwiedziny, które mi dziś wuj przypomniał; nie do niej jadę, ale do niego.

— Nie zastaniemy—oparł Branicki.

— To właśnie pobudka, ażeby jechać teraz i wpisać mu się tylko, nie narażając na nudną z nim rozmowę.

Zamyślił się Branicki.

— Więc u hetmanowej nie będziemy?—zapytał.

— Zapiszemy się u niej i u niego—powtórzył Poniatowski.—Zdaje się, że nas nie zje!—dodał śmiejąc się.

Godzina wizyty była spóźniona i dlatego hetmanowa przestała już spodziewać się upragnionego gościa, gdy powóz się przed ganek zatoczył.

Hetmana nie było w domu, ale usłużny kamerdyner oświadczył głośno, iż księżna pani jest w domu i przyjmuje. Branicki skrzywił się, pewien, że go spotka ostra od siostry wymówka, lecz nie było sposobu zapobieżenia. Weszli do salonu...

Potrzeba było widzieć uszczęśliwioną hetmanowę, która wybiegła na spotkanie stolnika, zaledwie spojrzawszy na starostę, pochwyciła Poniatowskiego i porzucając Branickiego samego, uniosła zdobycz z sobą do gabinetu.

Zły i kwaśny ciągnął za niemi Branicki.

— Cóż to za szczęście—szczebiotała, paląc go oczyma księżna—iż pan stolnik raczyłeś nas sobie przypomnieć. Doprawdy nie wiem jak mu podziękować... i gdzie ten dzień zapisać.

— Ja wiem, że go na wdzięcznem sercu zapiszę—odparł Poniatowski.—Jestem tak nieświadomy obyczaju, godzin, iż nie śmiałem pochlebić sobie, abym miał szczęszcie zastać panią hetmanowę. Sprzeczałem się o to ze starostą.

— Który utrzymywał, że mnie niema, nieprawdaż?—śmiejąc się złośliwie, zawołała księżna.—Ale co innego u pani wojewodzicowej, która jest przesycona towarzystwem i może sobie pozwolić nie przyjmować, gdy ją kto odwiedzić raczy. Ja jestem tak spragniona ludzi, żyjąc na pustyni...

— Pustyni!—podchwycił starosta.—Ale sąsiedztwo mają państwo liczne i bardzo dystyngowane!

Na tę uwagę hetmanowa nie odpowiedziała, zalotnym uśmiechem wabiąc Poniatowskiego, któremu żywo coś szeptać zaczęła.

Stolnik się też zapomniał. Oboje, wdawszy się w cichą, poufną rozmowę, oddalili się od niego i pozostawili go w pustym salonie na pokucie.

Musiał więc starosta przypatrywać się ogromnemu portretowi Lwa Sapiehy, stojącego u stołu w karmazynowej delii, na którym leżał przywilej z przywiesistą pieczęcią.

Mało go to bawić musiało, gdyż odchrząkiwał ciągle, dając znać o sobie, nie mogąc jednak odwrócić uwagi towarzysza, ani pięknej hetmanowej. Ulitowała się wkońcu nad nim księżna i zwróciła ku niemu.

— Przebaczysz mi, panie starosto—rzekła,—że sobie przywłaszczam gościa, którego widuję tak rzadko, a wy go macie codziennie. Mieliśmy ważną sprawę, bo ja się, wyznaję otwarcie, mieszam do polityki i intryguję okrutnie.

Branicki nie mógł się powstrzymać od złośliwego żartu, którym chciał za lekceważenie zapłacić.

— Za kim-że i dla kogo pani hetmanowa może intrygować—zawołał,—bo pan hetman, spodziewam się, starczy sobie sam, a Brühla niema w Wilnie.

Zarumieniła się od gniewu hetmanowa.

— Odgadłeś pan—odparła dumnie,—mam wistocie polecenie ministra, aby poruszyć do zgody i intryguję z całych sił za nią.

— A ja jestem za wojną—rzekł Branicki,—to moje powołanie żołnierskie, a wszystkim nam tu tak się sprzykrzyło wojować słowami, że radzibyśmy, aby raz szable rozstrzygały.

— Wracaj pan do Austryi—zawołała księżna—gdzie pierwsze zbierałeś laury.

Stolnik widząc, że obrót rozmowy mógł być niebezpieczny, pośpieszył wmięszać się do niej.

— Ja z panią hetmanową głosuję za pokojem, i gotówem wpisać się do jej pomocników.

Księżna usiłowała zatrzymać swych gości, lecz starosta dobył zegarka i nielitościwie przypominał znowu godzinę.

— Moja siostra czeka na nas—rzekł, wiedząc, iż tem wspomnieniem dokuczy księżnie, gdyż był we wszystko wtajemniczony.

— Nie śmiem zatrzymywać panów—odparła hetmanowa—tembardziej, że ich jeszcze dziś spodziewam się widzieć; wybieram się wieczorem do księżnej wojewodzicowej, za którą mi tęskno; tak dawno jej nie widziałam...

Wypłaciwszy się tak staroście, hetmanowa pożegnała gości, a stolnik, ucałowawszy białą jej rączkę, rozmarzony wsiadł do powozu z Branickim.

— Zestarzała bardzo! — odezwał się starosta szydersko, odjeżdżając od ganku.—Nic dziwnego, prowadzi życie bardzo pracowite. Hetmani za męża, mówią, że zastępuje w Warszawie młodego Brühla, w Wysokiem gospodaruje, w Wilnie zasiada w Trybunale, sejmikuje w Wylkowysku i Słonimie...

Stolnik się uśmiechnął, słuchając.

— Ja znajduję, że wygląda na wdowę bardzo młodą—odezwał się.—Praca ją widać nie męczy, bo szczęśliwie jest obdarzoną.

— Nie chwal jej tylko przed moją siostrą, bo choć obiedwie Sapieżyne, zdaje mi się, nie bardzo się kochają.

Stolnik i sam się tego domyślać musiał.

Zwrócili rozmowę i drogę, gdyż Poniatowski zamiast odwiedzić wojewodzicową, zażądał wrócić do księcia kanclerza, a starosta musiał się zgodzić na to. Sam jednak nie wstąpił do niego i wysadziwszy tu stolnika, pojechał do siostry.

U księcia kanclerza, choć na pozór spokój panował, ciche szepty i rozmowy obracały się wszystkie około toczących układów. Oczekiwano stamtąd wiadomości, która nie nadchodziła.

Dziwił się temu książę kanclerz, który znał Radziwiłła i sądził, że odrazu warunki zgody przeczytawszy, zerwie traktowanie o nią. Były one daleko sięgające i obrachowane na to, ażeby odstręczały. Musiano je wszakże wziąć na uwagę, gdy nie wracali, ani ci, co z niemi pojechali ani one.

— Słabszym więc jest książę wojewoda—rzekł—aniżeliśmy go sobie wyobrażali, jeżeli nasze kondycye przyjmuje. Ale co zrobimy, jeżeli się zgodzi na nie? Nie będziemy mieli czem się przed Puczkowem pochwalić.

— Tak—odparł wojewoda—ale zapominacie, że to

są nasze warunki, niekoniecznie wszystkie... Znajdą się dodatkowe.

Księciu kanclerzowi zaczynało być markotno. Chociaż pełnomocnicy jego mieli instrukcyę i wiedzieli o co chodziło, lękał się, aby nie zrobić fałszywego kroku. Niepokój taki nim owładnął, że spojrzawszy na siostrzeńca, powziął myśl wysłania go do Krasińskiego. Nim jednak usta otworzył, karetka, wiozącą jednego z pełnomocników, stanęła przed domem i on wszedł do pokoju.

Książę zwykle poważny bardzo i panujący nad sobą, tym razem podszedł kilka kroków i z oznaką zniecierpliwienia zawołał po francusku:

— Cóżeście mogli robić tak długo? Chybaście mnie nie zrozumieli? Warunków moich juścić przyjąć nie mogą i przyjaciół swych poświęcić, pocóż było daremnie dysputować? Posłałem je im, nie żebym się spodziewał przyjęcia, ale dlatego tylko, aby były odrzucone.

— Tak—odparł młody starosta, który okazywał po sobie, jak był nierad z obrotu rzeczy.—Tak; myśmy rachowali na to, że nie przyjmą naszych postulatów, a oni wzięli je pod rozwagę i jeżeli się nie mylę, zgodzą się na wszystko.

Kanclerz aż wykrzyknął oburzony.

— Ale to zdrada, wpadliśmy w pułapkę! Waćpan wiesz, panie starosto, jaki był plan mój; zerwać, pokazać przed Puczkowem, że tu ich przemoc wszystkiem włada i że my pomocy cesarzowej potrzebujemy. To być nie może, aby przyjęli.!

— Owszem, bardzo być może. Chcą tylko w spisaniu układów położyć, że się sakryfikują dla spokoju publicznego, że składają broń przed groźbą wojny.

Rzucił się kanclerz i wojewoda.

— To nie może być—zawołał,—żądamy od nich zbyt wielkich ofiar. Sejmik kowieński pacyfice się zakończy wyborem Bohusza i Łopacińskiego, a my go za niedoszły mieć chcemy. Na słonimskim obrano księcia Hieronima, który był *designatur* na maszałka trybunalskie go przez nich. Nie może książę brata obrazić.

— I jam tak sądził—odparł przybyły,—a jednak

wzięto na deliberacyę... i widzę, przeczuwam, że są gotowi do zgody.

Czartoryscy spojrzeli po sobie. Kanclerz wstał z krzesła, na które tylko co się rzucił.

— Ha! jeżeli im tego mało—odezwał się—wymyślmy im coś takiego, na co się bez zupełnego zaparcia zgodzić nie będą mogli. Nie kończcie w żadnym razie, dawajcie do zrozumienia, iż mogą być żądania dodatkowe, uzupełniające. Nie chcę zgody, a nawet takiego kulawego pokoju z niemi. Nie mogę paktyzować z warchołami.

— Jakże wam szło?—wtrącił wojewoda.

— Zbyt dobrze, jak się okazuje—rzekł starosta.—Książę sam nie występuje, ale skryty gdzieś słucha i wszystkiem kieruje.

— To się rozumie!—szepnął Czartoryski.—Im ta zgoda potrzebna: czyni ich wspaniałomyślnymi... Mnie ona szkodliwa, bo się okaże, iż malowałem tego dyabła czarniejszym, niż jest w istocie.

— Wiedzą, żeś pojechał do mnie? —zapytał wkońcu.

— Mogą się domyślać, chociażem inny wynalazł pretekst—odparł starosta.

— Powracajże. Jeżeli będą skłonni do zgody, przywieź mi spisane jej warunki. Potrzeba tam wtrącić coś takiego, aby się wszystko rozbiło. Rozumiesz mnie?

Drzwi się zaledwie zamknęły za starostą, gdy Czartoryscy pocichu z sobą żywo zaczęli coś roztrząsać. Stolnik, pozostawiony na stronie, przypatrywał się atlasowi, który leżał na stole rozłożony.

— Lękam się, aby mnie nie dosyć zrozumiano. Sprowadziłem pułkownika, aby mu pokazać anarchię naszą, a pokażę mu zgodę i sam sobie kłam zadam!!

— Nie rozgrzewaj się tak—wtrącił wojewoda,—ugoda niepodpisana. Łatwo ją uczynić niemożebną.

— Ale chyba pokoju chcą *à tout prix!*—zawołał kanclerz,—kiedy nawet księcia Hieronima, przyszłego swego marszałka, chcą mi poświęcić.

— Jeszcze go nie zarznęli—rozśmiał się wojewoda,—czekajmy!

— Lękam się przyjaciół więcej jeszcze, niż wrogów—odparł kanclerz,—gotowi mi się przysłużyć taką zgodą, która cały mój plan zrujnuje.

I książę chodził po pokoju niespokojny, popijał wodę zamyślał się, zżymał, patrzył na zegarek, aż bratu żal go było.

— Zamiast się tak niepokoić, proszę cię—odezwał się —poślij lepiej kogo z kartką do nich, aby na żaden sposób nie zbliżali się do zgody, niech płacą, niech nas bodaj skompromitują, ale niech nas nie wiążą.

Nawzajem książęta się uspakajać zaczęli i doszli do tego przekonania, że przecież nic złego stać się nie może.

Stronnictwo Radziwiłłowskie z porywczością swą butą, ostentacyą potęgi i popularności, uchodziło w kraju za daleko mniej zręczne i w polityce nie mogące się mierzyć ze stronnictwem Familii. Wszystko to byli w opinii ogółu ludzie zacofani, wieku przeszłego i przepowiadano im klęskę.

W całem tem traktowaniu o zgodę niewiadomo kto był doradcą księcia wojewody,—ale mu dał radę, która choć chwilowo pomieszała wszystkie osnute plany przeciwnego obozu.

Doradzono księciu, pomawianemu o gwałty, najazdy, o przemoc wywieraną na wszystkich, co mu posłusznymi być nie chcieli, ażeby tym razem okazał się powolnym, posłusznym życzeniom króla, gotowym do ustępstwa.

Czartoryscy się tego tak mało spodziewali, iż z początku sami nie wiedzieli co począć. Zgoda nie była w ich programie już gotowym.

Chciano doprowadzić wojewodę do tego, aby zawichrzył, dopuścił się gwałtu i usprawiedliwić manifest, który prowadził do konfederacyi.

Ta, gdyby raz przyszła do skutku, Czartoryscy by w niej mieli broń przeciwko Radziwiłłowi, zarówno, jak i przeciw królowi.

Gdy dnia naznaczonego pełnomocnicy księcia kan-

clerza przybyli do biskupa, ciekawość warunków podbudzona była do najwyższego stopnia. Cisnęli się ciekawi, aby posłyszeć kondycye. Odczytanie ich powitano milczeniem. Wymagania były niemal upakarzające.

Żądali Czartoryscy, aby sejmik kowieński, który zszedł zupełnie spokojnie, a obrano na nim bez kontradykcyi Bohusza i Łopacińskiego, ogłoszony został *pro vacandi*. Powtóre, aby sejmik słonimski gdzie wybrano ks ęcia podkomorzego litewskiego, Hieronima Radziwiłła, jawnego i jedynego kandydata do laski marszałkowskiej, przeciw któremu Czartoryscy nie stawili nikogo, również *pro vacandi* został ogłoszony.

Tych dwu punktów, a szczególniej ostatniego, zdawało się Czartoryskim dosyć, aby zerwać układy; nie przypuszczali bowiem, aby *pro honore domus* nie ujął się wojewoda i nie uparł przy słon mskim.

Tymczasem rzecz była przewidziana i pełnomocnicy księcia prosili, aby to wziąć mogli *ad deliberandum*. jeden z nich pojechał zaraz do kardynalii, obiecując powrócić wkrótce.

Biskup Krasiński, który słu hał czytania, desperując, wielce się zdziwił, duch w ni go wstąpił. Obawiał się nagłego zerwania.

Począł tylko posłanym przez kaclerza czynić wymówki, że z tak nadzwyczaj uciążliwemi występowali kondycyami.

Kardynalia nie była zbyt odległą, wymknął się i pojechał sam błagać wej wodę, aby miał wyrozumiałość i cierpliwość, dwie cnoty, na które mu się najtrudniej zdobyć było. Zastał księcia przy śniadaniu, w humorze doskonałym, śmiejącego się i opowiadającego niebywałe dzieje.

Obok niego gromadka doradców roztrząsała sejmikowe sprawy kowieńskie i słonimskie. Dziwnie to wyglądało, iż właśnie chciano mieć za niedosz e te sejmiki, na których spokojnie, bez sprzeciwiania się żadnego, posłów jednozgodnie obrano.

Biskup zaklinał wojewodę, aby dla spokoju *propter*

bonum pacis, wspaniałomyślnie dając przykład obywatelskiego heroizmu, przyjął te nietrafne warunki.

Ucierano się napół seryo, pół żartem, jak gdyby to wszystko było jakąś igraszką tylko. Wojewoda wkońcu kielich sobie nalać kazał i wychylił duszkiem zdrowie medyatora, oświadczając, że się zdaje na niego i honor swój powierza, gotów nawet na ofiarę brata.

Krasiński, nie czekając już, aby odmienny wiatr nie zawiał, popędził z tem do domu.

Tymczasem pełnomocnicy kanclerza pojechali do niego i przywieźli wiadomą instrukcyę, nie wiedząc, jak ją spełnić potrafią.

Nadjechał biskup Krasiński i przemawiając do posłów kanclerza, zaklinał ich, aby ze swej strony okazali równą powolność, jakiej dał dowód książę wojewoda, który, pomimo tak dla niego obciążających kondycyi, gotów w ostatku oba sejmiki ogłosić za niedoszłe.

Umocowani, wysłuchawszy tego tak dla nich niespodziewanego zakończenia, zmieszali się mocno; potrzeba było o tem donieść księciu kanclerzowi, który osta ecznie miał rozstrzygnąć i t. p.

— Ale ja nie widzę, aby tu co było do rozstrzygania— zawołał biskup.—Podane zostały warunki i mimo, że ograniczają stronę przeciwną, ta przyjęła je. Rzecz jest zatem skończona. Idzie o spisanie jej tylko.

Posłowie uparcie się odwoływali do kanclerza. Biskup, obawiając się, aby mu nie uszli i aby się przez to koniec nie odroczył, ofiarował się jechać sam.

Wszystko tedy zdawało się iść nadzwyczaj pomyślnie, chociaż bardzo posępne twarze pełnomocników były złą wróżbą.

Krasiński jak piorun wpadł do księcia kanclerza, z radością na twarzy, zwiastując mu nowinę pomyślną, że kondycye jego przyjęte zostały.

Spodziewał się, jeżeli nie podziękowania i wdzięczności, to przynajmniej zaspokojenia. Zdumiał się niezmiernie, gdy książę kanclerz odparł:

— Bardzo się cieszę, że raz w życiu wo ewoda tro-

chę zdrowego okazał rozsądku; ale to nie są wszystkie kondycye moje.

Z kolei biskup pobladł zdziwiony.

— Więcej nam nie przedstawiono!

— Ja nie mogę, nie zabezpieczywszy się, wyrzec się tego, co mi zapewnia spokój i należny położeniu memu wpływ na wymiar sprawiedliwości.

To mówiąc, książę od niechcenia sięgnął po papier, zapisany świeżo własną jego ręką.

— Chciej mnie posłuchać, księże biskupie. Dwa te warunki za preliminarya tylko uważać się mogą. Sejmiki wołkowyski i grodzieński, gdzie do poselstwa szli przyjaciele domu naszego, zostały przemocą, siłą, szablami, strachem zerwane i rozpędzone. Nie mogę na to dozwolić i żądam, aby moi posłowie się utrzymali. Jest to warunek, *sine qua non.*

Na twarzy pośrednika malowało się zwątpienie.

— Za pozwoleniem, mości książę, ale ze swej strony akież uczynisz wojewodzie ustępstwo?

— Ja?—odparł Czartoryski.—Zdaje mi się, że czynię największe, nie ogłaszając go *urbi et orbi* tem, czem jest, to jest gwałtownikiem, zbójem, opressorem swobód naszych i ludzi; że go nie pozywam przed sąd świata, jako godnego banicyi.

Kanclerz unosił się tak, mówiąc, że biskup na wystąpienie to odpowiedzieć nie umiał.

— Z mojej strony—dodał książę—ustępstwo jest ogromne, gdy się kontentuje takim składem Trybunału, ażeby w nim *paritas* głosów była, połowa moich, a połowa jego, co mi sprawiedliwość zabezpieczy. Przyjmiecie te warunki,—gotówem ustąpić i milczeć, aby królowi ostatnich może chwil nie zatruwać; jeżeli Radziwiłł je odrzuci, zaniesiemy do akt manifest, w którym go oszczędzać nie będziemy.

Długi czas po tych słowach biskup, który zrazu stracił odwagę i otuchę traktowania, nanowo począł zaklinać, przekonywać, tłumaczyć, chcąc kanclerza skłonić do tego, aby złagodniał. Wszystko było próżnem i im natarczywiej nastawał biskup, tem się gwałtowniej rzucał Czartoryski. Nie było sposobu na nim nic wymódz.

Ponieważ przy całej tej rozmowie Fleminga nie było, Krasiński, cokolwiek na niego rachując, wymknął się, aby go szukać.

Znalazł go zamkniętym w domu i zajętym czytaniem listów, które nadeszły z Warszawy.

Ledwie po długiem traktowaniu wpuszczono Krasińskiego, ale Fleming mu kwaśno oznajmił, że wszystko zdał na kanclerza i że się do niczego nie miesza.

Nie dał się tem odstraszyć, dając dowody istotnego poświęcenia się biskup i począł namawiać Fleminga, aby się przyczynił pośrednictwem swem do układów, które mogły spokój, tak wszystkim potrzebny, zapewnić.

Był to głos wołającego na puszczy. Fleming, który kilka razy wdaniem się swojem niezręcznem zniecierpliwił kanclerza, a teraz dał mu słowo, iż się do niczego mieszać nie będzie, odpowiadał na wszystkie argumenta.

— Nie mogę! nie mogę!

Straciwszy wiele czasu napróżno, wprost stąd udał się biskup do wojewody, przygotowany z góry do tego, iż po uczynionych ustępstwach znajdzie tu oburzenie, gniew i wymówki za to, że do próżnego upokorzenia prowadził.

Po drodze spotkał Wojniłowicza, wysłanego, aby dostał języka. Ten zasłyszawszy zaledwie, na co się zanosiło, zakrzyknął i wyprzedzając Krasińskiego, poleciał do kardynalii.

Znękany, bezsilny, zachrypły przybył biskup za nim w kilka minut do sali, w której książę wojewoda teraz jadł znowu, ale był tu już obiad, który miał się zakończyć, bo podawano pieczyste.

Słudzy z półmiskami szli, czekając, aż je roznosić będą mogli, bo w tej chwili przybycie Wojniłowicza, który w krótkich słowach oznajmił z czem wystąpił Czartoryscy, wywołał taką wrzawę, rozruch, roznamiętnienie we wszystkich, iż nikt o jedzeniu nie myślał.

Książę z okrutnem przekleństwem, uderzywszy pięścią o stół, poprzysiągł, iż więcej na włos jeden nie ustąpi. Przyjaciele jego odgrażali się że na szablach prze-

ciwników rozniosą. Tumult, wrzawa, krzyki dochodziły do szału. Niektórzy porwali się od stołu, gromadzili w kupki mając jeszcze serwety pod brodą i pięści ogromne podnosili do góry. Zabierano głosy, aby łajać i grozić; książę, cały czerwony, pił, kazał nalewać, zżymał się i wołał coś niezrozumiałego, kończąc jednem:

— Kamień na kamieniu nie zostanie!

O zgodzie, o konplanacyi, o traktowaniu jakiemś mowy nawet być nie mogło. Biskup stanął zmieszany, aby być świadkiem tego wybuchu, którego uśmierzyć żadna siła nie mogła.

Słudzy z półmiskami musieli odejść do kuchni, nikt nie myślał kończyć obiadu, ale zato wino pokutowało, bo je nalewano, rozlewano i wypijano z jakąś wściekłością, jakby gniew żarem swym wywołał nienasycone pragnienie.

Głowy już wprzódy podchmielone, teraz się całkiem pozamraczały. Młodzież odgrażała się iść do wojsk na Snipiszki i gotować się do boju.

Najdziwniejszym sposobem hetman Sapieha, który był tu przyszedł na chwilę, został przez wojewodę pochwycony, wyściskany i posadzony przy sobie, jako brat najukochańszy. Napróżno mu się chciał wyrwać.

— Daj pokój, panie kochanku—mówił, całując go— ja cię znam; ty się żony boisz, ale ty ją powinieneś trzymać ostro, bo to chytra baba, jak wąż. Ona trzyma z Czartoryskimi i w błoto cię ciągnie. Zostań ze mną!

Hetman tak się zląkł głośnych wynurzeń o żonie, że, aby ich uniknąć, wolał zostać przy wojewodzie.

Pić, on pił, jak naówczas wszyscy, ale głowę miał słabą i zaraz w początku obiadu dobrze sobie podchmielił. Raz poczuwszy, iż mu zaszumiało, bez pamięci wypróżniał kieliszki starego wina, i coraz się więcej dla brata wojewody rozczulał. Niewiele zważano na niego, ale gdyby go słuchano, wnosiłby wszyscy mogli, że ciałem i duszą do Radziwiłłowskiego obozu należy.

Wistocie postanowionem było, żeby się trzymał neutralnie.

Dla wielu jego przytomność tutaj znaczyła, że warta honorowa dla Trybunału była zapewnioną, a hetman wca-

le jej dać nie myślał. Szło mu o to, jak się od tego uwolnić.

Wszystkie te jednak na cichej naradzie z żoną uczynione postanowienia uniosło z sobą wino węgierskie. Hetman był tak przejęty, iż sam gotów był iść z szablą na nieprzyjaciół brata.

Wrzawa nie rychło się dała ukołysać. Biskupowi podano krzesło, posadzono go, spróbował jeszcze przemawiać za pokojem, ale go wnet zakrzyczano, że Czartoryscy drwią sobie, domagając się takiego upokorzenia, jakiego by nietylko Radziwiłł, ale najostateczniejszy szlachciura z ujmą honoru nie dopuścił.

Co się tam wysypało i wylało na Familię, jak ją z błotem mieszano, a za nieprzyjaciół ogłoszono, wśród szczęku i brzęku talerzy i kielichów opisać trudno. Kilka razy zaczynał coś biskup, nie dano mu dokończyć, i widząc, że więcej swą przytomnością drażni tu umysły, niż łagodzi wzburzenie, dobrawszy chwilę, gdy na niego nie zważano, wymknął się do domu.

Nie zastał tu już nikogo, bo też nic nie miał do czynienia. Pod szczęśliwą wróżbą rozpoczęte układy zwiększyły tylko rozdrażnienie, dowiodły, że pacyfikacya była zupełnem niepodobieństwem.

Odpoczywającego smutnie nawiedził kasztelan Brzostowski, który zrana robił, co mógł, aby mu być pomocą, i dopiero, gdy się wszystko rozchwiało, plac opuścił.

— Nie mamy tu już nic do czynienia—odezwał się, siadając przy nim.—Nie miałem nigdy nadziei, aby istotne pojednanie nastąpić mogło, dziś się przekonywam, że to inaczej, jak katastrofą jakąś zakończyć się nie może. Nie ludzie tu występują przeciwko sobie, ale siły jakieś tajemnicze, któremi fatalność włada.

— Nie zapominaj o Bogu, panie kasztelanie,—odparł biskup.—Nie fatalność, ale wyroki Jego spełniają się na nas.

— Nam już nic do czynienia nie pozostało—dodał Brzostowski.

— Przepraszam was—przerwał biskup,—dziś mamy sobotę. Niedziela cała nam pozostała, abyśmy próbowali

spełnić nasz obowiązek, choć nie mamy wiary w to, abyśmy mu podołali.

Brzostowski się skłonił i dodał:

— Admiruję!

— Bądź co bądź potrzeba na stanowisku dotrwać do ostatka. Żołnierz nie schodzi z placu, choć nie ma już nadziei zwycięstwa.

Z obiadu Radziwiłłowskiego podchmieleni goście, rozchodząc się po mieście, roznieśli wprędce wiadomość, iż wszelkie usiłowania pojednania rozbiły się o opór i nadzwyczajne wymagania kanclerza.

Znający Radziwiłła, wiedzieli, że raz doprowadzony do ostateczności, miary w niczem znać nie będzie. Ludzie też jego z umiarkowania nie słynęli. Popłoch straszliwy poszedł po mieście. Wiele osób przelękłych postanowiło pakować się i wyjeżdżać natychmiast.

W obozie też przeciwnym u Massalskich panowało nie mniejsze rozdrażnienie i niepokój. Siły ich wcale sprostać nie mogły czterotysięcznemu wojsku nadwornemu wojewody, musieli się więc mieć na wielkiej baczności, aby się nie dać pochwycić i nie wywołać tumultu, któryby się w bójkę mógł przemienić.

Książę kanclerz, który się spodziewał poparcia od hetmana Massalskiego, znalazł tu tylko grzeczne tłumaczenie się, iż hetman wielki do tej sprawy wcale się mieszać nie chce czynnie, odmawia straży honorowej Radziwiłłowi, ale w niczem więcej nie może pójść za żadną stroną. Zapewniał tylko o swej neutralności.

Tak samo tłumaczyli się i inni, a niektórzy dodawali że ponieważ Czartoryscy pewni będą poparcia przez wojska imperatorowej której pułkownik już się znajdował w Wilnie, nie mogli się łączyć z obcą potencyą przeciwko swoim.

Można sobie wyobrazić, jak namiętna pani hetmanowa, która czynną chciała odegrać rolę w tem zajściu, nie występując na widownię, poruszona i niespokojna, spędziła chwile te rozstrzygające. Tołoczko musiał jej służyć ciągle, biegać, jeździć, zwozić wiadomości i spełniać poselstwa. Miała oprócz niego agentów swoich w robronach, ale rotmistrz był ze wszystkich najczynniejszym.

U księżnej wojewodzicowej wieczorem przyjęta została nadzwyczaj uprzejmie, ale gospodyni, jej brat i kilka zamówionych osób tak ją otaczali ciągle, zabawiali rozmową, nie dali odetchnąć, że to, po co tu przybyła głównie, widzenie się i poufna rozmowa ze stolnikiem w oczach rywalki, zupełnie były chybione. Ani Poniatowski do niej, ani ona do Poniatowskiego przybliżyć się nie mogła. Znalazł się zawsze ktoś na drodze, który przeszkadzał, zagadal, odciągał.

Rozpaczliwie rzucała się coraz zuchwalej hetmanowa, ale wojewodzicowa tak pilnowała, iż czujności jej nie było można w błąd wprowadzić. Bawiła tu do bardzo późna, ciągle się spodziewając pochwycić stolnika i odjechała wkońcu, wściekła na gospodynię, poprzysięgając, że jej tego nie daruje. Starosta halicki, zastępujący tu gospodarza, przeprowadził ją do karety, grzeczny, złośliwy i szyderski.

W pałacu u siebie znalazła Tołoczkę, który na nią oczekiwał i siadłszy przy stoliku w salonie, usnął snem tak twardym ze znużenia, iż hetmanowa przyjechała, przeszła mimo niego, miała czas zrzucić rogówkę i wrócić do salonu, a Tołoczko spał jeszcze i zbudzić go musiała.

— Zmiluj się rotmistrzu, co się dzieje? Jestem niespokojna o męża. Nie wiem co się stanie z Trybunałem, kto tu zwycięży? Mąż mój gotów temu wiecznie napiłemu bratu dopomagać i nas wciągnąć w ten los, który go czeka. My my się powinni trzymać na boku i pozostać spektatorami. Mąż mój, jak pojechał do miasta, tak ani wiedzieć o nim.

— Książę udał się wprost stąd do kardynalii—rzekł rotmistrz.—Książę Radziwiłł już się zaczynał tem obrażać, że go zaniedbał. Musiał pojechać.

— Ja to wiem, ale miał być potem u Massalskiego hetmana dla porozumienia się z nim, bo my w obu obozach powinniśmy mieć stosunki.

— Wiedziałem też ja o tem—odparł Tołoczko—i dlatego, opóźniwszy się, szukałem go u Massalskiego i nie znalazłem. Musiałem więc iść do kardynalii i tam księcia znalazłem, ale byli właśnie przy śniadaniu.

— A! przy śniadaniu!—zawołała hetmanowa.— No, to już nie masz mi co więcej mówić; upoili go, został do obiadu, przy bi.dzie poprawili jeszcze już go się teraz można spodziewać takim, że pójdzie wprost do łóżka, a mówić z nim ni będzi można

— M)ścia księżno—przerwał Tołoczko—ni trzeba tych rzeczy brać tak tragicznie. Co się robi przy kielichach, o tem można zapomnieć, a nawet się zaprzeć. Gdyby był trz żwym, gorzejby było.

Hetmanowa zamilczała.

— Spodziewano się przez cały dzi ń, że układy jakiś owoc wydadzą—mówił dalej rotmistrz—ale Czartoryscy sobie zażartowali z króla i jego posłów. Biskup Krasiński latał przez cały dzień. Wyrobi. to na Radziwille, iż pierwsze warunki Czartoryskich przyjął, ale gdy się to stało, wzięli na kieł i chcieli, aby się książę sam zabił własną ręką. Więc zerwano traktowanie.

— I cóż, wojna?—podchwyciła księżna z wyrazem, w którym rozpoznać było trudno, czy była jej rada, czy przestraszona.

Tołoczko ruszył ramionami.

— Gdzie zaś wojna! Książę ma dobrze wyćwiczonego żołnierza do czterech tysięcy, a oni pułkownika Puczkowa, bez pułku i milicye dworskie po kilka dziesiątków ludzi. Biskup Massalski, który oficerów Francuzów do formowania swego pułku sprowadził, na sztych go nie wystawi. Hetman Massalski wojska nie da, więc Radziwiłł górą.

Księżna ręce załamała.

— Toć dopiero w butę wzrośnie—zawołała.

— Czartoryscy gotują przeciwko niemu manifest straszny—mówił ciągle Tołoczko.—Trybunał się ufunduje, ale to dopiero początek, a kto zwycięży w końcu, ten się będzie mógł pochwalić.

— Myślicie, że Radziwiłł?—zapytała hetmanowa.

— Nie jestem prorokiem!—rzekł rotmistrz—póki stanie króla Augusta i Brühla, póty książę wojewoda na Litwie będzie wyprawiał sceny i nikt go nie pohamuje; ale przy małej zmianie, gdy się wszyscy nieprzyjaciele

tego królika do kupy zbiorą, a protekcyi królewskiej nie stanie, nie chciałbym być w jego skórze!

Oczki księżnej zaśmiały się.

— Sam sobie winien—rzekła,—dziwię się, że Panu Bogu cześć oddaje, bo zresztą nikogo w świecie szanować nie chce, a i z Panem Bogiem za pan brat.

Tołoczko odebrał potem instrukcye na dzień następny, i gdy już dla późnej pory miał się żegnać przystąpił do hetmanowej, całując ją w rękę.

— Mam ob etnicę pani—rzekł.

— A! wiem już! Wpadła ci pono w oko Koiszewska strażnikówna, nieprawdaż?

— W oko to nie, ale w serce—westchnął Tołoczko;— czuję, że od tego moje szczęście zawisło.

Błagające zwrócił na nią wejrzenie.

— Czekajże, aż wrócimy do Wysokiego.

— Ale by pani hetmanowa mogła tu, przez łaskę swą, wcale o mnie nie czyniąc żadnej wzmianki, trochę zjednać sobie panią strażnikową, a pod pozorem, że u niej dom weselszy, uczęszczany, dla panienki przyjemniejszy, mogłaby wziąć do siebie na czas jakiś pannę Anielę.

— A waćpan byś ją tu wygodniej, niż u matki, mógł widywać!—roześmiała się hetmanowa.—Bardzo to mądry plan, choć boję się, czy go matka nie odgadnie. Jakże ona patrzy na waćpana?

— Nie wiem, nie powinnaby być przeciwną—mówił skromnie rotmistrz—mam sytuacyę niezłą, fortunkę szlachecką, ale niezgorszą, imię poczciwe. Nie jestem pierwszej młodości, to pewna, alem nie tak znowu stary, aby śmieszno mi się było żenić.

Hetmanowa słuchała, zdejmując rękawiczki.

— Zobaczymy, co się da zrobić—odparła.— To waćpanu przyrzekam, że się postaram strażnikową pozyskać ale nie przyjdzie to łatwo. Kobieta prosta, bez wychowania, pełna staroświeckich przesądów.

Tołoczko raz jeszcze pocałował w rękę i już szedł do drzwi, gdy go zawróciła hetmanowa.

— Mówiąc z mężem moim—szepnęła,—staraj się

go nakłonić, aby pozostał neutralnym i z nikim się nie wiązał, a szczególniej z Radziwiłłem.

Na tem się skończyło, a było już po północy. Hetman spoczywał dawno w objęciach Morfeusza.

Następny dzień zrana zdawał się spokojniejszym, jak gdyby wszyscy już, pewni tego, co czynić mieli, nie mając na myśli zmieniać nic ani targować, gotowali się tylko do odegrania roli, jaka im z losu wypadała.

Radziwiłł mianowicie i jego obóz z pewną ostentacyą usiłował okazać się spokojnym, pewnym siebie i najmniejszej obawy nie mającym o dzień jutrzejszy. W obozie na Snipiszkach, jeżeli co widać było to chyba przygotowania do parady. Dobywano i czyszczono najlepsze zbroje, trzepano mundury, myto konie, wojsko sposobiło się do wystąpienia, ale jakby na okaz tylko i paradę.

Dowódcy przechadzali się flegmatycznie, wydając rozkazy, niektóre oddziały w mundurach odświętnych jechały do miasta zaciągać warty u księcia. Przyjaciele Radziwiłłowscy unikali nawet rozmów o tem, co nazajutrz odbywać się miało, jakby o to najmniejszej nie mieli troski.

Książę w poszóstnej karecie, otoczony świetnym dworem, oddawał wizyty niektórym osobom, wcale nie zważając na to, iż go w wielu miejscach nie przyjmowano.

W ulicy się zjechawszy z biskupem Krasińskim, gdy ten zbliżył się ze swą karetą pod okno powozu książęcego i zagadnął o zgodzie, odparł, śmiejąc się:

— Zgoda pojechała od nas, że jej nagonić nie mogliśmy; dajmy pokój pogoni, aż sama powróci. A uczyńcie mi ten zaszczyt, ażebyście u mnie dziś chlebem się przełamali. Będziemy mieli podgardle z dzika, któremu warto dać gęby.

I z tem go opuścił. Biskup pojechał smutny do kanclerza jeszcze, który go przeprosić kazał, iż przyjąć nie może.

Po mieście rozchodzić się zaczynała pogłoska, iż po nieszporach w kościele katedralnym coś gotowano, jakąś przeciwko Radziwiłłowi manifestacyę na którą biskup Massalski zapraszał tajemniczo.

Tołoczko, k óry już zrana o tem odebrał wiadomość,

a przewidując, że hetmanowa, choć incognito, zechce się tam pewn e znajdować, pobiegł do niej z oznajmieniem.

Pomimo największego starania, aby dostać języka, co to się odbywać miało w kościele po nieszporach, nie mógł się nic dowiedzieć, oprócz, iż miała być manifestacya. Zawczasu już gotowano się na nią tłumnie.

Księżna, nim przybiegł Tołoczko, wiedziała że dzwoniono, ale nie wiedziała w jakim kościele.

— Ale cóż to ma być?—poczęła nastawać.

— Nikt nic nie wie, oprócz tego, że przeciwko Radziwiłłowi wystąpią.

Juścić w katedrze jest jakiś kątek, gdzieby niepostrzeżenie można się dostać, aby widzieć i słyszeć własnemi uszami. Rób sobie waćpan co chcesz, a miejsce mi znaleźć powinieneś!

Tołoczko nieszczęśl wy musiał tedy natychmiast biedz do katedralnego kościoła i starać się o miejsce dla księżnej.

Nadchodziła pora obiadowa, a że to była niedziela, zjazd na Trybunał bardzo znaczny, ciekawość rozbudzona, w kardynalii więc, gdzie się większość gości cisnęła, przysposabiano miejsce na paręset osób wiedząc, że te natłokowi nie starczą.

Było to obyczajem książęcego domu, iż przyjmowano znajomych i nieznajomych, a wchodził tu komu się zamarzyło, proszony i nieproszony.

W głównej sali przy księciu gromadzili się znaczniejsi, a dalej u szarego końca, goście ewangeliczni. Wszystkim nalewano zarówno, z tą jednak różnicą, że dla drugich stołów był tak zwany kapuśniaczek, kwaskowate wino węgierskie, które obfitością dobroć zastępowało.

Nim uderzyła zwyczajna obiadu godzina, pokoje u księcia były nabite udźmi, a twarze tak wesołe, jakby najmniejszej o przebieg sprawy trybunalskiej wątpliwości nie było.

Książę Hieronim obchodził wszystkich i jedno prawie powtarzał:

— Hasło nasze jest, że dziś na nieszpory do katedry nikt z nas nie pójdzie.

Wojniłłowicz, Rdułtowski, Rzewuski toż samo po-
wtarzali. Sam „panie kochanku"' niektórych ściskał
i szeptał:

— Kto mnie kocha, od katedry wara!

Zrana manifestu przeciwko księciu wymierzonemu
nikt nie znał, przy obiedzie już kopię jego przyniesiono
i sekretnie ją odczytywano, oburzając się przeciwko gwał-
towności.

Ponieważ w nim grożono imperatorową, której puł-
kownik Puczkow miał zdać sprawę z gwałtów, popełnio-
nych przez Radziwiłła, radzili przyjaciele, ażeby książę
z memoryałem, wyjaśniającym sytuacyę, od siebie także
wysłał do Peterburga.

Książę od rana aż do pierwszych libacyi trzymał
się z takiem umiarkowaniem i krwią zimną, jakby w ser-
cu gniewu nie miał, chociaż kipiało w nim i po kielichach
już się utrzymać nie mógł. Ale zagłuszono go i dalej u sto-
łów nikt nie słyszał ani łajania, ani pogróżek, które się
tu aż do wieczora, rosnąc i potęgując, na dzień następny
burzą okrutną zapowiadały.

Przy ogromnym natłoku niepobożnych, ale zacieka-
wionych zapowiedzią jakiegoś niebywałego skandalu—
rozpoczęły się w kościele katedralnym sobotnie nieszpory.

Stara świątynia, której wieża była jakoby pozosta-
łością z czasów pogańskich i świątyni Perkuna, nie tylko
we wnętrzu p zepełnioną była zawczasu, ale plac przed nią
aż do zamku gęsto zajmowały tłumy. Stały tu powozy
z pocztami dygnitarzy, czeladzi państwa i lud.

Do kościoła już nie wpuszczano. Obrócić się tu było
trudno.

Tron biskupi na nowo odświeżony, obwieszony
karmazynowemi aksamitnemi ścianami z frendzlą złotą,
uderzał oczy naprzód, a obok niego na podwyższeniu zna-
cznem przygotowane było siedzenie, wspaniałe krzesło,
wprawdzie bez baldachimu, ale miejscem, które obok tro-
nu zajmowało, odznaczające się.

Zagadką było, kto je zajmie, dopóki w zakrystyi

w towarzystwie kanonika, czyniącego mu honory nie wy-
szedł mężczyzna w pełnym mundurze wojsk ruskich, cały
orderami obwieszony. Poznano w nim pułkownika Pucz-
kowa, którego Czartoryscy sprowadzili, aby był świad-
kiem tego, co się tu działo.

W kościele pomimo ścisku uroczyste panowało mil-
czenie.

Poniżej tronu i siedzenia pułkownika, na kilku sto-
pniach w presbiteryum widać było liczny dosyć zbiór
osób, ze strojów, elegancyi i powierzchowności pańskiej
na dygnitarzy wyglądających.

Pomiędzy niemi lepiej uświadomieni pokazywali so-
bie Fleminga, słynnego naówczas z bogactw, Czartoryskich
ich adherentów, przyjaciół, pomocników, kilku cudzoziem-
ców i młodego, z Petersburga niedawno przybyłego stol-
nika Poniatowskiego. Bardzo na widoku stał hetman Mas-
salski, usiłujący sobie nadać powagę wielką, wysokiemu
swemu dostojeństwu odpowiadającą.

W twarzach tego zgromadzenia, które nie okazywało
się wcale pobożnem i dosyć swobodnie prowadziło rozmowę
jakby w teatrze lub na balu, postrzegać się dawało pewne
rozdrażnienie i niepokój. Oglądano się bojaźliwie niemal,
szukając w tłumach oczyma twarzy znajomych.

Bardzo mało było kobiet, w samej nawie kościelnej
gdzieniegdzie rozsianych, więcej ich widać było na chórze
i w kilku ciemnych lożach ponad bocznemi nawami. A że
katedra ówczesna obfitowała w kapliczki, różnemi czasy
przybudowane, do których wnijścia tworzyły wgłębienia,
w nich też stroje jaśniejsze kobiece zdradzały, że się tu
mieściły. Osobliwie około i naprzeciw tronu biskupiego
ścisk osób był wielki, a ku drzwiom tu i owdzie widać było
żołnierzy pułku Massalskich, utrzymujących rodzaj stra-
ży i pilnujących porządku.

Sam biskup in pontificalibus przytomnym był na-
bożeństwu, a ci, co go we fraku i przy szpadzie widywać
byli przywykli, znajdowali, że nie umiał nosić infuły
i kapa mu ciągle z niespokojnych ramion spadała. Ruchy
też miał na tym tronie biskupim, który majestatem poko-
ju zwykł być otoczony, zbyt żywe i gwałtowne, a oczy bie-

gały po przytomnych i po kościele, wcale świętością miejsca i chwili nienamaszczone.

Ktoś właśnie uczynił słuszną uwagę, że Jego Pasterska Mość we fraku się lepiej wydawał, niż w ornacie biskupim i że pastorałem wywijał, jakby nim bić, nie błogosławić się gotował.

Prawda, że pomimo tylu oczów, zwróconych na siebie, nie umiał się powstrzymać i co moment albo którego z kleryków, stojących przy tronie mustrował, albo rozkazy jakieś wydawał i cicho, ale żywo sypał coś do ucha tych, co koło niego się mieścili. Stosunek też pasterza do duchowieństwa nie był zwykłym: nie okazywano mu należnego poszanowania, ale rodzaj lekceważenia i zbytniej poufałości.

Nabożeństwo zwyczajne miało się ku końcowi; niecierpliwa ciekawość przytomnych rosła, cisnęli się coraz natarczywiej ku tronowi biskupiemu. Milczenie po odśpiewaniu ostatniej modlitwy trwało krótko, biskup wstał i pastorałem uderzył w stopnie.

Podniósł głos i mówić zaczął, ale zrazu tak mało go słychać było, iż całych sił musiał dobyć, ażeby nawet bliżej stojący coś mogli zrozumieć.

Mowa była może przygotowaną, ale żywy temperament i chęć wyrazistego oświadczenia się przeciwko zamachom wojewody nie d ła mu się starać o retorykę.

Krzycząc więcej, niż mówiąc, napadł na księcia wojewodę, jako opressora praw wszelkich, mającego spokój publiczny, który z wojskiem, z działami wtargnął do Wilna, aby gwałtownie fundować Trybunał. Niema na niego innego sposobu, tylko uniwersalne, jednozgodne przeciwko gwałtownikowi powstanie przez zawiązanie konfederacyi.

Najwięksi przyjaciele biskupa nie mogli mu powinszować tego wystąpienia, w którem więcej było animozyi, gniewu, niż argumentów. Sam też ksiądz biskup czuł, że potrzebował poparcia i do tego dobrany był Narbutt, marszałek lidzki, który wbrew innym Narbuttom szedł z Massalskim przeciwko wojewodzie.

Narbutt był sejmikowym mówcą, którego nic nie kosztowało nagromadzić siła słów dźwięcznych, posypanych

łaciną, tak, jak ciasto się cukrem po wierzchu posypuje. Z tego więc samego tematu przeciwko opressyi wydeklamował oracyę, kończąc ją tylko śmielszem oddaniem się pod protekcyę imperatorowej.

Ostatnie słowa naturalnie wypowiedział, zwróciwszy się do pułkownika, który nie wiedząc, co zrobić z sobą, wąsa pokręcał.

Z gromadki, która bliżej tronu stała, nasadzeni poczęli wołać o manifest, żądając, aby go zaraz spisano, a że gotowy już był od dni trzech, sekretarz Flemminga, przybliżywszy się do świecy, którą w pobliżu kleryk trzymał, donośnym głosem czytać począł.

W ogólnych wyrazach malował im smutny stan kraju, zostający pod opressyą, do której znoszenia cierpliwości się przebrało... Nie zbywało na komplemencie dla króla J. M. i łaskawego jego pieczołowania (sic) nad dobrem publicznem; naostatek mówił manifest.

„Kiedy książę jegomość wojewoda wileński, sprowadziwszy liczne rozmaitego zaciągu żołnierstwo, trzyma dotąd w tem mieście i po przedmieściach z podniesioną bronią armatami, jakoby przeciwko nieprzyjacielowi wiary świętej, lub ojczyzny uzbrojone—izbę sądową żołnierstwem nadwornem i armatami osadził, tedy nie mogąc znieść ucisku, wszyscy muszą się związać w konfederacyę, dla obrony honoru, życia i substancyi".

Po odczytaniu manifestu dały się słyszeć głosy o podpisanie go. Pierwsze tedy podpisy zaraz tamże w zakrystyi położyli przewodniczący konfederacyi, a tegoż wieczora, w nocy i nazajutrz kopie roznoszono po mieście, wożono po domach, zbierając podpisy, od których jednakże wielu się cofało.

Kościół natychmiast po tej scenie dramatycznej, która się w nim odegrała, wypróżniać się zaczął, ale naprzód pańskie powozy i poczty pozabierały dostojników, których odjazdowi lud się przypatrywał ciekawie, potem dopiero mieszczanie i szlachta gromadami ku bramie zamkowej popłynęli.

W tłumach tych słychać było rozprawianie, śmiechy,

wykrzykiwania, z których trudno było wnieść za kim była większość, czy za wojewodą wileńskim, czy za księciem biskupem i Czartoryskimi, których tu mało znano, gdy Radziwiłł ze złej i z dobrej strony dał się poznać i był przez jednych czczony, przez drugich nienawidzony.

Przez cały czas nieszporów i manifestacyi pani hetmanowa, której Tołoczko zapewnił miejsce i sam jej towarzyszył, przypatrywała się z górnej loży wprost całemu widowisku, gdyż miała miejsce naprzeciw tronu biskupiego, tak dobrze wybrane, iż jej wcale widać nie było, a ona doskonale stąd przypatrywać się mogła i słuchać.

Tołoczko wymógł na niej, że z sobą do towarzystwa zaprosi strażnikową z córką. Ta odmówiła zrazu i nie chciała jechać, ale gdy hetmanowa na nią nastała, aby choć córce z nią zabrać ię dozwoliła dla rozrywki, zezwoliła aby Aniela towarzyszyła Sapieżynie.

Rotmistrz nasz był tem uszczęśliwiony, bo mu nic nie przeszkadzało zbliżyć się do panny Anieli i po raz pierwszy rozmowę z nią prowadzić. Hetmanowa tak była cała zatopioną w tem, co miała przed oczyma, iż na pannę wcale nie zwracała uwagi. Tołoczko więc bawił ją, naprzód tłumacząc i mianując osoby prywatne, potem wogóle o Wilnie i o pobycie w niem teraźniejszym zagadując.

Rotmistrz chociaż ogłady francuskiej nie miał, nadto długo się obracał około panów, ażeby to na niego nie wpłynęło i nie odjęło mu nieco rubaszności żołnierskiej. A że grzeczny był, usłużny i około panny biegał, przyszło do tego, że się jej wydawał znośnym.

Zagadnął rotmistrz naprzód strażnikównę, jak się jej w Wilnie podobało i odebrał obojętną odpowiedź, że mało co wychodząc, mało też kogo widując, więcej się nudziła, niż zaznała przyjemności.

— Naturalna to rzecz—odparł Tołoczko—gdy szanowna pani strażnikowa, zajęta swym procesem, mało się w świecie pokazuje; ale pani nie masz powodu być zawsze u jej boku, a księżna hetmanowa, lubiąca towarzystwo, z przyjemnością by ją w domu swym nietylko w odwiedzinach widywała, ale jako przyjaciółkę, przynajmniej

na ten czas, gdy pani strażnikowa w Wilnie pozostaje, u boku swego miećby sobie życzyła.

Panna Aniela, której pragnieniom nic więcej odpowiadać nie mogło, zarumieniła się mocno, nie wiedząc co odpowiedzieć, aż nareszcie szepnęła cicho:

— Ode mnie to nie zależy, i co się mnie tyczy, jabym z wielką przyjemnością księżnie się zaofiarowała, ale...

— Niech-że mi pani da umocowanie, abym ja się mógł starać o to, a ręczę, że się to zrobi—odparł rotmistrz.

— Moja matka ma pewne uprzedzenie—mówiła Aniela.

— Ja to wszystko mniej więcej wiem, ale są środki, z pomocą których da się pani strażnikowa skłonić. Nie godzi się, aby panią zamykano w domu, w którym mało kto, oprócz prawników bywa, gdy przyjaźń księżnej świat jej otwiera.

— Pan rotmistrz rozumiesz to,—odezwała się panna Aniela—że ja nie mogę być czynną, ani się wyrywać od matki, ani okazywać, że się nudzę, choćbym wistocie się nie bawiła.

— Bądź pani spokojną—rzekł Tołoczko uszczęśliwiony tem, że mu się powiodło pozwolenie panny otrzymać, zawiązać z nią małą intryżkę—ja pani nie wydam i nie skompromituję; wszystko będzie wypływało od hetmanowej.

Skinieniem głowy milczącem i półuśmiechem podziękowała panna Aniela. Tołoczko był w uniesieniu, bo mu się zdawało, że ją już sobie całkiem pozyskał.

Wstęp ten zrobił większą z obu stron poufałość i lepsze porozumienie; Tołoczko przestał się lękać, ażeby nie został odepchnięty, pannie zaś zdało się, iż wszystko to ją do niczego nie obowiązuje, że może się starym wdowcem posługiwać, nie będąc zmuszoną wywdzięczać mu się żadną ofiarą.

Panna strażnikówna korzystała z towarzystwa rotmistrza, rozpytując go o osoby i stosunki wielkiego świata, których nie znała, a niezmiernie była ciekawa.

Tołoczko tak był usposobiony, żeby się był jej z grzechów śmiertelnych swoich i cudzych spowiadał.

Rozmowie ich cichej hetmanowa, niesłychanie zajęta tem, na co patrzyła, wcale nie zawadzała, nie odwróciła się nawet, nie spojrzała na nich i parę tylko razy, nie odwracając się, przywołała do siebie rotmistrza, zadając mu pytania.

Jakie wrażenie uczynił na niej cały przebieg rzeczy tego wieczora, ona sama może nie umiałaby powiedzieć. Były chwile, iż się cieszyła tem, gdy jej niechętnego gbura wojewodę obelżywie traktowano, ale zwycięstwo Czartoryskich i jej obozu czasem też ją oburzało. Czuła, że całem sercem ani po jednej, ani po drugiej stronie stanąć nie mogła.

Manifestacya w kościele, choć pozornie była tryumfem, wistocie szerzyła klęskę i gdy ku końcowi Tołoczko zapytał ją po cichu.

— Cóż pani hetmanowa na to?

Odparła żywo.

— A cóż, przyznali się, że mu rady dać nie mogą. Wątpię, aby manifest do akt wnieść dopuszczono; Radziwiłł będzie się z niego śmiać. Jest to więc na gwałt wołanie: gwałt, gwałt, ratujcie! A co gorzej, pokazują, że w kraju nie mają się do kogo odezwać o ratunek, kiedy im protekcya imperatorowej potrzebna. Wszystko to— żal się Boże, przez rozumnych ludzi dosyć nieroztropnie prowadzone. To tylko dobre—dodała wkońcu—że bitwy, ani krwi przelewu nie mamy się co lękać; kto tak krzyczy żałośliwie, ten bić się nie myśli!

Szukała oczyma po kościele hetmanowa męża, bojąc się, aby nie wystąpił niepotrzebnie, ale go nigdzie nie dopatrzyła.

Radziwiłł trzymał wszystkich około siebie. Pito, wyśmiewano się na całe gardło. Nie przeszkadzało to, ażeby jakichś nie wydawano rozkazów, nie odbierano raportów i nie sposobiono się na wszelką ewentualność dnia następnego.

Ponieważ hetman wielki, Massalski, wojska na straże na presidium zamkowe dać odmówił, zatem z wieczora już dnia tego, milicya nadworna wojewody pozajmowała

wszystkie posterunki na zamku, w gmachu Trybunału i w mieście, gdziekolwiek się obawiano jakiego sporu lub zwady.

Partya księcia kanclerza hucznie od kościoła wyruszyła do domów, oprócz tych, których biskup Massalski do siebie zaprosił. Tu się wrzekomo cieszono tem, co było uczynionem, ale wistocie na twarzach więcej widać było troski, niż zaspokojenia

Czuli wszyscy, że mimo protestacyi Trybunał się utrzyma, otworzy i sprawy bieżące sądzić będzie.

Pożałowano może zerwania układów, któreby dozwoliły ciężką chwilę przebrnąć, dopókiby sprawy krajowe nie wzięły innego obrotu. Ci mianowicie widzieli się tem położeniem zagrożonymi, którzy mieli procesa w Trybunale, będąc na wokandzie. Musiały one przyjść na stół, a jeśli sędziowie obozu przeciwnego rozstrzygać je mieli, pewni byli przegranej.

W tym wypadku była i pani strażnikowa trocka, potrzebująca protekcyi Radziwiłłowskiej, którą tylko przez hetmanowę zapewnić sobie mogła. Dla świata nie było wiadomem, jakie hetmanowa miała w sercu sentymenty dla wojewody, a cały świat znał to tylko, że Sapieha i on byli ciotecznymi braćmi.

Zmuszoną więc była Koiszewska, chociaż sfrancuziałej księżnej nie cierpiała, akomodować się jej, aby przez nią najpewniej męża pozyskać. Dawał jej to do zrozumienia Tołoczko. On zaś sam fundował na tem przyszłe swe nadzieje, że księżna pannę Anielę wziąwszy do siebie, ułatwi mu zbliżenie się do niej i pozyskanie serca, a potem i samo małżeństwo skleić potrafi.

Niebardzo rachował na to, aby się pannie mógł podobać, bo codzień się w zwierciadle goląc, znał swą podstarzałą twarz, na gacha niewygładającą, ale mówił sobie, że gdy na ślubnym kobiercu połączeni zostaną, serca do niego nabierze, i będzie mu dobrą żoną.

Dnia tego hetmanowa jeszcze, powracając na Antokol, pannę Anielę do matki odwiozła, ale w drodze się z nią umówiła, iż temi dniami weźmie ją na czas pobytu w Wilnie od matki do siebie.

Panna Aniela w milczeniu za to ręce jej ucałowała.

U pani strażnikowej trockiej dnia tego była wieczerza dla znajomych i przyjaciół, na którą właśnie trafiła panna Aniela, powracająca z kościoła.

Tu szlachecki był świat. Kontusze i żupany ze starych kufrów powydobywane a i ludzie jakby z przeszłego wieku i obyczaj nie dzisiejszy. Wieczerza niewytworna ale obfita, wino dobre i nie żałując dolewane, wesołość szczera i prosta.

Pannie Anieli, rozkochanej w innych obyczajach i elegancyi wyszukanej, a sentymentalizmie kłamliwym, ludzie, mowa i obejście się ich wprost były wstrętliwe.'

Z tem uczuciem znalazła się teraz wprost z pod skrzydeł hetmanowej, której dowcip i szczebiotanie ją zachwycały, rzucona w towarzystwo rubaszne, niewykwintnej wcale powierzchowności, krzykliwe, serdeczne, ale aż do grubiaństwa poufałe, szczególniej po kieliszkach.

W progu witał powracającą mocno już ożywiony węgrzynem pan Alojzy Bujwid, na klęczkach prosząc o rękę do pocałowania. Z drugiej strony rzuciła się jej na szyję Szklarska, ściskając i ciągnąc do stołu.

— U hetmanowej cię pewnie nie nakarmili, bo tam po pańsku, porcelana saska, ale potrawy mało na niej; siadaj i jedz.

Matka też miejsce jej robiła u stołu, choć napróżno się wymawiała, iż jeść nie chce.

Posypały się pytania. Goście wszyscy byli ożywieni bardzo, bo Bujwid, uproszony o to przez strażnikową, węgrzyna im nie żałował, a poczciwi ludziska za kołnierz sobie lać nie dawali.

Musiała panna Aniela, o której wiedziano, iż na nieszporach była w katedrze, opowiadać, co się tam działo. Okazało się jednak z jej powieści, że tak ją mało sprawy krajowe obchodziły, iż o osobach i partyach wyobrażenia nie mając, mieszała ludzi z sobą.

Śmiano się z tego potrosze ją tłumacząc, choć Koiszewska oświadczyła, że ona w tym wieku będąc, co córka, sejmikby była mogła poprowadzić.

Rada była panna Aniela skryć się i stać niewidoczną, tak ją męczyli ci ludzie, pytania, dowcipy grube i komplementa przestarzałe, a zawsze oklaskami przyjmowane.

Opiekująca się nią Szklarska, zalecający się jak niedźwiedź Bujwid, goście wszyscy, obsypujący ją grzecznościami często tak dobitnemi, iż się rumienić musiała, większy niż kiedykolwiek wstręt i obrzydzenie w niej obudzili.

Powiedziała sobie:

— A! choćby już ze starym Tołoczko, byle się raz wydobyć z tego piekła!

Tołoczko więc tego wieczora ogromny uczynił postęp, nie w sercu, bo to nie zabiło dla niego, ale w rachubach panny strażnikównej.

Okazało się, iż panna Aniela, która na miejscu w katedrze naocznym była świadkiem manifestacyi, połowy nie widziała, ani słyszała tych rzeczy, o których tu już przy stole rozpowiadano.

Towarzystwo było dosyć mieszane, znaleźli się więc i partyzanie Radziwiłłowscy i obrońcy Czartoryskich.

Zaczęto rozprawiać żywo i panna Aniela, chwilę upatrzywszy, mogła się wymknąć od stołu, usiadłszy w kątku dla spoczynku.

Tu czatujący na nią, spragniony widzenia i rozmowy Bujwid, który się dla niej w nowiuteńki kontusz ustroił, w barwach województwa wileńskiego, natychmiast pośpieszył zabawiać.

Zniecierpliwiona tą natrętnością byłaby może uciekła od niego, gdyby surowy wzrok matki jej nie wstrzymał. Siadł więc pan starosta pogorzelski i począł od ubolewania, iż panna strażnikówna zmęczyć się musiała, dotrzymując towarzystwa hetmanowej.

— Niech mi pan wierzy—odparła zcicha, obawiając się, aby jej matka nie dosłyszała,—że mniej się zmęczyłam przez cały ten czas, gdym z panią hetmanową była, niż tu od wnijścia mego do domu.

Bujwid nie zrozumiał. Zamyślił się, umilkł. Długiego potrzebował czasu, nim mu się wyrwało

— Niechże mnie panna strażnikówna raczy objaśnić, jak ja to mam rozumieć?

— Jak pan starosta chce.

— Więc to ja zapewne tak panią męczę i nudzę?— zapytał.

— A gdyby tak było?—odparła.

— Czy panna strażnikówna myśli, że mnie tem odpędzi od siebie?—począł Bujwid nie mieszany bynajmniej. Ja się nie daję tak łatwo zrazić, bo miłość prawdziwa jest bardzo cierpliwa. Im mniej dotąd miałem szczęścia się podobać jej, tem mu zę więcej szukać wszelkiej okazyi pozyskania jej faworów.

Panna ramionami poruszyła.

— Wiem ja to, że panna strażnikówna—mówił dalej—woli towarzystwo wysokie, paryżanów naszych i fircyków modnych, ja jestem prosty, starego autoramentu szlachcic, ale na mnie i serce moje liczyć można, gdy na tych, co w perukach chodzą, z rożenkami u boku, wcale rachować niebezpiecznie, bo to są wyrodki.

Panna spojrzała złośliwie i szydersko; Bujwid wytrzymał ten wzrok i nie ustąpił. Owszem, siadł w blizkości, aby dowieść, że się odpędzić nie da. Szczęściem Szklarska była też niedaleko i zrozpaczona Aniela musiała dać jej znak, aby na pomoc przybyła.

— Waćpan tu, panie starosto—odezwała się, zrozumiawszy położenie—trzymasz w oblężeniu strażnikównę. ¡Dajże jej spocząć.

Starosta wstał nareszcie.

— Dwie na jednego, siła złego!—odezwa się.—Muszę zrejterować, ale pani ego nie daru ę, że mi najpiękniejszy owoc tego wieczora wyrwałaś. Gdyby s ę choć na mnie pogniewała, i tobym wolał, niż taką lodowatą obojętność.

— Jeżeli panu o gniew chodzi ty.ko—przerwała panna Szklarska—uspokój się. Miarkuję z oczów Anielki, iż celu waćpan dopiąłeś.

—A zatem—zawołał starosta, padając na kolana,—obowiązkiem jest moim stopy ucalować i o przebaczenie prosić.

To mówiąc, pochylił się zręcznie i tak niespodzianie zdjął pannie Anieli haftowany jej na korku trzewiczek z nogi, iż krzyknęła oburzona, nie mogąc go już obronić.

W górę podni sł rękę z nim i począł wołać na głos:

— Pani strażnikowa dobrodziejka pozwoli! Skutkiem zajścia z winy mojej, dla przebłagania panny Anieli, piję zdrowie jej z tego trzewiczka. A kto nie chce mieć do czynienia ze mną, ten to spełni, jak ja.

Strażnikowa chciala się opierać, ale ta staropolska fantazya Bujwida przypominała jej dawne czasy; było w tym wybryku tyle wesołości i fantazyi, że zabraniając, śmiać się zaczęła. Goście zaś wszyscy wstali, podnosząc ręce i wołając:

— Toast z trzewiczka! z trzewiczka!

Najstarszy pan wojski trocki, Glinka, zaprotestował tylko, że on sam to zdrowie wniesie i trzewiczek odebrawszy Bujwidowi, wstawił w niego kielich.

— Kwiatka naszego, różyczki naszej, panny strażnikównej, zdrowie i abyśmy wkrótce na weselu jej powtórzyli.

Hałaśliwie przyjęto toast. Kielich z trzewikiem poszedł z ręki do ręki, a każdy silił się na jakieś słówko. Panna Aniela gniewna, zapłoniona, stała w kąciku, nie dziękując nawet. Szklarska pocieszała ją, całując.

Bujwid sobie wymówił, że ostatni pić będzie. Kielich nareszcie przyszedł do niego, lecz gdy go brał, strącony zręcznie upadł na ziemię i rozbił się na drobne kawałki. Starosta, wąsa pokręcając, rozśmiał się.

— Nie tak się pije z trzewiczka—zawołał;—już niech będzie co chce, ja piję z niego bez szkła i całuję tę nóżkę, która go dotykała. To mówiąc nalał szybko wina do trzewika, napełnił go po brzegi i bardzo zręcznie duszkiem wychylił wśród gromu oklasków.

Z trzewika spadły jeszcze krople na ziemię, a starosta go skrzętnie składając i zwijając w serwetkę, pochwyconą ze stołu, złożył pod kontuszem na sercu.

— Wyrządziłem pannie strażnikównie szkodę, ale mi pani matka dobrodziejka dozwoli, abym jutro inną parą starał się je zastąpić — zawołał, nie słuchając i nie szukając odpowiedzi.

To mówiąc, zbliżył się do pani Koiszewskiej rękę jej całując z przyklęknieniem.

Strażnikowa wcale się gniewać nie myślała. Wszystko

to jej, nawykłej w młodości do daleko śmielszych wybryków, wydawało się miłem wspomnieniem, echem własnej młodości. Ale panna Aniela, którą te zaloty, rubasznie prowadzone, do najwyższego stopnia oburzały, płonęła z gniewu. Szklarska jej uspokoić nie mogła; uciekła, kulejąc do swojego pokoju.

Chociaż pora była spóźniona, goście rozochoceni siedzieli jeszcze i humory się coraz stawały weselsze, a strażnikowa rada, coraz wino świeże przynosić kazała i wziąwszy się w bok, poza stołem chodziła, animując i Bujwida karcąc, że niedość troskliwie pilnował sumiennego spełniania kielichów.

Już się wcale nikogo więcej nie spodziewano do tej kompanii, gdy dyskretnie się drzwi otworzyły i wsunął się, nie bardzo chcąc być postrzeżonym, Tołoczko.

Strażnikowa niebardzo go lubiła, bo już tego zacięcia staropolskiego mu brakło, i choć miał tytuł buńczucznego, buńczuczno nie wyglądał, ani się znajdował.

Ale każdemu gościowi gospodyni musiała być rada, przyjęła go więc u drzwi i zaraz kielich przynieść kazała, który ust prawie nie otworzywszy, spełnić musiał. Kilku dobrych znajomych przyszło go powitać, inni badali, czy nie wiedział co o dniu jutrzejszym.

— Dajcie mi pokój, ja się noszeniem nowinek nie bawię i jestem jak w rogu! Mój pan hetman na stronie stoi i stać będzie, do niczego się nie mieszając. Radziwiłł nas nie potrzebuje.

Pani Koiszewska przeczuła, że tak późno do niej nie przyszedł bez celu i ustąpiła z nim na stronę.

— Choć nie w porę, ale chciałem dziś jeszcze rozmówić się z panią dobrodziejką w jej własnym interesie.

— Bardzo panu rotmistrzowi jestem wdzięczną; ale cóż tam takiego —odparła Koiszewska.

— Jeżeli pani strażnikowej szczęśliwe rozwiązanie procesu na sercu leży—rzekł Tołoczko—przynoszę przyjacielską radę. Pani hetmanowa nudzi się, nie mając towarzystwa w domu, a lubi bardzo pannę Anielę. Chcę panią prosić, abyś córce dozwoliła u niej przebywać, póki jest w Wilnie. Panienka się zabawi, rozerwie, a hetmanowa

wdzięcznem sercem przyłoży się przez męża do tego, aby proces został wygrany. Mogę za to ręczyć.

Pochwycona tak strażnikowa z początku mruczeniem niewyraźnem odpowiedziała, niespokojna, oglądając się, nawpół zakłopotana, wpół ucieszona. Widać jednak było, że nawet nadzieja wygrania procesu nie mogła jej odjąć troski o córkę, dla której towarzystwo hetmanowej uważała za zgubne.

Ale jak tu było przed domownikiem Sapiehów tłumaczyć się z tego?

— Prawdziwie—odezwała się—wdzięczna jestem panu rotmistrzowi za radę, chociaż... wolałabym protekcyę hetmanowej nie taką okupić ofiarą. Widzisz pan, Anielka młoda... pod okiem matki zawsze bezpieczniejsza.

— Ależ pani hetmanowa—zawołał Tołoczko—na chwilę jej z oka nie spuści, bo ją dla swego towarzystwa bierze! Dom senatorski, książęcy!

— Wielki to zaszczyt dla dziecka mojego—odparła strażnikowa—ale, panie rotmistrzu, niebardzo to zdrowo do pańskiego życia przywykać, kto panem nie jest.

— Panna Aniela przez krótki czas nie nawyknie, ale pozna tylko, a znać i widzieć wszystko potrzeba—dodał Tołoczko —Zresztą... ja przychodzę z radą, a nie z namową. Wiem tylko, że hetmanowa zostanie ujętą tem, i może być pani użyteczną.

Strażnikowa poprawiła machinalnie czepka.

— Jeżeli hetmanowa zażąda Anielki, rozumie się, ja nie odmówię.

Ostatnim wyrazem zadławiła się prawie, i w duchu dokończyła.

— Stary lis... wszystko to jego sprawa.!

Dzień był chłodny, wiosenny, pogoda niestateczna, jak u nas zwykle w kwietniu bywa, ale wszystkim tym, co dnia tego czynnymi być musieli u boku księcia wojewody, przy kanclerzu i biskupie Massalskim, gorąco dokuczało, tak biegali i ni pokoili się, aby w czem nie zawinili.

Zrana już piechoty wojewódzkiej dwieście głów bez armat zaciągnęło do Trybunału i warty swe w cichości porozstawiali. A że im zalecono znajdować się bardzo skromnie i cicho, więc bez huczków i ostentacyi, bo też i bez oporu pozajmowali stanowiska.

Na zamek książęcy, mający juryzdykcyę grodzką, jako wojewoda, wprowadził też swoich ludzi, nie znalazłszy ze strony przeciwnej nikogo, bo ani Fleming, ani kanclerz swojej milicyi na pewne posiekanie narażać nie chcieli.

Tymczasem biskup Krasiński, który pośrednictwo swe gorąco brał do serca i nie chciał się wyrzec nadziei, że może coś da się jeszcze ułożyć, jak dnia wczorajszego, tak i tego, od rana biegał, zaklinał, prosił o komplanacyę.

Książę kanclerz Czartoryski, który wszystkiem kierował, z góry już mając plan osnuty, w który wchodziło, aby do walki nie wyzywać, a księcia szkalować i dokuczać mu pismami i jątrzyć go, a miłość własną jego drażniąc, do pasyi przyprowadzać, nie dawał się niczem skłonić do najmniejszego ustępstwa.

Poparcie Rosyi, które miał sobie zaręczone, dawało mu siłę wielką. Z dumą, chociaż grzecznie, przyjmował ks. Krasińskiego, o królu Auguście wyrażał się z jakąś rewerencyą szyderską, lecz ani króla, ani księcia wojewody znać nie chciał, gdzieindziej mając zwrócone oczy.

Ile razy biskup, żądania królewskie powtarzając, wdzięczność obiecywał, uśmiechał się książę kanclerz.

— Nie żądamy żadnych łask, tylko sprawiedliwości Król J. Mość, ekstra szlachetnego charakteru, dobroci wielkiej, najmniejszej siły niema. Oszukiwany jest. Brühl robi, co chce. Zgody z nim być nie może. Krajowe sprawy nie poprawią się. Popus czamy pasa, zalewamy głowy bezład i anarchia się szerzą, jak zaraza. Trzeba temu koniec położyć.

Krasiński napróżno bronił króla i Brühla, zaklinał, aby się nie rozdwajać, starać zbliżyć i t. p.

Powtarzane argumenta, prośby, obietnice rozbijały się o postanowienie niewzruszone kanclerza.

Czartoryscy ani osobami swemi, ani przyjaciółmi nie chcieli uczestniczyć w Trybunale, pod pozorem, że gdzie był żołnierz Radziwiłłowski, tam żaden z nich życia pewien nie był.

Pan wojewoda zaleje pałkę—mówił otwarcie kanclerz, —a wówczas na wszystko gotów; ludzi ma przy sobie, którzy się przed morderstwem, ani gwałtem nie cofną.

Od pierwszych czasów, gdy Trybunały zostały postanowione przez Batorego, obyczajem było narodu pobożnego, iż czynności każdego rozpoczynały się od kościoła i modlitwy.

Katedralny kościół zwykle od rana do południa otwarty dla nabożeństwa, gromadził deputatów, palestrę, wszystkich w mieście będących na solenną wotywę „O Duchu Świętym", przy której miewał kazanie, w ostatnich czasach zwykle Pijar, i od 1750 roku też przysięga deputatów w kościele uroczyście się odbywała.

Ksiądz Krasiński uprosił sobie u księcia, iż czekać będzie do godziny dziesiątej, bo jeszcze sobie pochlebiał, że Czartoryskich do porozumienia nakłoni.

W kardynalii tymczasem podawano śniadanie, a książę z podkomorzym, ze swymi przyjaciółmi i hetmanem Sapiehą był w pogotowiu do wyjazdu.

Fantazya tego dnia skłoniła go do włożenia na uroczystość tę nie paradnego stroju, ale starego ubioru województwa wileńskiego, który oznaczać miał iż długie pokolenia Radziwiłłów w województwie tem przodowały na krześle wojewodzińskiem.

Delję tylko miał nową, rysiami podbitą po szyję, z karbunkułem, dyamentami gorejącym, takąż drugą spinkę, jakoby dziesięć tysięcy czerwonych złotych wartującą u kity na czapce

Twarz przybrał wesołą niby, ale pod tą maską widać było gorycz, gniew i wzburzoną dumę.

Wyrazy manifestu, odczytanego w kościele, chodziły mu po głowie i powtarzały się dokuczliwie.

Dziesiąta biła, gdy na znak dany wszyscy otaczający księcia ruszyli na konie i do powozów.

Sam wojewoda jechał konno, mając za sobą paradną

sześciokonną karetę złocistą, otoczony dworem wiejskim, służbą najrozmaitszej broni i barwy.

Kawalkata była ogromna, ludzi mnóstwo, wojska na kupki podzielonego mnogość wielka. Ponieważ się spodziewano czegoś i obawiano, gawiedź niezmiernie liczna zalegała ulice, place, podwórza i okna domosw.

Niektóre kamienice w których stali przyjaciele i znani adherenci Czartoryskich, bramy miały pozamykane okiennice po aciągane i wyglądały, jak wymarłe. Ale wewnątrz pełno było ludu zbrojnego z ponabijanemi muszkietami, gotowego bronić się do ostatka, gdyby był napastowany.

Rozkazy najsurowsze wydane były do wojska, aby się nikt nie ważył waśni rozpoczynać, wyzywać i obelżywemi słowami zaczepiać.

Cały więc ogromny orszak księcia wojewody, który plac pomiędzy kardynalią, kościołem św. Jana, dzwonnicą zajmował i ledwie się mógł tu pomieścić, gdy książę ku katedrze ruszył, pociągnął w pewnym porządku za nim.

Nie potrzebujemy mówić, że to, co do dworu wojewody należało, choć on sam występował w starym mundurze, błyskało od świetnych strojów i wytwornych zbroi. Twarze też godziły się z niemi, bo na nich malowała się śmiałość i duma, akby zdobywców i zwycięzców całego świata. Nik już nawet w tej rannej godzinie zupełnie trzeźwym nie był, co dodawało animuszu. Pieśni tylko i chorągwi było brak,aby to na wojenne ciągnienie wyglądało.

Pochód wolnym krokiem skierował się ku kościołowi katedralnemu, aż pod same wielkie drzwi jego, które zastali zamknięte Stukano i dobijano się chwilę, ale książę natychmiast dał znak do odwrotu. Uchylił sam kołpaka przed kośc ołem i w tym samym porządku milczący orszak jechał do izby sądowej.

Wszystko, co się tu odbywać miało, zawczasu było przewidziane.

Wiadomem było, że książę biskup Massalski zakaże duchowieństwu brać udział najmniejszy w fundowaniu Trybunału, ale tam, gdzie potrzeba było kapłanów do słu-

chania przysiąg, znaleźli się upatrzeni wcześnie księż ze żmudzkiej dyecezyi.

Z sądownictwa dawnego książę nie znalazł nikogo, oprócz starego podsędka wileńskiego, Mańkiewicza, któremu zwierzył zaraz, aby porządkiem zwykłym przystąpił do ufundowania, zapraszając deputatów do przysięgi.

Wiedziano już, ilu ich było gotowych do zajęcia miejsca na krzesłach.

Mańkiewicz tedy powołał do przysięgi.

Przez poszanowanie stanu duchownego na pierwszem miejscu szło tu duchowieństwo, deputaci kapituły wileńskiej, żmudzkiej i innych.

Wileńscy, którym pod ekskomuniką Massalski zakazał się stawić, nie stanęli. Znalazło się jednak choć dwu, dających dobry przykład, deputat duchowny kapituły żmudzkiej i kapituły smoleńskiej.

Kolej przychodziła na deputatów świeckich, których wielu należało do partyi Czartoryskich. Ci, chociaż zostali wybrani zgodnie, bez opo ycyi i wybór ich nie podpadał najmniejszej wątpliwości, wszyscy byli nieprzytomni. Można s ę było obawiać, iż Trybunał dla braku sędziów niemożliwym się stanie.

Z obliczenia jednak Przyjaciół Radziwiłła i hetmana Sapiehy wypada o, że Trybunał mógł być ukonstytuowany. Z tych ani jednego nie zabrakło a przeciw żadnemu z nich nie objawiła się opozycya.

Wszystko to szczęściem jak emś pomimo wielce wzburzonych umysłów, mimo namiętności grających silnie, szło tak spokojnie i gładko, że książę podkomorzy wydziwić nie mógł się i powtarzał ciągle:

- „Jak z partesów, jak z partesów!!"

Na twarzy księcia wojewody malowało się wielkie ukontentowanie. Poważny był i spokojny.

Deputaci, złożywszy przysięgi, nie bawiąc, szli na ustęp dla wyborów z pomiędzy siebie marszałków, vicemarszałków i innych trybunalskich urzędników.

Jak to już poprzednio postanowionem było, książę Hieronim Radziwiłł, podkomorzy litewski, *unanimitate*

wybranym został marszałkiem wielkim. Bohusz, książęcy sługa—wice-marszałkiem, Łopaciński przyjaciel i wi r-ny adherent domu jego—marszałkiem trybunału skarbowego i t. p.

Dokoła duchownego z należnych mu ośmiu deputatów świeckich, marszałek, obrany stante pede, wyznaczył tylko dwu, dopókiby deputaci kapituły wileńskiej przysięgi nie złożyli.[1]

Wszy tko, to wedle dawnego obyczaju, w niczem mu nie chybiając, nie zmieniając z osobliwym pośpiechem, a jeszcze osobliwszym spokojem, niezakłóconym niczem, odbyło się, jak gdyby już opozycya zwyciężona dała za wygranę.

Książę, dotrwawszy tu *decenter* i z wielką powagą do końca samego, po zaproszeniu Trybunału całego do siebie, nazad z tą samą pompą i orszakiem przez ulice, jeszcze ducha pełne, pociągnął do kardynalii.

Lecz w tym powrocie, chociaż się ludzie książęcy wstrzymywali od wszelkiej manifestacyi tryumfu i rankoru do nieprzyjaciela, nie obeszło się tu i owdzie bez zaczepki i napaści, bez s ów obelżywych i odgróżek.

Gdzie się ludziom wojewody nie podobała jaka fizys skrzywiona, oddawano jej za kwaśne oblicze ruchami wyrazistemi, a niejeden przechodzeń podejrzany po plecach oberwał. Wszelako komendanci umieli tak jakoś hamować swoich podwładnych, że do żadnego znaczniejszego tumultu nie przyszło, a gdy ciągnięto przed kamienicami, w których były gniazda kanclerskich przyjaciół, tam podwajano baczność.

Z tego jednak, co utrzymanie wojska w karności dnia tego kosztowało, wnosić było można, iż jeśli się kanclerscy przyjaciele prędko nie wyniosą z Wilna, na sucho im nie ujdzie. Wszyscy bowiem o manifeście wczorajszym wiedzieli już, chodził on z rąk do rąk, czytano go z oburzeniem, a gdy ludzie od pióra odpowiedzi się dopominali, zagłuszano ich tem, że na pisma podobne kijem tylko odpowiadać się godzi.

Wzburzenie przeciwko kanclerzowi i biskupowi Massalskiemu po przyjęciu i pijatyce w kardynalii urosło

jeszcze, gdy się dowiedziano, co tymczasem zaszło od strony przeciwnej.

Biesiadowano tu ochoczo i wesoło, gdy Tołoczko, który był ciągle na koniu lub na wózku, nadbiegł do hetmana Sapiehy z wiadomością, że Massalski w katedrze zabiera się nowy manifest czytać i podpisywać.

— Płakać i manifestować ię każdemu wolno!— zawołał Bohusz vice-marszałek—niech im przez to ulży na wątrobie.

Ponieważ Tołoczko sam się ofiarował jechać do katedry na zwiady, dano mu benedykcyę na drogę wielkim kielichem, który i on spełnić musiał, bo książę wojewoda wymówki żadnej słuchać nie chciał.

Chociaż kościół katedralny zrana był zamknięty, teraz dla wszystkich był otwartym, miano i dnak baczenie u drzwi, aby się nie wcisnęło nadto Radziwiłłowskich przyjaciół, którzyby tumult wywołać, lub protest publiczny mogli uczynić. I Tołoczko, dostawszy się do drzwi musiał parlamentować ze stojącą u nich strażą, póki go wpuszczono. Ale, że sam jeden był, i kilku tynfami poparł prawo swe wnijścia do kościoła, dano mu ingres bez przeszkody.

Katedra w tej porze dnia, nie zwykłej do nabożeństwa niezbyt była przepełnioną, tak, że część publiki posądzić było można o to, iż z rozkazu biskupa tu się znajdowała.

Dostojniejsi tylko, ciż co wczoraj, nie wyjmując pułkownika Puczkowa, znowu w presbiteryum swoje zajęli miejsca.

Biskup w fioletach tylko, w komży i stule, ale z koronkowemi mankietami i koronkowemi obszyciami bogatemi, na tronie swym zasiadał. I tak samo, jak wczora, zabrał głos namiętny przeciwko opresyi i dokonanemu już gwałtowi, który poparł tenże sam Narbutt, a po nim kilku innych *stellae minores*. Dopominano się *titerum* manifestu, który znalazł się gotowym i natychmiast był odczytanym.

W tych wszystkich czynnościach jedno się najwyraziściej czuć dawało,—to pośpiech gorączkowy jakiś, jak gdyby się obawiano, aby gwałtowników, przeciwko któ-

remu się porywano, nie najechał kościoła i protestujących nie rozpędził.

W manifeście nie pominięto pośrednictwa przez króla zesłanych rozjemców, księdza biskupa kamienieckiego i kasztelana połockiego, wystawując Czartoryskich, jako do ustępstw skłonnych, a wojewodę, jako głuchego na wszelkie namowy i rady.

„J. O. Książę Radziwiłł—mówił dalej manifest— nietylko żołnierzy swoich nadwornych do izby sądowej zbrojnie przystawionych i armat pod zamek sprowadzonych, odciągnąć nie chciał, ale jeszcze większą ich przymnożywszy liczbę, przystęp szlachcie z manifestami i dekretami przeciwko deputowanym, a nawet niektórym sędziom zatamował. Także duchowieństwo *ob metum* sprofanowania *diluvis sanguinis* kościoła, nabożeństwa zwykłego odprawować bezpieczeństwa nie miało i duchowni deputaci do przysięgi *accedere* nie ważyli się".

Cały manifest równie zręcznie tłumaczył to na korzyść Czartoryskich, co było ich winą, jak zasługi wojewody w pohamowaniu się od gwałtów i naruszenie pokoju zaprzeczał, a wymyślone opresye mu wyrzucał.

Protestował w ostatku, ale i tonem, i obelżywemi wyrazami nie tak już raził, jak pierwszy.

Czuć w nim było niezmierny ból, iż stronnictwo, które się za silne dosyć uważało, by wojnę wypowiedzieć Radziwiłłowskiej potędze, zostało zwyciężone, pokonane i Trybunał *de facto* ufundowany istniał.

Dla zerwania go potrzeba było absencyi kilku deputatów przeciwnego obozu i kilku duchownych, albo zupełnego cofnięcia się większości i opatrzenia wojewody.

Tymczasem jawnem było po ukonstytuowaniu wedle obyczaju i dopełnionych przysiąg, iż Trybunał istniał i sądzić miał, jak poprzednie, a legalność przynajmniej co do form zachowaną została.

Tołoczce zdawało się, że widział na twarzach, że czuł w głosie protestujących znużenie jakieś i zniechęcenie. W tej grupie, która otaczała tron biskupi żywe prowadzono rozmowy, które zdala wydawać się mogły sporami

i wymówkami. Twarze były posępne, a ks. biskup Massalski miotał się namiętniej niż kiedy, nie zważając na wielki ołtarz, ani na świętość miejsca.

Jeden tylko świadek bierny, pułkownik Puczkow, znudzony, poziewał, pokryjomu ręką się zasłaniając, i okiem ciekawem, znużonem toczył po starych, poczerniałych murach kościoła, okrytych nagrobkami.

Po odczytaniu nowego manifestu, który jak się później okazało, równie z pierwszym do akt wniesionym nie został, biskup, hetman wielki, kanclerz, pułkownik, wszystko razem z pośpiechem wielkim wyniosło się, powsiadało do powozów i rozproszyło po kwaterach.

Tołoczko wyszedł niepostrzeżony przez nikogo, a że hetman miał na niego czekać w kardynalii, pojechał z raportem do niego. Zastał tam to, czego się spodziewał,— pijatykę rozpasaną, hałaśliwą, a księcia wojewodę przodującego. Winszowano mu tryumfu, co on z uśmiechem przyjmował.

Gdy Tołoczko się pokazał, zwrócił się do niego i *ante omnia*, dla odwilżenia gardła, kazał mu spełnić jednego z apostołów.

Apostołami zwano dwanaście kieliszków, tak wymierzonych, iż każdy z nich we dwójnasób tyle wina w sobie mieścił, co poprzednik. Szczęściem dla niezbyt tęgiej głowy pana buńczucznego, dostał mu się jeden z początkowych, a wojewoda o dalszy ciąg nie nastawał.

Rotmistrz potwierdził, że manifestacya dzisiejsza daleko była umiarkowańszą od swej poprzedniczki, i że ichmoście, protestujący przeciwko gwałtom—mieli twarze smutne, oblicza zniechęcone...

Pito tedy zdrowie księcia podkomorzego, nowego marszałka, Bohusza, deputatów, urzędników i t. p.

Zanosiło się na jedną z tych hulanek nocnych księcia wojewody, które czasy mieczn ka przypominały. Tołoczko nie miał ochoty brać udziału w tem rozpasaniu, któremu rzadko kto mógł wydołać i wymknął się, nie czekając na hetmana, który wygodnie się rozsiadłszy, drzemać się zabierał.

Służba powoływała go na Antokol, gdzie już spodziewał się znaleźć pannę Anielę zainstalowaną.

Nie był Tołoczko jeszcze tak dalece wtajemniczony w sympatye i antypatye hetmanowej, ażeby zawsze mógł odgadnąć, co ją pocieszy, a co ją zasmuci, i dziwował się, gdy czasem przyniesiona plotka, która mu się wydawała smaczną, znalazła się dla niej wstrętliwą.

Zręczna pani umiała mu potem to wytłumaczyć, ale wprost w taki sposób, że zwykle jej nie odgadł. Pan buńczuczny tylko po szlachecku wnosił, że cioteczni bracia z sobą musieli się kochać i że hetman a zatem i hetmanowa z sukcesów Radziwiłłowskich cieszyć się musiała.

Po drodze na Antokol mógł się przekonać, że Radziwiłłowscy, dwornia rozpuszczona na dziadowski bicz, tryumfem pańskim i winem do szału była doprowadzoną. Spotkał kilkudziesięciu młodzieży konno z pistoletami przebiegających ulice i szukających tylko sług Fleminga lub Czartoryskich, aby na nich wywrzeć pomstę za manifesty, księcia infamujące.

Napadli oni nawet Tołoczkę po ciemku, którego poznawszy, gdy ich zgromił a zapowiedział, że o tem doniesie księciu, puścili nietkniętego. Słychać było po zaułkach krzyki i strzały; niespokojnie zapowiadał się Trybunał.

Postanowił o tem mówić hetmanowi, aby nie dopuścił rozpasania i gwałtów, któreby i nieprzyjaciela niepotrzebnie drażniły i Radziwiłła, jako gwałtownika okrzyczanego, mogły wistocie uczynić w oczach wszystkich niepoprawnym a do miecznika litewskiego podobnym.

W pałacu na Antokolu tego wieczoru hetmanowa nie miała nikogo, oprócz panny Anieli i przyjaciółki swej z lat dziecinnych, wojewodzicowej, z którą żyła, jak z siostrą.

Wojewodzina wówczas na wielkim świecie znana pod imieniem Sylfidy, była blizką krewną Lubomirskich, a charakterem i temperamentem zbliżała się wielce do hetmanowej. Tyle tylko, że jej piękności nie miała, ale za to z wielką sztuką umiała malować się, stroić i czynić ponętną, bo figurę, rączkę i nóżkę miała zachwycającą.

Panna Aniela, która zdala się musiała trzymać, bo dwie przyjaciółki szeptały coś cicho, nudziłaby się może, ale mogła swobodnie przez ten czas czytać romans francuski, niezmiernie sentymentalny, który ją do najwyższego stopnia zajmował. Dwie przyjaciółki zwierzały się sobie wzajemnie i zdaje się, że Sylfida miała posłannictwo pośrednictwa, aby stolnika przyciągnąć do hetmanowej.

Dwie panie tak były przejęte rozmową, która już trwała przeszło godzinę, iż nieposłyszały, jak Tołoczko zjawił się w salonie. Ale za to on się nie gniewał, bo po drodze mógł naprzód powitać pannę Anielę, pocałować jej rączkę i przypomnieć, że on dzwonił na to kazanie.

— Widzi pani—szepnął jej po drodze,—że się moje przepowiednie ziściły.

Szelest i szept zwrócił uwagę hetmanowej i nareszcie postrzegła Tołoczkę. On zdumiał się złemu humorowi, który na jej twarzy był widocznym, a wywołała go w części obojętność stolnika, intrygi wojewodzicowej mścisławskiej, w ostatku i tryumf Radziwiłła, którego właśnie Tołoczko przyjechał winszować.

— Nie spodziewam się, żebym pierwszy tu przyniósł pani hetmanowej wiadomość, żeśmy świetne odnieśli zwycięstwo.

Sapieżyna przerwała niecierpliwie.

— Zmiłuj się, któż to—my? my? Ale ja ani dla męża, ani dla siebie z tryumfu tego nic nie myślę rewendykować.

— Jakto?—zawołał zdumiony rotmistrz,—a po którejże my stronie stoimy?

— My...—odparła księżna—a przynajmniej ja, nie chcę stać po żadnej stronie. Czartoryskich nie mamy ochoty kochać, a księcia Radziwiłła, choć to brat cioteczny jegomości księcia—nie cierpię!

— Cóż to znaczy? jak Boga kocham, nie rozumiem! zawołał Tołoczko.

— No to już nie będziesz chyba tego nigdy rozumiał —wołała księżna,—że książę z tą swoją pijatyką, którą mi męża do choroby zamęcza, stał mi się nieznośny. A gbur i impetyk, jakiego drugiego nie znaleźć.

Rotmistrz stał skonfudowany mocno tym wybuchem szczerości.

— Księżna pani pozwoli, ażebym ja o tem nie wiedział—odezwał się zmieszany.—Ja z obowiązku sługi pana hetmana i pani mej, którą weneruję, przyjeżdżam oznajmić, iż Trybunał *feliciter* ukonstytuowany, ale to tak świetnie i szczęśliwie...

— Wiesz waćpan wszystko?—przerwała mu księżna.

— Zdaje się, że chyba niewiele kto więcej czem się pochwali—rzekł Tołoczko.

— Znajdujesz wszystko dobrem, co książę zrobił—mówiła zaanimowana wielce hetmanowa—a cóż powiesz na to i co powiedzą nieprzyjaciele jego, gdy się okaże, że książę na deputatów do przysięgi dopuścić kazał takich, których nigdy nikomu ani się śniło wybierać!

— Jezus! Marya!—zawołał Tołoczko—któż to hetmanowej doniósł... kogóż się to tyczy?

— A pan sędzia Aleksandrowicz, —mówiła hetmanowa—a Romanowicz, a Gutowski?

Tołoczko, który szczegółów się nie dowiadywał, stał niemy. Bolało go i to, iż księżna była tak doskonale informowaną i że zdawała się nie sprzyjać Radziwiłłowi.

Zafrasował się tem szczególniej, że o tych posłach nie wiedział.

— Ha!—odparł pokornie—ja się chyba do dymisyi podać muszę, kiedy jestem tak źle informowany.

Księżna, widząc jego minę skrzywioną i upokorzenie, nagle, jak to się jej trafiało często, ze smutku przeszła do śmiechu.

— Nie frasujże się, bo ja te wiadomości przecież winnam wam—zawołała.—Przejęłam liścik do was pisany.

— Ale mnie konfuzya spotyka wielka—rzekł Tołoczko—widzę, żem się nie zdał do niczego, nie wiedziałem o tych deputatach.

— Będą niemi księciu w oczy rzucali—wtrąciła hetmanowa.—Wiem, że on sobie nic z tego nie czyni, ale ci, co z nim trzymają, radziby go widzieć czystym, no i rozumnym... a on robi co może od rana do nocy, aby się pozbyć odrobiny rozumu, której go miecznik nie pozbawił.

Tołoczko miał czas się rozmyśleć, a że nigdy księżnie się nie sprzeciwiał, zamilkł i teraz. Nie rozumiał jej, a urazę jakąś do księcia miał za przemijającą. Wysłuchawszy wielu przycinków, dawanych Radziwiłłowi, zabrał głos i co wiedział o fundacyi Trybunału, o nowym manifeście Czartoryskich, o ceremonii powtórzonej w kościele, opowiedział żartobliwie.

— Będziemy się wszyscy starali—dodał—księcia nie dopuścić do wybryków żadnych i on teraz do nich ochoty nie ma. Co wojewoda, to nie miecznik, co się młodemu miecznikowi tolerowało, nie przystało poważnemu wojewodzie. Bieda tylko będzie z młodym dworem księcia jegomości, który za manifest pomsty szuka.

Hetmanowa pomiarkowała snać, że zaszła zadaleko, wynurzając się przed Tołoczką i zamilkła.

Rotmistrz był zasmucony, choć mu wkońcu za jego informacye podziękowała.

— Idź waćpan zabawiaj pannę Anielę—szepnęła mu, chcąc się go pozbyć—bo my jeszcze mamy małą konferencyę z panią wojewodziną.

Uradowany rotmistrz odszedł do strażnikównej, którą znalazł w dosyć dobrym humorze. Obdarzyła go wejrzeniem łaskawszem, wywdzięczając mu się za wyratowanie z tego towarzystwa gburów, które matkę otaczało.

U hetmanowej była w tym świecie, do którego wzdychała. Wczorajszy trzewiczek Bujwida nie mógł jej wyjść z pamięci. Rumieniła się, myśląc o nim. I miała może słuszność, bo niekoniecznie rada była, że miarę nóżki jej wzięto, która choć pięknych kształtów, niekoniecznie drobnemi się odznaczała rozmiarami.

Tołoczce, chociaż był rozkochany, na sentymentalną rozmowę w tym tonie, jakiby się mógł podobać pannie Anieli, zdobyć się było trudno; ograniczył się więc zabawianiem jej rozmaitemi szczegółami, tyczącemi hetmanowej, jej gustów i usposobień, aby zastosowaniem się do nich mogła sobie jej względy zaskarbić.

Umiała to ocenić panna Aniela.

— Nie miej pan o mnie złej opinii—rzekła wkońcu—iż od matki rodzonej uciekam i innego szukam towarzystwa. Z panią matką byłoby mi najlepiej i najmilej, gdyby żyła z ludźmi, jakich ja lubię.

— Bardzobym jej wdzięcznym był—przerwał Tołoczko,—gdybyś mnie nauczyć raczyła, czem się jej podobać można?

— Mnie?—odpowiedziała strażnikówna.—Ja się wychowywałam więcej przy ciotce, niż w macierzyńskim domu. Nawykłam do ludzi i obyczaju większego świata, a tej poufałości, rubaszności i grubiaństwa, jakie matka moja znosi, bo się z niemi oswoiła, niecierpię. Wczoraj o małom się nie spaliła ze wstydu i gniewu, gdy mi starosta pogorzelski trzewik zdjął, aby z niego pić zdrowie! Nie wiem, jaki to obyczaj, ale pewnie w Paryżu o nim nie wiedzą! Ja lubię ludzi łagodnych, grzecznych, miłych i szlachetne mających sentymenta, a nie sejmikowiczów i palestrantów.

Panna mówiła śmiało; Tołoczko dumał.

— Sądzę, że u pani hetmanowej—rzekł—panna strażnikówna będziesz w swoim żywiole. Postaram się o to, ażeby ona zatrzymała ją przy sobie. Zabawić tylko potrzeba i smutnej nie okazywać twarzy, a pokocha i nie puści od siebie.

— A! ten Bujwid—odezwała się po chwili—dla niego jednego radabym uszła, bo mnie prześladuje swojemi konkurami, a ma protekcyę matki. Cała moja nadzieja w pani hetmanowej.

— I ja ręczę, że ta nadzieja nie zawiedzie—dodał Tołoczko,—a na Bujwida, który tu się dostać nie będzie mógł, znajdziemy sposób.

— O, bardzo panu wdzięczną będę—wtrąciła, ożywiając się, strażnikówna.—Wolałabym do klasztoru, niż wyjść za człowieka, który nigdy sentymentu dla nikogo mieć nie może, bo jest nieokrzesanym gburem. Ja tu u pani hetmanowej innem oddycham powietrzem!!

Tołoczce to poufne zwierzenie się bardzo smakowało, ale mimowolnie myśl mu przyszła i wątpliwość, czy on też był dosyć okrzesany dla strażnikównej.

— Ha!—rzekł sobie w duchu—dziej się wola Boża, ostatnia to miłość moja; albo ta, albo żadna!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Tom II.

I.

Obawy tych wszystkich, którzy wojewodę znali, aby szczęśliwe ufundowanie Trybunału nie wbiło go w dumę zbytnią, nie były płonne. On sam hamowałby się może, przynajmniej, gdy sobą władał, ale z dawnych czasów owych miecznikowskich, pozostało w jego służbie siła ludzi, których potęga pana upajała do szaleństwa. Nie mogli znieść tej myśli, aby co wolę jego ograniczało... aby on potrzebował się w czem hamować.

Po szczęśliwem ufundowaniu Trybunału sądzili się w Wilnie przy wojewodzie panami. Nie mogli wytrzymać spokojnie, szukali okazyi do zaczepek, wywoływali huczki i wyzywali na awantury. Najmniejszy protest starczył im do podbudzenia wybuchu.

Ostrzegano księcia, aby zakazał po ulicach dokazywać, ale wojewoda bronił ich i tłumaczył.

— Zachowują się spokojnie—mówił—ma się na nich baczność, a młodość ma swe prawa. Huknąć i stuknąć—trudno zabronić, byle nie przebrali miary.

Zaraz pierwszego wieczoru po małych uliczkach, przedmieściach były zaczepki, strzelano, porąbało się kilku, ale w owe czasy nie raziło to jeszcze, bo duch wogóle był niespokojny, a miotali się tak wszyscy.

Najgorszem było, że dla spraw w Trybunale zjazd był znaczny, ludzi różnych, zwaśnionych z sobą co niemiara. Ci radzi byli pozyskać sobie Radziwiłłowskich, aby z ich pomocą dokuczyć nieprzyjaciołom. Pojono ich i przyjmowano, podbudzając na tych, których przypisywano niechęć dla księcia wojewody.

Zaraz nazajutrz pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu dworzan wojskowych, z milicyi hajduków, podpiwszy sobie, związali się słowem, że będą się mścić na nieprzyjaciołach księcia za manifesta.

Dowiadywano się o kwaterach ludzi nienawistnych, obmyślano środki, aby im się dać bezkarnie we znaki.

Wiadomem to było, iż książę swoich winnych czy niewinnych bronił do upadłego i nic im uczynić nie dawał. Uchowaj Boże, aby mu kto tknął człowieka, który w jego usługach zostawał, choćby służba ta była tylko pozorem.

Milicya Fleminga, Czartoryskich, Sosnowskiego, pisarza litewskiego, Massalskich po kątach się musiała kryć, aby nie narazić na zaczepki i bijatykę. Niektóre domostwa po całych dniach stały pozamykane; ludzie mieli się na baczności, broń stała ponabijana. Czartoryscy usiłowali wszelkiemi możliwemi środkami nie dopuścić gwałtów i bójek, raz, że słabsi daleko byli, powtóre, iż grali tu rolę ludzi spokoju i porządku, szanujących prawa i nienawidzących warcholstwa. Ludziom ich zakazanem było pokazywać się na ulicach.

Ale nie wszyscy się tak umieli zachować, jak oni. Sosnowski, pisarz litewski, niektórzy oficerowie Fleminga—zdradzali dumą lekceważenie Radziwiłła.

Chociaż Trybunał stanowczo mógł być już uważany za doszły i to bez krwi przelewu, bez najmniejszej walki, opór przeciwko niemu nie ustawał. Jednym z najzajadlejszych był ks. biskup wileński. Niedosyć, że pierwszego dnia pozamykał kościoły, nie dał później zgromadzić się na zwykłe po ufundowaniu nabożeństwa u św. Jana, gdzie deputaci słuchali kazania i Te Deum. Kościół stał zamknięty.

Pomnażało to gniew młodzieży i ochotę odwetu.

Pierwszą ofiarą padł Sosnowski niemal w biały dzień. Zawczasu go ogłaszano jako zdecydowanego marszałka przyszłej konfederacyi. Nie słynął on ani z rozumu, ani z taktu, ale z dumy, której nie było na czem oprzeć.

Radziwiłłowska banda, jak ją nazywano, usadziła się go wyśmiać i nastraszyć, nie mogąc wyzwać na rękę

ludzi, którzy siedzieli, jak w więzieniu zamknięci w najętym domu. Napędzono świadków ciekawych, wcześnie ogłaszając, że Sosnowskiego będą okrzykiwać marszałkiem.

Jakoż nad wieczór, gdy już gawiedzi ulicznej pełno było, pokazała się w dali banda zbrojnych, stojących, a wykrzykujących ludzi Radziwiłłowskich, jadących z taką butą i fantazyą, jak gdyby gród nieprzyjacielski zdobywać mieli. Prowadził ją dowódca hajduków, prawdziwy Goliat, chłop ogromny z wąsami do pasa, który muszkiet krótki a gruby trzymał o siodło oparty i dawał znaki swoim. Za nim jechali dobrani warchoły najszaleńsi, wszyscy podpili, każdy z muszkietem albo z pistoletem, niektórzy szablami wywijając. Mieli tam już swoich namówionych, którzy wcześnie kupy kamieni nagromadzili.

Stanąwszy przed kamienicą Sosnowskiego, jeden wyjechał naprzód i buzdyganem począł w bramę walić, choć wiedział, że mu jej nie otworzą.

Z wnętrza nikt ani pary nie puścił, ani dał znaku życia.

Wtem z tłumu ozwało się wołanie.

— Vivat Sosnowski, marszałek, konfederacki!! vivat!!

— Vivat cztery litery!—wołali drudzy.

— Vivat pół-psa — pół-kozy — niedowiarek Boży!—krzyczeli inni.

Powtarzali jednak najwięcej vivat — cztery litery!

Gdy stukanie do bramy nic nie wywołało, bo były wydane rozkazy, aby się nikt nie ruszał, chybaby bronić się przyszło, pierwszy hajduk z muszkietu strzelił ku oknom, a za nim, co kto miał nabojów gotowych poczęli kulami do okien i drzwi ognia dawać.

Ale że im wreszcie kul i prochu żal było, albo to za zbyt wielki dla Sosnowskiego honor mieli strzelbami go oblegać, rzucili się do kamieni, które chłopcy uliczni raźno im podawali, sami też ochotnie bombardując okiennice, okna, ściany. Tynk z nich opadał kawałkami, okiennice się rozsypywały i wisiały deski porozbijane, a szkło z szyb w oknach z brzękiem sypało się na ziemię. Ale i to nawet

nie mogło ludzi Sosnowskiego wyzwać do boju, bo im go starsi bronili, wiedząc, że gdyby się ruszyli, napłynęłyby gromady Radziwiłłowskich i z boju tego niktby nie wyszedł cało.

Nie udało się więc Radziwiłłowskim, bo nakrzyczawszy się, nałupiwszy okien i ścian, a ludzi nie mogąc dostać, nadaremnie tylko znużyli się i pomiarkowawszy, iż książę z tego nie będzie rad, ze śpiewami i hałasem odciągnęli precz. Tyle pociechy mieli tylko, że nienawistnemu człowiekowi, pieczeniarzowi Brühla, dokuczyli.

Był to początek i próba, bo Sosnowski mała figura, niewiele znaczył i tyle tylko, że należał do ligi, przeciwko Radziwiłłowi. Znaczniejszą i wybitniejszą rolę odgrywał w tej koalicyi podskarbi Fleming, nielubiony nawet przez tych, co z nim jednej się trzymali klamki. Nazajutrz więc stanęła umowa, aby napaść na pałac Fleminga. Tu spodziewano się nieodmiennie wywołać bójkę, którąby potem złożyć było można na zaczepkę ludzi podskarbiego.

I tu już pierwszym znakiem tego, że gotowała się utarczka, był napływ gminu, który na placu się skupił, zewsząd nadbiegając. Jeden i drugi oddział milicyi przeszedł mimo bramy spokojnie, choć piechota podskarbiego się w niej pokazywała. Za temi, jak za przednią strażą przeciągnął Goliat ze swemi, śpiewając polsko-żydowską piosenkę satyryczną, którą Fleminga, jako Niemca prześmiewano.

Za pierwszym wystrzałem ku oknom pałacu na pierwszem piętrze, z których się szyby posypały, nastąpiło kilka innych, również na okna skierowanych.

Straż Fleminga, którą dowodził Niemiec Dreher, oficer młody, odważny i rozjątrzony już ciągłemi zaczepkami i obelgami, jakiemi ich prześladowano, nie chciał znieść tego cierpliwie i z odwagą młodzieńczą wypadłszy z kamienicy, wprost na jednego ze strzelających się rzucił, konia mu za uzdę chwytając, aby go za sobą uprowadzić.

Ten jak miał pistolet nabity w ręku, wprost się zmierzył do piersi Drehera i wystrzelił, a oficer pochwycił się

za serce, zwrócił się tylko, okręcił i padł broczący krwią bruk.

Ludzie Fleminga, zobaczywszy to, nie mogli się już powstrzymać i wszyscy, co w bramie stali dali ognia do wojewodzińskich, którym szczęściem oprócz jednego konia zabitego i kilku poranionych nic się nie stało. Zabierało się tedy na formalny bój, któryby był mógł przybrać niebezpieczne rozmiary, ale młody kasztelanic, który przez swawolę komendę sobie nad oddziałem przywłaszczył widząc, że to nie przelewki, poczciwego imienia swego na brudną burdę pożałował i pierwszy uszedł; za nim popędziła gromada z Goliatem.

Właśnie, gdy się to odbywało, Tołoczko przejeżdżał tędy i parę kul mu około uszów świsnęło. Wiedział on i słyszał z ust samego księcia wojewody, iż burdy chciał uniknąć, a i hetmanowi o to szło, aby się brat jego zachował *cum dignitate*, więc Tołoczko, który kasztelanica na oczy widział, miał sobie za obowiązek pobiedz z tem do kardynalii.

Tu teraz, o jakiejkolwiek dnia godzinie kto przyszedł zawsze pewien był jedno zastać: kielichy, wino i ludzi oszołomionych.

Wszedł rotmistrz mocno kasztelanicem, który był krewnym wojewody i hetmana, zakłopotany, wołając na głos o wojewodę.

— A toć ci nie uciekam!—zagrzmiał głos siedzącego pana.—Na cóżem ci potrzebny?

— Na rany Chrystusowe!—krzyknął Tołoczko.—W. ks. Mość jeden możesz to powściągnąć. Wszak kasztelanic z bandą ladajakich ciurów poszedł na pałac Fleminga; oficera jednego ubito... strzelają do siebie zajadle.

Książę, posłyszawszy nazwisko kasztelanica, zerwał się z krzesła..

— Co ci się przyśniło! Kasztelanica tam nie było nie mogło być... milcz-że mi!

— M. Książę—odparł dumnie Tołoczko—oczy mam, a gęba moja się nigdy żadną potwarzą, ani plotką nie zwalała. Widziałem.

— Nie widziałeś!—zagrzmiał książę—a choćbyś wi-

dział, toś powinien milczeć... rozumiesz to... ja ci zakazuję...

— M. Książę, nie jestem pod jego rozkazami—odparł Tołoczko—a książę nie jesteś jeszcze hetmanem.

Zuchwała ta odpowiedź wprowadziła Radziwiłła w pasyę; ścisnął pięść i cały się krwią oblał.

— Nie waż mi się mówić o tem... Moja ręka, choć w niej buławy jeszcze nie trzymam, sięga daleko, a komu na kark spadnie, temu Miserere śpiewają!

Tołoczko zamachnął ręką i zwrócił się do Sapiehy, który stał już jakby u niego szukał obrony, choć się jej nie bardzo spodziewał.

Hetman stał z twarzą nachmurzoną, posępny, ale nie tak pokorny dla Radziwiłła, jak się ten spodziewał.

— Niech się brat umityguje—rzekł.—Co mój pan rotmistrz buńczuczny mówił z intencyi dobrej, za to się go karcić nie godziło. Nie skłamał pewnie.

— Kasztelanica sobie tam uroił—przerwał książę—będzie to roznosił po mieście, aby mnie też do spółki wciągnął z temi, co burdą poczynają.

— Ale M. Książę—zawołał Sapieha—intencyi w tem nie było.

Radziwiłł się perzył z gniewu.

— Kasztelanica tam nie było! Ja o tem wiedzieć nie chcę!! Sami oni wyprawiają hałasy, sami mącą, a na mnie i na moich zrzucają.

Sapieha, nie podzielając tego gniewu, parę razy jeszcze przerwał bratu, lecz ten i względem niego opryskliwie się znalazł i stawił okoniem.

Oba, Radziwiłł i on, co się wczoraj jeszcze całowali i poprzysięgali sobie alians i zgodę wiekuistą, teraz nagle pod wpływem jakimś, którego odgadnąć było trudno, koso poczęli spoglądać na siebie.

— Warchoł niepoprawny, nigdy miecznikiem być nie poprzestanie—mruczał sam do siebie Sapieha.

— Hetmanowej pacholik... pod pantoflem u żony—... szeptał książę.

Sapieha, nie żegnając się, razem z Tołoczką wyszedł brata samego zostawiając, który natychmiast przywołał

Bohusza i kazał mu wydać ordynans, aby nikt nie śmiał o żadnych donosić burdach, strzelaniach... bo on o tem wiedzieć nie chce...

Hetman, że od rana z Radziwiłłem się zabawiał, a nieustannie pić musiał, ledwie do karety wsiadł, rozkazawszy Tołoczce jechać z sobą,—coś zabełkotał, głowę na poduszki pochylił i—usnął. Aż do Antokolu jechali tak milczący, a Tołoczko był bardzo zafrasowany tem, iż się mimowoli księciu naraził. Gdy u ganku stanąwszy, książę się z powozu ruszać nie myślał, wybiegła hetmanowa, przelękniona, czy mu się co nie stało, ale dowiedziawszy się, że śpi, kazała tylko hajdukom zanieść go do łóżka, a sama splunąwszy na pokoje swe powróciła.

Zawołała Tołoczkę, ażeby jej wytłumaczył, co to wszystko znaczyć miało. Rotmistrz, że i tak chciał się księżnie wyspowiadać, począł zaraz opowiadanie *ab ovo*, to jest od napaści Fleminga.

Księżna słuchała ciekawie, a gdy wkońcu przyszedł do tego, iż znalezienie się z nim księcia i ujęcie się za nim hetmana opowiedział, na twarzy hetmanowej odmalowało się prawie radosne uczucie.

— Te Deum będzie śpiewał—rzekła,—ale kto wie, czy potem,—Tadeusza nie zakwili!

Nie taiła się już przed Tołoczką ze swą animozyą przeciw Radziwiłłowi, który jej przypisywał to, że Sapiecha warty Trybunałowi odmówił, a choć książę przełknął to zrazu, dławiło go po dziś dzień, że brata nie mógł sobie nakłonić do posłuszeństwa i przewodzić nad nim.

Po tej krótkiej zawierusze ludzi Radziwiłła pozamykano i kazano im się nie ruszać z kwater, ani w ulicach pokazywać; książę udawał spokojnego i o niczem niewiedzącego.

Z przeciwnej strony lamenty, skargi i odgrażania były nieustające. A że dopóki Trybunał miał trwać, Wilno pozostawało w ręku Radziwiłła, Czartoryscy już tu nie mieli co robić i lękając się nowych zajść wyjeżdżać postanowili.

Gdy o tem wojewodzie doniesiono, powiedział:

— Płakać po nich nie będę. Baba z wozu, kołom lżej. Z Panem Bogiem!

Zaczęli się wszyscy pakować i zmówili wyruszyć razem, aby kupą ciągnąć, na zaczepki mniej byli narażeni.

Sam książę wojewoda dni następnych mało co się pokazywał, siedząc zamknięty ze swojemi... ale przyjaciele jego nie próżnowali. Bohusz, prawa ręka wojewody, człek obrotny, Judycki Marcin, sędzia ziemski, Rzeczycki młody a porywczy i ognisty chłop, który Radziwiłła za sobą mając czuł się silnym,—jeździli i chodzili, nosząc się z prepotencyą i powtarzając głośno, że tu wszystko musi być tak, jak oni zechcą i rozkażą.

Więc Bohusz, umiejący z każdej zręczności korzystać dla siebie, a na nikogo się nie oglądający, oprócz innych od księcia darów i dobrodziejstw, wyrobił sobie u wojewody posesyę na ekonomię wileńską, którą dotąd Abramowicz, starosta starodubowski, trzymał. Tego brat kasztelan brzeski, do żywego dotknięty odebraniem staroście starodubowskiemu ekonomii, publicznie się z Bohuszem zetknąwszy, gdy ten go witać chciał po staremu, rękę jego odtrącił i od ostatnich słów łajać zaczął, przyczem dosyć świadków było.

Gdyby tam na miejscu zaraz ich nie rozwadzono, byłoby do szabel przyszło, choć Bohusz do niej skorym nie był. Ale złajaniu tego pana vice-marszałka Trybunału świadków było dosyć i na Bohuszu plama została niezmyta.

Gryzł się tem i nie mógł strawić ks. wojewoda, bo co spotykało Bohusza, poniekąd na niego spadało; na Abramowiczach mścić się było potrzeba, a oni też swoich popleczników mieli.

Tryumfując więc na oko, wszystko, jak chciał, sprawiwszy, Radziwiłł wcale się nie czuł szczęśliwym.

Po odjeździe Sapiehy, z którym aż do tego dnia po bratersku byli i dopiero z rana jakoś zaczęli się jeden drugiemu przekomarzać, popadł wojewoda w senność, spoczywał, a przebudziwszy się — wszystkie sirkumstancye rozważając, zmiarkował, że z Sapiehą przyjaźń braterska na włosku już wisiała. Sam nie wiedział, czy ją miał

odnawiać, lub wcale się o nią nie troszczyć. Wszystko zważywszy, do czasu postanowił z Sapiehą tak się obchodzić, jak gdyby między niemi nic nie zaszło.

Tołoczko zaś przybył na Antokol z mocnem postanowieniem, że noga jego nie postanie w kardynalii.

Wszystkie te dnie po ufundowaniu bardzo niespokojne były; gotowało się jak w garnku. Chociaż większej napaści nie było, ani po ulicach bójek,—po przedmieściach po zaułkach, w szynkach strzelano i rąbano się ciągle. Ludzi niepodobna było utrzymać, wykradali się po nocach.

Czartoryskim to już dokuczyło równie, jak Flemingowi więc pożegnawszy Massalskich, ruszyli precz z Wilna. Wybrali do tego ranek wczesny, spodziewając się, że opoje wojewody zaśpią go i dadzą im wyjść spokojnie.

Wistocie nikt im drogi tamować nie myślał, ale przeszli, jak przez rózgi, nim się z Wilna wydobyli, bo wszędzie ich gawiedź przeprowadzała śmiechami i drwinami.

Radziwiłł bez mała sam ze swoją partyą pozostał.

W kilka dni potem, idąc za radą swoich przyjaciół, choć wiedział, że go biskup do siebie nie dopuści, chciał uczynić zadość obyczajowi i nie Massalskiemu, ale pasterzowi owczarni, do której należał, złożyć należne uszanowanie. Z wielkim więc splendorem udał się, otoczony dworem licznym do pałacu biskupiego, który został zamknięty; oświadczono mu, że ks. biskup nie przyjmuje ani dziś, ani jutro, a wkrótce nawet Wilno opuszcza dla objazdu dyecezyi.

Tyle tylko, że się ludzie przypatrzyli pańskiemu dworowi wojewody, który w takich razach z przepychem monarszym występował.

Na Antokolu parę dni potem księżna się jeszcze dosyć ożywiona kręciła, bo stolnik bawił i spodziewała się go widzieć. Ale ją zawiodła nadzieja, gdyż nie mając tu co robić, Poniatowski z wujami razem stolicę opuścił. Wyjechała zaraz za nim pani wojewodzicowa mścisławska, opuściło Wilno osób wiele i hetmanowa już tu nie miała co robić.

Hetman pod rozmaitemi powodami wyjazd swój ocią-

gał, bo mu się do Wysokiego nie chciało. Z Radziwiłłem nie widzieli się przez dni kilka.

Wtem, gdy księżna Sapieżyna najmniej się tego spodziewała, bo książę wojewoda mało kogo odwiedzał, w czasie niebytności hetmana w domu, przyjechał książę wojewoda z uszanowaniem.

Nie przyjąć go nie można było, gdyż powozy gości, a było ich tego dnia dosyć, świadczyły, że z domu nie wyjeżdżała. Załamała ręce zniecierpliwiona, ale nawykła była *faire bone mine à mauvais jeu.*

Książę, który jej nie cierpiał, choć na pozór grzeczność czynił, wistocie nie mógł progu przestąpić, ażeby nie pomyślał, czem dokuczyć jej potrafi.

Hetmanową otaczało pań około dziesiątka, było i ichmościów prawie tyleż, a między innemi i Tołoczko.

Zobaczywszy karetę i paradny cug wojewody przystąpił do hetmanowej, po cichu jej oświadczając, iż księcia bawić i gospodarza wyręczać nie będzie, gdyż z wojewodą są na noże.

— A gdybym ja rotmistrza pięknie prosiła?—spytała Sapieżyna.

— Jabym jeszcze piękniej odmówił—rzekł Tołoczko, który się pośpiesznie pokłonił i wszedł poza kobiety.

Na młodego więc Lubomirskiego spadło u boku hetmanowej czynić honory domu.

Radziwiłł był po śniadaniu, a choć mu świeże powietrze trochę chmielu odjęło, miał go dosyć, aby się gburowato trzymać i prawić, co ślina przyniesie do gęby. Wszedł poufale, nie śpiesząc witać hetmanową, jakby go ona niewiele obchodziła.

— Czołem pani Magdalenie—zawołał wkońcu, podszedłszy i uśmiechając się—a cóż ci to jejmość dobrodziejka męża bez opieki wypuściła? Gotów co zmalować.... a do niańki nawykł... to mu o swej mocy niedobrze chodzić!

Zarumieniona mocno hetmanowa szukała chwilę odpowiedzi.

— A!—odparła,—co się tam książę troszczysz o hetmana; myśmy się tu ciągle o drogie zdrowie wasze niepokoili... Bo na wojnie lada kto może z kąta strzelić.

— A gdzież to pani hetmanowa wojnę widziała?—spytał Radziwiłł, siadając nieproszony, choć gospodyni stała.

— Gdzie? wszędzie jej było pełno, nawet w kościołach!—odparła Sapieżyna.

— Myśmy o niej nie wiedzieli—zamruczał książę.—Gawiedź i ciury trochę sobie czupryn namordowali... ale im odrosną.

— Oficerowi Fleminga pono życie nie wróci—zawołała złośliwie księżna, która wiedziała, że książę o tem słuchać nie lubił.

Radziwił ruszył ramionami.

— Jeżeli to prawda, że tam Niemca jednego uśmiercił parobek jaki, to szkoda, że się nie dostało lepiej Flemingowi samemu.

Obejrzał się dokoła po paniach.

— Cóż księżna tu też Trybunał fundujesz?

— A jakże!—zawołała Sapieżyna.—Wybieramy się sądzić wszystkich złych mężów.

— To chyba żaden się nie ostoi, krom ślepych—rzekł książę.—A czemże ich karać będziecie? Gdzie będzie *fundum* i wieża?

Sapieżynie, którą gniew w duszy burzył, sprzykrzyły się już żarty książęce.

— Mamy i my swoje tajemnice, których nie wyjawiamy nikomu—odparła żywo.

Wojewoda głową poruszył; rad był jej czem dokuczyć, a nie miał nic boleśniejszego nad wspomnienie młodego Brühla, którym ją prześladował zawsze.

— Miałaś jejmość świeże kresy z Warszawy?—zapytał.

— Sądzę, że książę masz pewnie lepsze i pewniejsze stamtąd wiadomości—zaburczała hetmanowa, przeczuwając do czego zmierza.

— Ja?—a skądżeby? Jejmość sobie zaskarbiłaś względy pana generała artyleryi, a przez niego i do pierwszego ministra i do króla droga najprostsza.

Spojrzał ku niej, ale znalazł ją zimną i wcale niezmieszaną.

— Z Warszawy mi piszą, że z księcia nie kontenci—

rzuciła Sapieżyna;—spodziewali się, że księcia kanclerza pan wojewoda zmoże, a tu się okazało, że on górą!...

— Hę?—zapytał wojewoda—górą??

— A tak... przecież oni ekskomunikowali W. Ks. Mość w kościele...—zawołała hetmanowa—a książę ich nawet nie śmiałeś w kardynalii...

Wojewoda zmiarkował wreszcie, że z hetmanową na języki nie wyjdzie zwycięsko, sapał mocno, obejrzał się i rzekł:

— Żebyś asińdźka choć szklanką wody mnie przyjęła? Pić mi się chce!

Hetmanowa skinęła na kamerdynera.

— Wody dla księcia!—zawołała...

—Juści z winem, albo też i samego wina—odparł wojewoda — jeżeli co jeszcze po fundacyi pozostało, bo u mnie — pasz...

— A to chwała Bogu—przerwała Sapieżyna—bo mi choć raz może mąż powróci bez bólu głowy od księcia.

— Hę? hę?—rozśmiał się wojewoda.—A asińdźce się zdaje, że jego od mojego wina głowa boli? Jako żywo... nosi on na niej ciężar wielki, co za dziw iż zdrów nie jest...

Dwuznacznik ten wywołał rumieniec na twarz bladą hetmanowej.

Podano tymczasem na tacy wino i wodę... Kamerdyner ujął flaszkę z wodą.

— Dajże ty mi pokój z tem paskudztwem, w którem gęsi nogi myją... nalej wina za zdrowie hetmanowej.

To mówiąc powstał i kielich duszkiem spełnił.

— Widzę, że się hetmana nie doczekam — rzekł, ocierając usta.—Zatem stopy całuję...

To mówiąc, zawrócił się, już nie patrząc na gospodynię, która go szydersko i swobodnie milczącym dygiem pożegnała, i zwolna pociągnął nazad do ganku, dokąd go młody Lubomirski przeprowadzał. Do niego się nie odezwał ani słowa. Dwu dworzan, pod ręce go ująwszy, pomogli mu wsiąść do karety.

W salonie księżnej przez czas jakiś panowało milczenie; księżnie się jeszcze twarz paliła od gniewu. Panie,

które słuchały rozmowy, nie wiedziały, czem teraz zatrzeć jej wrażenie, gdy hetmanowa się odezwała:

— Nie mam szczęścia do księcia jegomości... Zawsze z sobą wojnę prowadzić musimy.

Sceny tej była świadkiem, choć zdaleka, i panna Aniela; wykwintnej i sentymentalnej panience sławny książę wojewoda nie podobał się wcale. Nie wiele zrozumiała zrozmowy, ale po głosie czuła, że jej protektorka i wojewoda nie byli z sobą w najlepszych stosunkach. Nigdy sobie nie wyobrażała, aby w świecie, do którego należał najpotężniejszy magnat na Litwie, taki ton i obejście się uchodzić mogły...

Miałaż się dziwić, że w domu matki mała szlachta znajdowała się czasem obcesowo i grubijańsko, gdy Radziwiłł i księżna tak sobie wydrapywali oczy przy ludziach?

Zadumała się mocno gdzie miała szukać tego wykwintnego towarzystwa, za którem dusza jej tęskniła?

Nieszczęśliwym się mógł nazwać król August III! Taka go piekła żądza powrócenia do Drezna a nielitościwy minister Brühl, który robił z nim, co chciał i zawsze umiał gniew pański od siebie odwrócić, pod rozmaitemi pozorami nie puszczał go. Niekiedy płakał, rozczulony cierpieniem pana swojego, tak pragnął go zaspokoić, lecz tysiące drobnych przeszkód powrót tamowało.

Niemal codzień stęskniony kilkoletniem oddaleniem od swojej najmilszej stolicy, od swych obrazów, od swej opery,—król pytał nieśmiało:

— Brühl, kiedyż my pojedziemy do Drezna?

Naówczas minister łamał białe ręce, padał mu do nóg i zaklinał go, aby był cierpliwym. Polaków niespokojnych odjechać tak nie było można, trzeba było na czas oddalenia jakiś sposób obmyśleć, aby Czartoryscy przeciw najlepszemu panu nie podburzyli umysłów... Zaklinał o cierpliwość.

Przyczyną zaś zwłoki było, że należało spustoszoną Saksonię tak urządzić, ażeby się na pozór wydawała nie-

zniszczoną, tak jej usta zamknąć, aby się na zdzierstwo nie skarżyła, a ludzi tak rozstawić, aby August powracający, zwycięski, tylko przyjemne wrażenia spotykał.

Brühl bowiem umiał mu wmówić, że z wojny tej wyszedł zwycięsko.

Trzeba było dać czas Drezdnu, aby wycieńczone, znędzniałe, na pół wyludnione, choć trochę odżyło nadzieją pokoju i lepszej przyszłości.

Król niemal z pokorą błagał litości wkońcu; minister ciągle obiecywał, a ciągle spełnienie gorących życzeń przeciągał.

Potrzeba było takiej znajomości charakteru Augusta, takiego doświadczenia w wyborze środków do łagodzenia go i zajęcia, jakie miał Brühl, ażeby przez czas dosyć długi umieć odwlec podróż i nie zniechęcić króla do siebie.

Fundowanie Trybunału służyło też Brühlowi bardzo skutecznie do utrzymania króla w Warszawie.

Takich Trybunałów, o które walki prowadzono, wiele już widziała cała Rzeczpospolita; ten nie był żadną nowością, ale Brühl umiał go królowi przedstawić, jako wyjątkowo, groźny i pełen znaczenia.

Zwiększał moc i zręczność w postępowaniu Czartoryskich, znaczenie spisków, które oni knuli w Petersburgu, potrzebę zasłonięcia się potęgą Radziwiłłów, która króla nie miała nic kosztować.

Wszystkie wiadomostki, przychodzące codzień z Wilna, rozdęte, powiększone, komentowane wedle potrzeby, służyły Brühlowi do utrzymania króla w stanie wyczekiwania... nie dając mu się pogniewać. Brühl bowiem nic tu winien nie był, a wszystkiem nadzwyczaj zręcznie kierował. Minister umiał na swą korzyść wytłumaczyć wszystko... sobie przyznając władzę, której wcale nie miał.

Fundowanie Trybunału w Warszawie w redakcyi ministra, przeradzało się w istny romans, w którym role jasne grały osoby miłe jemu, a czarne—jego nieprzyjaciele.

Kazano się N.Panu spodziewać najszczęśliwszego rezultatu, który miał Czartoryskich pokonać, odjąć im męstwo i złamać. Książę wojewoda miał w interesie króla otrzymać na Litwie moc nieograniczoną.

Król lubił księcia wojewodę, znajdował go bardzo miłym, bardzo mężnym, bardzo przywiązanym do dynastyi Westinów a nawet przemądrym politykiem.

Gdy August dowiadywał się czasem o jakim zuchwałym a niezgrabnym wybryku księcia, tłómacząc go, mówił:

— Przebiera się on za niedźwiedzia, ale w nim siedzi Machiawel. Nieprawda, Brühl?

Brühll potakiwał zawsze.

Biskup kamieniecki i kasztelan połocki donosił królowi wprost o staraniach pojednania, ale listy ich nie dochodziły do króla.

Zarządzonem było tak, że żadne pismo, jak żaden człowiek, nie dochodziło do króla bez pośrednictwa ministra.

Król, przekonawszy się nieraz, iż to, co się przekradało do niego, zawsze go tylko nadaremnie gryzło, nie napierał się wiadomości, nawet, gdy ich był najmocniej spragnionym.

Brühl miał w Wilnie swoich sprawozdawców, którzy umieli rzeczy tak malować, jak mu było potrzeba.

Zwykle kresy przychodziły w nocy, zrana je Brühl przeglądał i układał *ad usum Regis*. Heroicznie a nader łagodnie wyglądał w nich wojewoda; jako gwałtownicy i warchoły Czartoryscy i ich sprzymierzeńcy.

Król się nikomu nie dziwił, bo Polaków wszystkich niemal miał za duchy niespokojne, krom podskarbiego Fleminga, ale według Brühla nad nim taką przemoc wywierali Czartoryscy, że nawet córkę jedynaczkę wkrótce wydrzeć myśleli. I król bolał nad nieszczęśliwym podskarbim.

Można sobie wyobrazić, jak w doniesieniach ministra wyglądało traktowanie o pokój z Czartoryskimi! Radziwiłł wspaniałomyślnie chciał wszystko przebaczyć, podawał obie ręce do zgody, przystawał na wszystkie warunki, nadaremnie! Czartoryscy go uwodzili... i nastawali na upokorzenie jego i zgubę. Oni to zmusili Radziwiłła do ściągnięcia wojsk na swoją obronę, bo się chcieli posłużyć przeciwko niemu wojskiem cesarzowej.

August rozczulał się nad losem wojewody, nad jego umiarkowaniem, taktem, ofiarnością.

Zaciekawiony, jak dramatem, król z dnia na dzień wyczekiwał nowych perypecyi, zawikłań i z trwogą pytał ministra wieczorem, co jutro przyniesie?

Brühl śmiało zaręczał, że zwycięstwo zostanie po stronie tej, która w obliczu Boga zasłużyła na nie. Kapelan potem odprawiał mszę na intencyę Radziwiłła, na które minister przychodził, dla króla zawsze będąc katolikiem— i czekano dni następnych.

Zerwanie układów opisano królowi tragicznie i dopiero potem poczęły się opisy tryumfów Radziwiłła, uciśnionego, ekskomunikowanego przez Massalskich, spotwarzanego w sposób najnikczemniejszy.

— Tandem bona causa triumphat!—wołał Brühl.

Król swobodniej teraz oddychał. Nie szło mu o Trybunał, ani o wymiar sprawiedliwości, ale o to, aby jak najprędzej mógł wyjechać do Drezna. Brühl powstrzymywał jeszcze, ale już czyniły się przygotowania, dzień był naznaczony.

Tymczasem z Saksonii donoszono o niedokończonych restauracyach, mianowicie teatru, który miał służyć potężnie do odwrócenia uwagi króla od jęków wyniszczonej Saksonii. Galerya też, z Königsteinu przywieziona, jeszcze nie była rozwieszoną! Naostatek łowiectwo królewskie nie było w stanie takim, aby mogło dawne, świetne przypominać czasy.

Cały etat myśliwstwa J. K. Mości składał się z dwóchset do trzechset ludzi, łącznie ze starszyzną, stojącą na czele. Saskie łowiectwo pod najwyższym dworem, Jagermeistrem hrabią Wolfersdorf, liczyło trzech laudjägerów, czterech kamerłowczych junkrów, sześciu paziów i jeszcze stu różnych pomniejszych urzędników. Oprócz tego łowiectwo polsko-litewskie było także pod zwierzchnictwem Wolfersdorfa, ale z osobnym nadformeistrem i mnóstwem różnych stopni myśliwych.

Tak zwane myślistwo *Parforce* podlegało zwierzchnictwu i komendzie hr. Brühla, z naczelnikiem baronem Feulner, panami von Trützsetter i von Wehleu i t. d.

Nie brakło i sokolniczych. Tych miał pod sobą hrabia Hrezan... jednego kapitana sokolnictwa, kamerjunkra, czterech sokolnistrzów, ośmiu sokolniczych i sześciu posługaczy.

Wojna i przenosiny do Warszawy skład nadwornego myśliwstwa mocno nadwerężyły, a Brühlowi szło o to, aby król w niczem nie uczuł uszczuplenia, zubożenia. Właśnie w tem ulubionem zajęciu najdotkliwiej mogła się dać uczuć strata. Przygotowywano więc ludzi, konie, psy, tak, aby August znalazł ten sam zbytek, do jakiego był nawykły.

Brühl dłużej nie mógl już tu króla utrzymać, jakkolwiek pewien był swej władzy i przywiązania Augusta do siebie. Z Drezna mu donoszono, iż rodzina króla, rozdrażniona, przygotowywała się wystąpić przeciwko niemu do ojca. Potrzeba było osobistem swem, nieodstępnem czuwaniem zapobiedz katastrofie.

Struna była zbyt naprężona i wkońcu pęknąć mogła.

Trybunał stanął i spodziewano się, że spokojnie urzędować będzie. Czartoryscy powrócili do domu, postrach wojny domowej znikał. Następujący Trybunał piotrkowski miał im dostarczyć okazyi do nowego wystąpienia w koronie przeciwko Potockim, których prowadził wojewoda kijowski, mający za sobą Brühla.

Ostatnie dni pobytu w Warszawie, chociaż ani na chwilę nie zmieszał się porządek rozrywek i zabaw królewskich, nie rozchmurzyły czoła Augusta. Chodził pod wrażeniem tego, co tu stracił, niespokojny, co znajdzie tam, dokąd powracał.

Przed samym prawie wyjazdem posłańcy przynieśli Brühlowi dosyć dla niego niesmaczną wiadomość o tem, że Sapieha, hetman polny, niemal zupełnie się rozbratał z Radziwiłłem.

Księżna, jeżeli zerwania z nim nie życzyła sobie, była przynajmniej za tem, aby jej mąż nie wisiał przy Radziwille, jak mówiła, ale szedł i stał, gdzieby mu się podobało, to jest gdzieby ona go postawiła.

Z dawnych przyjaciół i sług Sapiehy, najściślej z nim

połączony przyjaźnią, w młodości zrodzoną i późniejszemi losy, był generał adjutant buławy polnej, Putkamer. Nie mówiliśmy o nim, bo się rzadko, albo wcale nie pokazywał na pokojach samej księżny. Ona mu darować tego nie mogła, iż Sapiesze małżeństwo z nią odradzał i uważała go za nieprzyjaciela. Jakoż wistocie Putkamer jej nie lubił i unikał.

Próbowała go sobie pozyskać napróżno, a przekonawszy się, że tego nie dopnie, usiłowała z mężem poróżnić, a przynajmniej serce hetmana dla niego ostudzić.

Putkamer dumnie i wysoko się nosił. Sapiesze wiele w wojskowości dopomagał, bo ją rozumiał i żołnierz z niego był doskonały. Zresztą w towarzystwie opryskliwy, nieprzystępny, lekko sobie szacujący ludzi, więcej miał wrogów, niż przyjaciół.

W czasie fundowania sądów trybunalskich Putkamer dla Sapiehy ciągle z nim był, zatem i do Radziwiłła uczęszczać musiał, choć go to nie bawiło, bo pijatyki nie znosił.

Uchowaj Boże było go zaczepić, bo jak rękę do szabli, tak język miał straszliwy.

Powiadają o zwierzętach dzikich, że język niektórych z nich bywa tak ostry, że gdy poliżą z miłości swojego nadzorcę, to mu język ich skórę znosi. Niejednego tak Putkamer polizał.

W kardynalii raz po obiedzie wdał się z nim w dysputę Marcin Judycki, sędzia ziemski rzeczycki, młody człek, który sobie dobrze ufał. Putkamer go politycznie śmiesznym uczynił i poszedł, jak zmyty.

Chciał się potem mścić za słowo, które wszyscy powtarzali, ale po trzeźwemu zmiarkował, że nie było za co, a porwanie się na człowieka szanowanego na większe go pośmiewisko wystawić mogło. Rzecz tedy zdawała się ubita i skończona.

Księżna hetmanowa, powaśniwszy z sobą braci i poruszywszy miłość własną hetmana, a obawiając się, aby czas dłuższy bawiąc w Wilnie, nie dał się ująć wojewodzie, nagle zaczęła się zrywać do wyjazdu.

Hetman zwierzył się z tego Putkamerowi, boby może miło mu było samemu tu pozostawszy bez żony, wy-

począć się i zabawić. Adjutant, choć nie radził tego, wszakże skombinowawszy, że dla pokoju domowego lepiej było usłuchać hetmanowej, zrazu nakłaniał do wyjazdu, potem mieszać się nie chciał, a gdy rzecz postanowioną została, sam też hetmanowi towarzyszył. Był więc w tem neutralnym.

Księżna, postawiwszy na swem, bardzo była ucieszona, a żeby mąż nie zmienił sentymentu, wyjazd przyśpieszała.

Tołoczko, jak się tylko dowiedział, iż jechać potrzeba, uradował się tem bardzo, ale o swojej pieczeni nie zapominając, począł pracować nad tem, aby hetmanowa wzięła z sobą pannę Anielę.

Dawszy słowo raz, potem lubiąc się rozerwać towarzystwem, księżna Sapieżyna na nowo mu to przyrzekła. Prawdę jednak powiedziawszy, strażnikówna, choć przystojna, układna i pełna dla niej poszanowania, nie przypadała jej do smaku.

Hetmanowa chciała raz jeszcze Tołoczkę wyrozumieć.

— Mój rotmistrzu,—rzekła—dałam słowo ci,—nie cofam; postaram się o to, aby Koiszewska, w której się, tak rozmiłowałeś, twoją była, ale powiedz ty mi szczerze wybadawszy siebie, czy ona ci jest tak koniecznie do szczęścia potrzebna? Ja ci słowo daję, dobrze życzę i wyznam otwarcie: dziewczyna mi się niebardzo podoba. Chce się jej grać rolę damy jakiejś, na którą nie jest pono stworzoną. W pretensyach, fumy wielkie, sentymentalna, a ty na gacha jesteś za stary. Miarkuj, czy ona dla ciebie, czy ty dla niej?

Posłyszawszy to rotmistrz w lament okrutny, ręce łamiąc, do nóg się schylając, błagając, począł hetmanową konwinkować, że dla niego niema na świecie nikogo... oprócz panny Anieli.

Naśmiała się z niego hetmanowa i rzekła:

— Zatem rzecz skończona; pojedzie ze mną i będziesz ją miał. Daj tylko Boże, abyś później tego nie żałował.

Tołoczko natychmiast pobiegł do strażnikowej zabiegając, aby dla zyskania protekcyi, w procesie potrzebnej, nie odmawiała hetmanowej córki do towarzystwa.

Trafił na złą godzinę, bo się Koiszewska tą opieką nad nią rozciągniętą uczuła obrażoną. A że Bujwida chciała dla córki, palnęła z góry:

— Jeżeli Anielka pani hetmanowej potrzebna, nie odmówię, aby na czas, na jej dworze pozostała, choć mi to miłem nie jest, bo my swój kawałek chleba mamy i cudzych kątów wycierać nie potrzebujemy. Ale muszę przestrzedz pana rotmistrza, że jeżeli myślisz, iż Anielkę sobie pozyskasz, a mnie skłonisz, abym ją wydała za ciebie, to z tego nic nie będzie. Lubię być otwartą. Waćpanu nie uwłaczam, ale starszy dużo jesteś od niej i wdowiec, a ja jej za wdowca wydać nie chcę.

Tołoczko, pochwycony znienacka, zmieszał się i zamiast sprawę swą promować, wytłumaczył się, iż nikomu narzucać się nie myśli.

Strażnikowej o wygranie procesu chodziło, ostatecznie więc gotową była zgodzić się na pobyt córki w Wysokiem i gdy księżna Sapieżyna przyjechała po nią, wszystko ułożyło się łatwo.

Panna Aniela uszczęśliwiona była wielce, gdyż w swoim żywiole czas jakiś przebyć się spodziewała; w Tołoczce wprawdzie niebardzo smakowała, miała jednak na widoku, że znajdzie młodszego i milszego galanta.

Wszystkim więc stało się po myśli, chociaż hetmanowa zawczasu nad losem Tołoczki bolała.

Najszczęśliwszą może była panna Aniela, której się zdawało, że z jej posażkiem, twarzyczką, trochą francuzczyzny i figurką zręczną, kawalera we fraku i przy szpadzie dostać będzie łatwo.

Panna Szklarska na drogę jej dała admonicyę, ale to był groch na ścianę.

— Anielciu droga—powtarzała jej,—masz zepsuty smak, podobają ci się fircyki! Na gacha to jeszcze pół biedy, ale na męża nie zdali się na nic! Ja jestem stara i niepowabna, a gdyby się o mnie taki galant w peruce starał, kijembym go od siebie precz odpędziła.

Otóż czego świadkiem być miała panna Aniela na tym świecie polerowanym i tak wykwintnego obyczaju.

Z Wilna wyjeżdżać incognito jak do niego wjechał,

nie godziło się hetmanowi; trzeba było okazać hetmańską fantazyę, a choć już dwór teraźniejszego Sapiehy nie mógł się zrównać z dworem tych Sapiehów kanlerzów i hetmanów, którzy na raz z sobą po kilkaset ludzi dla swej okazałości na koszcie swym prowadzili, książę musiał wyciągnąć z pewną pompą. Szło kilka powozów dosyć wytwornych; w jednym z nich jechała hetmanowa, na przedzie mając pannę Anielę, a obok siebie panią Połubińską, starościnę nowomiejską. Hetman jechał przodem, w karecie też i chciał mieć przy sobie generała adjutanta Putkamera.

Putkamerowi zaś, że czas był piękny, a on konno jeździć lubił i umiał, zachciało się dosiąść dzianeta. Wymówił się więc, że dla wielkiej parady wystąpi konno. Tak się stało!

Tołoczko też, żeby się przed panną z tem popisać, iż koniem włada dzielnie, kazał sobie podać wierzchowca i ledwie mu wyperswadowali, że się jak na solenność jaką nie przystroił w łuk i kołczan po staremu. Hetman, bojąc się śmiechu, buńczuka mu przed sobą nieść nie dał.

Jeszcze z miasta nie wyjechali, gdy na gościńcu spotykają Radziwiłłowską bandę, powracającą z za miasta ze śniadania, wszyscy podchmieleni a przodem wywija najlepiej poderżnięty pan Marcin Judycki.

Co mu się stało na widok Putkamera, Pan Bóg wie. Wprost z koniem sadzi na niego, kańczukiem w ręku wywijając.

Putkamerowi ani się śniło, ażeby go mógł zaczepić. Wtem Judycki, przypadłszy, jak nie zacznie go po plecach tą pletnią, którą trzymał w ręku, okładać! Nim Putkamer miał czas szabli dosyć, wygarbował mu plecy porządnie konia spiął ostrogami i poleciał.

Zawierucha się stąd wzięła okrutna, bo i hetman z karety chciał wysiadać i jego ludzie za Judyckim gonić, ale Radziwiłłowskich nie było ani znaku.

Kobiety w krzyk i płacz, oprócz hetmanowej, która, że Putkamera nie lubiła, śmiać się poczęła.

Złożyli to potem na pijaństwo Judyckiego, że z niego oszalał... choć jako żywo potem zdrowiuteńki był.

Hetman z pierwszego popasu napisał własnoręcznie

list bardzo ostry do wojewody ze skargą i z przycinkami na to jego pijaństwo, na rozpustę jego towarzyszów. Wątpić jednak można, ażeby ten doszedł księcia wojewodę, bo listów nie lubił i nie czytał ich. Kazał sekretarzowi je rozpieczętowywać i rezolucye komponować. Sekretarz zaś, przyjaciel Judyckiego, pewnie skargę do kieszeni schował.

Putkamer wszędzie głosił Judyckiego za waryata i na tem się skończyło.

W czasie tej podróży wiosennej Tołoczko ciągle asystował pani hetmanowej i pannie Anieli, która otrzymawszy to, czego sobie życzyła, a nie chcąc, aby o Tołoczce rozgadywano, że się o nią stara, unikała go i odwracała się. Nie miał więc wielkiej pociechy, ale że był cierpliwy i wytrwały, więc się tem do panny nie zraził.

Podróż była niebardzo wesołą, zwłaszcza, że w drugiej jej połowie deszcz ze śniegiem i burze wiosenne dokuczać zaczęły. Powozy się psuły, na popasach i noclegach nie było wygody, którą hetmanowa lubiła. Z tego powstawały złe humory i kwasy.

Hetman, nie chcąc ich znosić, pod pozorem, że mu pilno było, śpiesznie ruszył przodem, tak, że żona drugiego dnia dopiero po jego przybyciu do Wysokiego nadjechała.

Tu pannę strażnikównę czekały różne niespodzianki. Przy pani hetmanowej, jak na wszystkich pańskich dworach, przebywało mnóstwo rezydentek różnej kategoryi. W Wysokiem liczono ich około dziesiątka. Wszystkie rozumie się, szlachcianki, żadna więc sobie uchybić nie pozwoliła.

Pannie Anieli zdało się, że od nich była czemś lepszem i na większe zasługiwała względy. Naprzód więc zaraz pierwszego dnia gdy jej dano mieszkanie z panną Szyszko, córką łowczego, bardzo się skrzywiła, pretendując mieć osobne. Wyszła na ganek i znalazłszy Tołoczkę, poskarżyła mu się.

Wiedział rotmistrz, jak tu trudno co wytargować będzie, i że skarga źle usposobi hetmanową dla strażnikównej, ale pobiegł i kołatał, aż dostał pokoik z jednem łóżkiem. Ale tu było znowu ciasno, ciemno i wilgotno.

Panna płakała. Rotmistrz się jątrzył i gniewał. Wszystkie zaś rezydentki od pierwszego wystąpienia z panną Szyszko, spiknęły się na pannę Anielę.

Trudno powiedzieć, jak wiele dokuczyć można, napozór nic nie czyniąc. Dosyć spojrzenia, uśmiechu, ruszenia ramion, aby prześladowany w ten sposób uczuł się nieszczęśliwym.

Panna Aniela, która się tu nie takiego szczęścia spodziewała, znalazła się najbiedniejszą w świecie.

Dopiero hetmanowa spostrzegłszy to, gdy ją litość wzięła, z pannami się rozmówiła i trochę zapobiegła, aby strażnikównie dano pokój.

Nastąpił pokój wrzekomy. Niektóre z panien posłuszne, a znające i przenikające hetmanową, poczęły się zbliżać do panny Anieli, przypochlebiać jej, wyciągać ją na słówka. Dziewczę, nie posądzając ich o chytrość, wywnętrzyło się ze wszystkiem, więc po kątach ją wyśmiewano, ale była trochę spokojniejsza.

Życie w Wysokiem, które ona sobie wyobrażała strumieniem rozkoszy, zabaw, muzyki, tańców, rozmów dowcipnych i wesołych, na miejscu się wcale inaczej prezentowało. Najprzód mimo pozornej zgody i miłości między małżeństwem, życie ich było ciągłą walką i łataniem dla pokoju. Ustępował hetman tylko, bo ona póty się skarżyła i lamentowała, aż na swojem postawiła.

Tych, których książę w domu lubił, sama pani nie znosiła i upatrywała w nich nieprzyjaciół, naodwrót, kogo księżna protegowała, był hetmanowi podejrzany. Donoszono księciu na faworytów pani—jej na ulubieńców męża.

Zwykle znalazł się jakiś *modus vivendi* i ciągnęło się z biedy, każde z nich na swoją rękę, ale gromadziły się rankory i potem niespodzianie następował wybuch. Księżna dostawała waporów i słabła, książę musiał żałować za grzechy, przepraszać i koić.

Gości bywało dosyć, ale nie takich, jakichby sobie panna Aniela życzyła. O zabawach myślano rzadko. Książę, gdy chciał czas spędzić wesoło, wyjeżdżał do sąsiedniego folwarku i tam męskie towarzystwo zapraszał na kawalerskie polowanie. Księżna miewała wizyty familii,

przyjaciółek, zamykała się z niemi i nie przypuszczała nikogo.

Pozostawały wielkie świąteczne recepcye, ceremonialne niedzielne z kościoła zaprosiny na obiady i wieczorki dla fraucymeru, na które przychodzili do tańca wyżsi oficyaliści i wojskowi.

Panna Aniela strasznie noskiem kręciła... tego, czego ona chciała, nie było wcale.

Dosłyszała, że fraucymer dosyć pogardliwie traktowano i przezywano panny, do niego należące, Łowczankami. Usiłowała więc wydobyć się z'ogółu Łowczanek jako panna strażnikówna trocka, ale nie chciano tego zrozumieć.

Miała nadzieję być powiernicą i przyjaciółką hetmanowej, a pobywszy tu dni kilka, przekonała się, że tego dostąpić nie będzie mogła. Zyskała tylko, że ją księżna używała czasem do czytania na głos francuskich komedyi i do pisania małoznaczących listów, bo gdy poufne potrzeba było ekspedyować, pisała je sama bez ortografii, niepoprawnie, lecz nie zwierzając ich nikomu.

Tołoczko teraz prawie nie opuszczał Wysokiego, zabiegając około panny Anieli. Pozbawiona wszelkich innych kawalerów i nadziei, przekładając go dla stosunków nad Bujwida, strażnikówna powoli oswajać się zaczęła z myślą, że mogłaby wyjść w ostatku i za niego.

Z domu swego obiecywała sobie uczynić rezydencyę przyjemną, którąby dystyngowane towarzystwo przyciągała. Ostrożna jednakże, w ostateczności dopiero gotową była zaspokoić się Tołoczką.

Wysokie czasu pobytu obojga hetmanowstwa, choć miało pozór pański, dwór liczny, petentów i klijentów, oblegających je mnóstwo, dla oszczędności, bo hetman i był w złych interesach, utrzymywano na stopie bardzo newykwintnej dni powszednich, tak, że panna Aniela za swój miły grosz musiała sobie coś kupować na miasteczku, aby nie mrzeć głodem.

Przy gościach zbytek był czasem wielki, potem nagle taki wikt, że i na folwarku gorszym być nie mógł. Wogóle ładu brakło, a nikt go zaprowadzić nie umiał.

Życie księżnej wydawało się bardzo czynne, choć nie robiła nic. Nie nadszedł dla niej jeszcze ten wiek, gdy nabożeństwo zastępuje wszystko. Hetmanowa chciała być młodą i ładną, i była nią jeszcze, ale nie tak czarującą, jak w pierwszej młodości, gdy dla niej wszyscy głowy tracili. Zabawiała się więc, jak mogła, naprzód pisaniem listów, intrygami politycznemi i komerażami, naostatek haftami, do których u krosien zasiadało mnóstwo ubogich dziewcząt, a te dla niej całe suknie, płaszcze, białe hafty i kolorowe na jedwabiach wyszywały.

Sama hetmanowa wynajdywała rysunki, dobierała kolory i komponowała te cuda, któremi potem stroje jej się odznaczały.

Panna Aniela, której do pomocy w tem zażyć chciała, okazała się zupełnie niezdolną. W jej przekonaniu były to rękodzieła, których szlacheckie paluszki dotykać nie były powinny.

Do stołu, choć gości nie było a rzadko się dzień trafił, aby ktoś nie przyjechał, zasiadało osób przynajmniej dwadzieścia kilka. Ale tu rozmowy bardzo trywialne toczyły się w polskim języku i przypominały rubasznością Bujwida.

Księżna hetmanowa była zalotną i sentymentalną, miała zawsze kogoś w myśli i sercu, ale na oko surowszej nad nią nie było. Im sobie więcej pozwalała, tem mocniej dbała o to, ażeby zachować w tajemnicy... serdeczne stosunki.

W czasie wielkich uroczystości kościelnych surowo pilnowano, aby dwór się od nich nie uwalniał i do kościoła uczęszczał. Panna Aniela też była zmuszoną siedzieć z książką godzinami na nabożeństwach.

Słowem, utrapień w tem życiu było mnóstwo, a rozrywek i zabaw bardzo mało. Nie śmiała się skarżyć o to nawet przed Tołoczką, który na osłodę tej egzystencyi tyle tylko mógł, że cukierki wykwintne, czekoladę i przysmaki różne przywoził.

Po nocach biedna strażnikówna zalewała się łzami.

Nie poszczęściło się pannie strażnikównie w Wysokiem, ale nadto była dumną, aby się do tego przyznała, owszem umiała przybrać wesołą postawę i nie okazać po sobie księżnie, iż się tu we wszystkiem zawiodła.

Jeden Tołoczko wiedział, co o tem trzymać. Ten, biedaczysko do panny coraz się więcej przywiązując, popadł przez to w niewolę i mógłby był narzekać na nieopatrzność własną, że się tak dał zakuć, ale miłość mu wszystko słodziła. Panna w duszy się z niego śmiała, ale go nie zrażała aby mieć choć jednego sługę na rozkazy.

Ale nikt na tem nie wyszedł lepiej nad panią hetmanową, która nigdy Tołoczki na usługi swe tak wylanym nie miała jak teraz, gdy się od niej i przez nią ręki Anieli spodziewał.

Hetmanowa miała mnóstwo interesów, które jej zastępowały dawne miłostki i intrygi romansowe, a do tych Tołoczko ciągle był potrzebny. Mogła się nim posługiwać, jak chciała, ani mruknął. Nawet w potrzebach swych pieniężnych, gdy bez wiedzy hetmana pożyczkę zaciągnąć na prosty oblig była zniewoloną, Tołoczko musiał albo sam dać, lub kapitalistę znaleźć, który by bez wnoszenia do akt dokumentu, pieniądze chciał wyliczyć.

I hetman polny i sama pani, oboje tkwili w tej wojnie domowej, która kraj na dwa obozy dzieliła. Księżna na oko —z mężem zgodnie, on zaś postępując wedle wskazówek, jakich mu ludzie przebieglejsi dostarczali.

Z Radziwiłłem na bakier będąc, nie zrywał całkowicie hetman, owszem po tej stronie stał niby i jej dopomagał, choć ona księciu wojewodzie najgorzej życzyła i cieszyłaby się z jego upokorzenia.

Do Czartoryskich ciągnęła hetmanową potajemna miłość ku stolnikowi litewskiemu, która już zwolna przez obojętność jego w nienawiść się zmienić miała.

Radzono coś ciągle, knowano, przygotowywano, bo zwyciężywszy w Wilnie, potrzeba było w Koronie ustalić przewagę tego stronnictwa królewskiego tak samo w Piotrkowie, nie dopuszczając Czartoryskich do Trybunału swojego.

Zjeżdżano się na konsylia i konferencye to w Białymstoku u hetmana w. koronnego, to w Nieświeżu. Z osób nawet wyżej stojących, wiele było, jak hetman, niepewnej barwy. Posądzano Massalskiego, hetmana litewskiego, który miał urazę jakąś do kanclerza, że i on gotów był odstąpić go, byle mu nieco bębenka podbito.

Najdziwniejsze było położenie hetmana Branickiego, który z Czartoryską żonaty, przeciwko familii stawał, a pani hetmanowa milcząca i skryta, sercem była z nią i mówiono, że potajemnie stąd o wszystkiem donosiła do Wołczyna.

Ponieważ Sapiehę po kilkakroć Branicki zapraszał i wzywał do siebie a i hetmanowa pałała żądzą odwiedzenia Białegostoku, ułożono się, aby przed św. Janem i imieninami, na których być musieli, odwiedzić hetmana i przypomnieć mu się.

Oboje państwo w chęci zrobienia tej wycieczki zgodni byli; Sapieha sam wniósł, że do boku swego weźmie rotmistrza Tołoczkę.

Nie było wcale mowy o pannie Anieli, ażeby jechać miała, ale rotmistrz życzył sobie być z nią, aby korzystać z podróży, dającej okazyę zbliżenia się; począł więc molestować księżnę, aby strażnikównę zabrała z sobą.

Księżna nie miała do tego wielkiej ochoty z przyczyny, do której sama się sobie może nie przyznawała. Oto świeża twarzyczka młodej panienki krzywdę czyniła jej płci malowanej i podrabianym rumieńcom. Naśmiawszy się i nadrażniwszy rotmistrza, wkońcu zgodziła się pannę zabrać z tym warunkiem, aby suknie i ubiory dla wystąpienia na świetnym dworze Białostockim wstydu jej nie uczyniły.

— Strażnikowa skąpa jest—powiedziała Tołoczce,— jedynej córce żałuje na sukienki, ja zaś szczerze ci powiadam i grosza na wyrzucenie nie mam i obdarzać dziewczyny majętnej nie widzę potrzeby; postarajże się, aby ubrać się w co miała, bo choćbyśmy pojechali do Białegostoku, na pokoje jej ladajako, po parafiańsku wystrojonej, nie wezmę.

Niepodobna odmalować i tej radości i tego strachu, jaki przejął pannę strażnikównę, gdy się o wyroku na się ferowanym dowiedziała. Natychmiast umyślnego u To-

łoczki uprosiwszy, napisała do matki, zaklinając i prosząc, aby choć ten jeden raz jej błaganiu uczyniła zadość.

Garderoba strażnikównej, jak na Białystok bardzo była skromną. Właśnie pod ten czas rezydencya hetmana wielkiego była w całej Polsce najświetniejszym dworem cudzoziemską modą wykwintną i przepychem słynącym. Był Białystok stolicą dobrego tonu i francuzczyzny. Życie na wielkiej stopie, bez jutra płynęło tu jednym strumieniem zabaw, rozrywek i popisów pańskiej wspaniałości.

Przyjaciele hetmana marzyli nawet, iż po Auguście III, którego zdrowie zdawało się chwiać i niedługie obiecywać życie, nie kto inny, jak on zasiądzie na tronie.

Marzenie o tem pono i Branickiego upajało. Żył też zawczasu po królewsku. Przez żonę zbliżony był do Czartoryskich, których mało spodziewał się mieć za sobą.

Małżeństwo to było nawet na owe czasy w tej sferze w której polityka, rachuba, chciwość je zawierają, jednem z najosobliwszych. Hetman był już w wieku podeszłym, choć jeszcze życia pełnym i trzymającym się świeżo, księżniczka mu przeznaczona młoda, piękna, wykształcona i godna wielkiego losu. Spodziewano się, że go zawojuje z łatwością, rachowano na to, tymczasem hetman, wystygły już, zobojętniały oczarować się nie dał. Z wielkiem poszanowaniem obchodził się z żoną, dał jej swobodę wielką, nie okazywał nawet zazdrości, ale nie dozwolił okiełznać.

Małżonkowie po niejakim czasie pozostali z sobą na stopie grzeczności, galanteryi i zupełnego zobojętnienia.

Nie było to już tajemnicą, że domownik hetmana, generał Mokronowski, pozyskał serce pani.

Z mężem już nic nie łączyło opuszczonej, na dworze Białostockim była obcą i samą, serce więc ją ciągnęło ku swoim, a szczególniej do brata stolnika. Wszystko, co otaczało męża, było jej nienawistnem; posądzano ją więc, że o wszystkiem, co się tu działo, dawała różnemi sposobami znać do Wołczyna. Mokronowski wierny, służył za pośrednika do czego tylko chciała.

Nie przeszkadzało to Białostokowi bawić się, bankietować, wyprawiać fety świetne w Choroszczy, zapraszać na bale, na których królowała piękna, urocza, powabem smaku otoczona pani hetmanowa.

Branicki tyle miał do wyrzucenia samemu sobie, tyle winy ciążyło na nim, iż nie miał prawa niczem ze strony żony się obrażać, jej świat wybaczał przywiązanie do Mokronowskiego, bo on sam osobiście zasługiwał na nie, a okoliczności uniewinniały oboje.

Dwór, towarzystwo tutejsze, sposób życia słynęły w całej Polsce, każdy był ciekawym bliżej je poznać.... nie dziwna więc, że biedna strażnikówna żądzą tą pałała aż do suszenia na tę intencyę i modlitw natrętnych.

Umyślny poseł pobiegł do matki, przywiózł pomyślną odpowiedź, chociaż strażnikowa prosiła córkę, aby ta jej zachcianka była ostatnią.

Panna Aniela zapewniła Tołoczkę, iż za nią hetmanowa wstydzić się nie będzie, przygotowywała się do podróży, spodziewała się, że Sapieżyna zechce widzieć jej stroje, lecz hetmanowej odeszła ochota i ani spytała więcej o to.

Miała daleko większą troskę jak stosunki męża zabezpieczyć i nie dopuścić, żeby ani się zbyt wiązał przymierzem, ani nie narażał chłodem.

Chodziły pogłoski, iż się tu i hetman wielki litewski miał znajdować.

Sapieżyna dbała o honor domu i o znaczenie męża, chciała stać na straży, aby go nie lekceważono.

Upojona swem szczęściem wyjechała panna strażnikówna a w wyobraźni jej rezydencya hetmana wydawała się czemś czarodziejskiem. Obiecywała sobie nowy świat, nowych ludzi, ideały. Jej przeznaczenie widocznie ją tu powiodło ku jakiemuś tajemniczemu losowi, tam ją coś czekać musiało,—młodzieniec nadzwyczajnej urody, wielkiego imienia, ogromnych posiadłości pan, padał przed nią zachwycony... i uprosiwszy u matki błogosławieństwo, prowadził do ołtarza.

Śniło się to pannie strażnikównie, a połowa przynajmniej marzeń ziściła s ę w rzeczywistości. Pałac i ogrody, pokoje, z wytwornością i smakiem wielkim przyozdo-

bione, uczyniły na niej wrażenie. Z dziecinną ciekawością i wrażeniem przypatrywała się wszystkiemu, uśmiechała do tych wspaniałości nieoglądanych nigdy w życiu.

Zdala i ludzie, którzy przepełniali te sale, postrojeni, obwieszeni wstęgami i gwiazdami, ludzie których peruki wydawały woń fijołków i lilii, okryci koronkami, błyszczący od brylantów, wydali się jej istotami nadziemskiemi... a panie i panny w rogówkach, na których drapowały się mieniące barwami tęczy jedwabie, upakarzały skromne, choć wytworne ubranie. Uczyła się, patrząc na te nimfy i sylfidy, jak miała uśmiechać się i chodzić.

Z początku nawet tak ją zajmowało przypatrywanie się temu obrazowi, że zapomniała o sobie i nie tęskniła za tem, czy sama w nim jakąś odegrała rolę. Później jednak oko jej zaczęło szukać kogoś, coby jej choć najmniejsze okazał zajęcie, współczucie. Naprżno! przechodzący spoglądali obojętnie i nikt nie zapytał o strażnikównę trocką.

Los tylko, gdy szli do stołu, nastręczył jej nieznajomego, który przybliżywszy się (a był po francusku ubrany) z uśmiechem podał jej bardzo zgrabnie w kabłąk wygiętą rękę i poprowadził do stołu.

Kilka słów przemówił w czasie podróży do miejsca przeznaczonego piękną wcale francuzczyzną i znalazłszy nie bez trudności krzesło u stołu, sam musial się wyrzec zajęcia miejsca przy niej, gdyż kobietom musiano ustępować.

Wejrzeniem pełnem wdzięczności podziękowawszy mu, panna Aniela usiadła pomiędzy dwoma paniami, które na nią dosyć drapieżnie spoglądały.

Jedna z nich przecie, grzeczniejsza, rozpoczęła rozmowę i okazała się znajomą pani strażnikowej. Rozmowa więc dalej szła już dosyć poufale. Pani starościna wskazywała Anieli osoby, czasem trochę złośliwie komentując ich znajdowanie się w Białymstoku.

Panna Aniela uśmiechała się, słuchała, uczyła, a nie zaniedbała też oczyma szukać tego młodzieńca, który ją prowadził do stołu. Nie przyszło jej łatwo go odkryć gdzieś w tłumie, w kącie przy małym stoliczku, w towarzystwie mężczyzn, co umiała sobie wytłumaczyć tem, iż poufa-

łym być musiał u hetmana, albo może jego powinowatym.

Uczta wykwintna trwała nadzwyczaj długo. Pod koniec jej porządek był zmieszany, część mężczyzn pozostała w sali jadalnej, a panie do innej przechodzić zaczęły. Panna Aniela po oddaleniu się starościnej już chciała niespokojna sama prześliznąć się za innemi, gdy towarzysz wierny znalazł się w czas przy jej boku, podał rękę i z wesołem bardzo usposobieniem, rozpychając stojących na drodze, poprowadził do rzęsiście oświetlonej sali z chórami, na których już odzywała się pełna życia muzyka.

Pannie Anieli serce biło mocno. To być musiał ten mąż przeznaczenia, ten wymarzony jej towarzysz w przyszłości!

Zaledwie odprowadziwszy ją do krzesła, znowu pokłonił się, gdy sądziła, że się przy niej zatrzyma.... i zniknął.

Natomiast prawie w tejże chwili ujrzała przed sobą pana buńczucznego.

Ten także był bardzo ożywiony po uczcie i uśmiechał się wdzięcznie z pod siwiejącego wąsa.

— Niech mi panna strażnikówna daruje, że ja jej do stołu służyć nie mogłem—rzekł.—Hetman mi narzucił panią starościnę ponikwicką i musiałem z nią iść w parze. Szczęściem, że mnie francuz wyręczył.

— Francuz?—żywo zapytała panna Aniela.

— A Francuz—odparł Tołoczko—i wielki ulubieniec pana hetmana, domownik jego od lat kilku.

Panna o inne szczegóły pytać się nie śmiała, aby zazdrości w rotmistrzu nie obudzała, ale Tołoczko zdawał się na ten raz cierpliwym.

— Francuz, domownik, przyjaciel ulubieniec hetmana, zapewne wysoki stopień w hierarchii wojskowej zajmujący. Markiz może lub hrabia—mówiła sobie panna Aniela... i serce znów żywiej jej zabiło.

Tołoczko teraz zamiast cudzoziemca tego wziął ją do polskiego, a choć to odbijany był i panna Aniela poszła od jednego do drugiego, całym szeregiem nieznanych jej mężczyzn, spodziewając się, że los ją znowu zbliży do tego Francuza, nie zbliżał się już do niej. Później przywoływa-

ła go nawet wejrzeniami, pełnemi znaczenia, ale Francuz na nie pozostał nieczułym.

W obejściu się jego było coś dziwnego; musiał to być wistocie, jak mówił Tołoczko, domownik a może powinowaty hetmana, bo sam mało się bawił, ale czuwał nad drugimi, aby się zabawiali.

Biegał, prowadził, zapoznawał, częstował, dobierał pary do tańca, a sam nie tańcował, chyba chwilowo kogoś zastąpić było potrzeba. Naówczas z wielką gracyą występował i chował się szybko do kąta.

Panna Aniela widziała w nim tajemniczą jakąś istotę.

Tańce przeciągały się bardzo długo. Strażnikówna nie miała szczęścia w nich, mało ją zapraszano i sama widziała, że wśród tylu postrojonych pań, szczególniej mężatek z fryzurami kunsztownemi na głowach, z brylantami i perłami na szyjach, ona w skromnym swym stroju, bez klejnotów, nie robiła żadnego wrażenia.

Tołoczko miał zbyt wiele tego wieczoru obowiązków, ażeby się mógł cały pannie Anieli poświęcić. Hetmanowa kazała mu pilnować, aby męża jej nie upojono. Sapieha posyłał go do różnych osób, z któremi się rozmówić pragnął w sprawie przyszłego Trybunału, naostatek i hetman się do niego zwracał nieraz. Zabiegał więc tylko, gdy mógł, przynosząc limonady, ciastka i cukierki, czuwać nad swym skarbem, który wkońcu znudziwszy się i zdesperowawszy, prawie już drzemał.

Najboleśniejszem jej to było, że owego grzecznego Francuza przywabić do siebie nie mogła. Oczy jej zawód zrobiły traciła ufność w siebie.

Rotmistrz zapytał, czy tańcowała, odpowiedziała kwaśno, iż nie miała znajomości i zapewne z tego powodu nie zapraszano jej do tańca.

Tołoczko odszedł z tem, a że był, choć w litewskim wojsku, ale buńczucznym hetmana i miał stosunki, przyprowadził jej trzech towarzyszów kawaleryi narodowej pp. Merlę, Puzyra i Oporkotowicza. Imiona te, wcale nie arystokratyczne nie podobały się pannie strażnikównie, ale chłopcy byli bardzo młodzi, ochoczy, weseli; lecz cóż?

u hetmana, który był sam nawpół Francuzem, dla niej się dobrali tacy z których żaden nie umiał po francusku, a wszyscy przypominali rubasznością Bujwida.

Z tem wszystkiem Oporkotowicz przypadł jej do smaku, choć bez francuzczyzny.

Pod koniec wieczoru, hetmanowa, mając się usunąć od zabawy, posłała Tołoczkę po pannę Anielę, który ją do niej przyprowadził. Po drodze spotkali Francuza, ale był mocno zajęty.

Pannie Anieli chciało się dowiedzieć, kim on był, zwróciła się dosyć zręcznie do Tołoczki, śmiejąc się z tego, iż ów jegomość, co ją miał odwagę prowadzić do stołu, nie ośmielił się jej prowadzić do tańca.

— Miał rozum—rzekł rotmistrz krótko,—bo do stołu, gdy zabrakło kawalerów, to co innego, lepiej on, niż żaden, a do tańca!

— Dlaczegóż nie mógł prosić do tańca?—zapytała panna Aniela.

— Nie wypadało mu—odparł Tołoczko.

— Dlaczego?

— No, a juściż ze względu na to, kim jest.

— Jakto? a któż on jest? pan mówiłeś, że tak jak domownik bawi w Białymstoku i hetman go lubi.

— Szczera prawda—potwierdził Tołoczko.

— Któż on jest?

— Asystuje na wszystkich balach—dokończył rotmistrz—mówią nawet, że szlachcic, ale tymczasem tylko mistrz do tańców. Kawaler d'Ormont.

Panna Aniela zbladła, jak ściana. Ona, strażnikówna trocka, była zmuszoną podać rękę tancmistrzowi.

Zbrzydł jej nagle Białystok, zabawa, świat... wszystko!

Szlachecka duma Koiszewskich odezwała się w niej silnie. Nazajutrz jeszcze wycieczka na cały dzień do Choroszczy, choć obiecywała wiele przyjemności, wspomnieniem tancmistrza była zepsutą.

Ale od tego zasłaniał ją Oporkotowicz, towarzysz kawaleryi narodowej, którego się wstydzić nie potrzebowała.

Tego dnia gości przybyło więcej, a niektórzy znikli. Pod tą zabawą niewinną nawet niepodejrzliwe oko mogło się domyśleć jakichś potajemnych zmów, schadzek, i narady. Poważniejsi panowie, czynniejsi ich towarzysze, znane postacie tych, którzy Radziwiłłom, Sapiesze, Massalskiemu hetmanowi służyli, przesuwali się z papierami i siedzieli gdzieś po kątach w kancelaryi, nikt nie miał spoczynku.

W istocie choć się tam nic dnia tego nie rozstrzygało, wszyscy na wypadek wiedzieć chcieli, z kim trzymać i na kogo rachować mogli. Oprócz tego kresy nadeszły z Warszawy i dawały do myślenia.

Już wyjeżdżający z Drezna król wielu się wydał zmienionym, smutnym i chorym. Nie rokowano mu długiego życia. Wiadomości, przywiezione ze stolicy saskiej, brzmiały niedobrze. Brühl zrobił, co tylko mógł, aby król, przyjechawszy, znalazł Drezno przynajmniej takiem, jakiem je opuścił.

Jechał do niego stęskniony, z bijącem sercem, cały przejęty wspomnieniami młodości, ale tu zamiast nich znalazł zawód tylko smutny. Wszystko mu jakoś w oczach zmalało, zbrukało się, zmieniło. Dwór, wedle starego etatu, nie mógł być jeszcze zebrany, poumierali mu ludzie, wiele rzeczy brakło, bo je zniszczyła wojna, zabrali Prusacy. Okazałość, którą on tak lubił, jak ojciec, nie dorównywała dawniejszej.

Zapytywał po cichu Brühla i choć odbierał zaspakajające odpowiedzi wykrętne, smutno mu było. Żałował nawet żony, która się tak heroicznie broniła najazdowi, na zamku; choć synowie go ożywiali, zdało się smutnie i żałobnie.

Wedle rozkazania pańskiego Magdalenę Corregia, którą on miał z sobą w Warszawie, odwieziono do galeryi. Pozbawienie jej kosztowało go wiele. Madonna Sykstyńska Rafaela wydała mu się przyciemniałą. Chrystus z groszem nie miał dawnej żywości kolorytu, Rembrandty mgłą jakąś były okryte.

Dietrich, który przyszedł powitać pana, niosąc mu jednego Mierisa przez siebie zrobionego i Gerarda Dowa na-

śladowanego cudownie, ledwie zdobył obojętne słowo. Na dobitkę pierwsze polowanie w lasach około Hubertsburga nie powiodło się. Rzecz niesłychana, poczwarna, nie do uwierzenia, wstydliwa, król chybił do rogacza!

Wytłumaczono to tem, że nie on, ale strzelba dopuściła się tego kryminału, ale niemniej była to straszliwa wróżba. Na każdym kroku spotykał zawód powracającego w laurach powiędłych pana. Uśmiechał się, dławił w sobie to, co doznawał, lecz nie oszukał nikogo.

Doświadczał tego, co wszyscy ludzie, długiem oczekiwaniem czegoś spragnieni; osiągnięty cel życzeń nie odpowiadał temu, co wykarmiła wyobraźnia tęskno-ty...

Boleść, jakiej doznał i ukrył w sobie, pomimo starannego tajenia się z nią, biła wszystkim w oczy. Nosił ją wypiętnowaną na pięknej niedawno twarzy, nagle zgrzybiałej, obwisłej, w oczach zgasłych, na plecach przygarbionych, w mowie jąkającej się i wstydzie, który go zmuszał kryć się przed ludźmi.

Po jedzeniu zaraz usypiał snem ciężkim, a obudziwszy się, gdy mu podano fajkę ulubioną, nie smakując i w niej, pykał milczący do wieczora, nie odpowiadając na pytania. Błazny jego zamiast pochwał i podarków, dostawali surowe wejrzenia.

Król miał zamiar, powróciwszy na swą ziemię, na pamiątkę szczęśliwego odzyskania jej, kazać uwolnić wszystkich, którzy siedzieli w Königsteinie. Było ich tu wprawdzie mniej, niż za czasów Augusta ojca, ale twierdza nie stała próżną. Na pierwszą wzmiankę o tem Brühl zaprotestował.

— N. Panie—rzekł—mało co ich tam jest, ograniczyliśmy liczbę do ostateczności, ale to, co pozostało, ludzie są bardzo niebezpieczni, którzyby W. K. Mości pokój mogli zakłócić.

Wistocie byli to tylko nieprzyjacie ministra i ludzie, których on się obawiał.

Opowiadanie o stanie zdrowia króla nie obudziło żalu,

ani obawy, ale przynagliły oba obozy do przygotowań na czas bezkrólewia.

Wszyscy pragnęli się wiązać, skupiać, aby przeważyć i mieć w ręku swem przyszłość.

Trzeciego czy czwartego dnia pani hetmanowa wybrała się nazad do Wysokiego z Tołoczką, którego zastępował spóźniony Putkamer. Do Wysokiego nie było się po co śpieszyć, a że hetmanowa miała kilka domów przyjaznych na drodze, korzystała z podróży, aby je odwiedzić. Tołoczko nieodstępny, ciągle na usługach panny, zużytkowywał zręczność dla przypodobania się pannie. Mówił już z nią otwarcie.

— Niech panna strażnikówna zważy tylko dobrze, czy nie będzie stokroć swobodniejszą u mnie, niż teraz przy matce. Za Bujwida gbura wyjść, pani sama widzi, znaczy sobie kamień przywiązać do szyi. Pani ze mną zrobi, co zechce, jam jej sługa do grobowej deski.

Zawód, jakiego doznała w Białymstoku, usposobił ją do słuchania cierpliwego...

— Ja pana rotmistrza szacuję wielce—odpowiedziała mu—ale doprawdy nie wiem, czybym go uczyniła szczęśliwym. Kapryśne ze mnie dziecko. Pan lubisz wieś, spokojne życie, a ja — świat, zabawy, wesołość, stroje!

— Ja dla panny Anieli gotowem gusta odmienić, wszystko poświęcić—przerwał rotmistrz.—Dom otworzymy, pojedziemy do Warszawy... pani... nie ja będę komenderował.

I całował ją po rękach a pochlebstwami obsypywał. Zwolna dała się nieco nakłonić do słuchania, do współmarzeń o przyszłości.

— Ale co potem?—szeptała wkońcu. — Choćbym ja się nawet zgodziła na to, matka nie pozwoli. Chce mnie koniecznie wydać za Bujwida, którego ja znieść nie mogę. Znam ją, gdy co powie, to jej przełamać nie można.

— Niech panna Aniela da mi tylko słowo—odparł rotmistrz,—niech mi pozwoli, a ja ręczę, znajdziemy sposób; pani hetmanowa całem sercem pomoże. Uplanujemy tak, przygotujemy wszystko, iż strażnikowa nie będzie mogła stawić przeszkody.

Obietnice Tołoczki, popierane przysięgami, zwolna poskutkowały; panna Aniela przychyliła się do jego życzeń. Bujwid był jej nienawistny, nad nim panować nie miała nadziei. Rotmistrza zawojować spodziewała się napewno. Hetmanowej dom ułatwiłby jej wejście w świat.

Nie dając jeszcze słowa, milczała; Tołoczko chciał bić żelazo póki było gorące, nie odstępował jej ani na chwilę.

Na jednym noclegu księżna Sapieżyna, widząc go tak służącym pannie, że o reszcie zapomniał, zapytała naostatku.

— Cóż tam, panie buńczuczny, jak idą twoje interesy? Panna Aniela zawsze ci tak sroga, jak była?

— Nie będę się chwalił, M. księżno—odparł Tołoczko—wszakże zdaje mi się, żem czasu nie stracił. Gdybyś pani raczyła poprzeć moją sprawę, byłbym pewny wygranej.

— Ho! ho! tak zaszedłeś daleko?—roześmiała się Sapieżyna.—Boję się, ażebyś nie doznał zawodu.

Tołoczko ją w rękę pocałował.

— Służyłem, służyć będę—odezwał się — ulituj się nad sługą swoim.

— Cóż mam czynić?

— Proszę przemówić za mną do panny—począł rotmistrz.

— Mnie się zdaje,—przerwała hetmanowa—że choćbyś pannę skonwinkował, matka ci nie da córki. W tem sęk!

— Na to jest sposób—wtrącił rotmistrz—tylko, że bez pani hetmanowej ja nic mogę nic.

— Mów-że bo raz jasno i otwarcie!

— Gdy, da Bóg, zgodzi się panna, prosta rzecz, zrobimy uroczyste zaręczyny. Strażnikowa się pogniewa, złaje mnie, zbeszta córkę, bo to u niej nie nowina, ale zrękowin nie złamie, bo te są tak ważne, jak sam ślub.

— Że waćpana złaje i córkę, to nic—poczęła śmiać się Sapieżyna — mnie się też dostanie, obwoła mnie intrygantką!

— Nie będzie śmiała—odparł Tołoczko.—Proces, który miał rozstrzygnąć Trybunał, za mojem staraniem odło-

żony został dla komportacyi dokumentów. Jej o ten proces tak idzie, że córkę gotowa oddać dla niego. Będzie musiała milczeć.

— Nigdym się nie spodziewała, abyś tak podstępnym był intrygantem—zawołała księżna.—Na wszystko masz odpowiedź, obmyśliłeś...

— M. Księżno—zawołał Tołoczko, bijąc się w piersi —to ostatnia życia mojego nadzieja.

— Panna ci przyrzekła?—spytała księżna.

— Jeszcze nie, ale choć usta nie wyrzekły słowa, wiem, że dłużej opierać się nie będzie.

— No, to starajże się mieć od niej zapewnienie, bo bez tego nic. Ja kroku nie zrobię, dopóki ona mi przy świadkach nie powie, że sobie życzy wyjść za waćpana i że się zgadza na zaręczyny, bo innego nie widzę posobu.

Pocałował w rękę Tołoczko, uniżył się do stóp księżnej, poprzysiągł wiekuistą wdzięczność i rzucił się dobijać targu z panną. Zdawało mu się, że rzecz tak, jak skończona, okazało się jednak, że strażnikówna, w chwili, gdy sobie miała świat zawiązać, przelękła się. Pomyślała sobie, że była młodą jeszcze, że mogła roczek, dwa poczekać, że Bujwidowi się opędzi. Zawahała się w samym progu.

Rotmistrz, który już był pewien serca, w rozpacz wpadł prawie. Widząc go tak zdesperowanym, panna prosiła o zwłokę. Sama wprawdzie nie wiedziała, jak ją miała zużytkować, ale nie mogła jeszcze oswoić się z myślą, że klamka zapadła. Płakała po nocach.

Wtem przyszedł list od Szklarskiej, nabazgrany na zrzynkach sinego papieru, ale było go sześć stron i dwie przypisków. Panna Szklarska donosiła ukochanej swej, że wszystko jest zmówione, obmyślone, aby natychmiast po powrocie wydać ją za Bujwida. Starosta pogorzelski skłonił strażnikową do tego, wyrzekając się posagu gotowizną i obiecując kontentować procentem. Sumy tej potrzebowała Koiszewska dla procesu i długu.

„Na twojem miejscu, serce moje—pisała—jabym wolała Bujwida i przyjęła go, ale to niedźwiedź, którego ty nigdy nie nauczysz nawet nosa utrzeć po ludzku. Żal mi ciebie, bo szczęścia z nim nie zaznasz. Zwlekaj

więc powrót, może cię to ominie... nie pokazuj się w domu, bo matka cię nie puści...

Wiem najpewniej, że wyprawę na gwałt szyją, jejmość kupiła futro i kuśmierze siedzą w stołowej izbie pod dozorem Porkowskiej, bielizna się znaczy”.

Tegoż dnia, gdy nadeszło pismo Szklarskiej, Tołoczko przypuścił szturm nowy. Padł jej do nóg, Aniela zerwała się i chciała uciekać, gdy nadeszła przygotowana już hetmanowa.

Widząc, co się dzieje, łagodnie zaczęła Anielę nakłaniać, przyrzekając jej opiekę swoją i męża. Wspomniała proces, dla którego matka musiała się dać przebłagać.

We dwoje z buńczucznym zmusili naostatek niemal strażnikównę, iż słowo dała i zgodziła się na wszystko, zakląwszy tylko księżnę, aby jej nie opuszczała.

Hetmanowa chciała, nie bawiąc, zaraz w dni kilka uroczyste sprawić zaręczyny, sprosić gości, sprowadzić muzykę; ledwie strażnikówna wyprosiła fryszt, dopókiby na list, który miała napisać do matki, odpowiedzi nie otrzymała.

Nie daj Boże, aby staremu człowiekowi, który już lata płoche po za sobą pozostawił, miłość do serca zawitała i przyśniło się to szczęście, którego człowiek raz tylko w życiu kosztuje, a nie każdemu i to dano.

Na Tołoczce najlepszy był dowód tego, iż człowiek, gdy sobie nieco cugli popuści, namiętność go poniesie... na złamanie karku.

Człek był zacny, stateczny, poważny i nic mu nigdy, a szczególniej dyssymulacyi zarzucić nie było można.... a teraz miłość dla panny Koiszewskiej zagnała go w taki kąt ciasny, skąd wyjścia nie było.

Uchodził on powszechnie za bezdzietnego, bo nigdy nie mówił o swojej przeszłości, chociaż miał syna z pierwszego małżeństwa, który u babki ciotecznej od dziecka się wychowywał. Mało kto o tem wiedział.

Wyjawiając tę tajemnicę, obawiał się zrazić i pannę

i matkę, więc milczał, powiadając sobie, iż dosyć będzie czasu później zaprezentować syna. Zdawało mu się, że w tem grzechu nie było. Nie kłamał tem, że milczał.... a nie było zbrodnią mieć potomka.

Z dnia więc na dzień odkładając ogłoszenie, iż go Pan Bóg pobłogosławił potomstwem, sam się z tego przed sobą uniewinniając, brnął dalej. Niekiedy tylko robiło mu się gorąco, gdy myślał, co to będzie za wrzawa, jak się Koiszewska o tem dowie.

Księżna Sapieżyna, która dawniej Tołoczki nie znała, wcale o niczem tyczącem się go nie wiedziała. Sapieha zapominał o bliższych daleko, a o stosunki familijne buńczucznego wcale się nie troszczył. Nikt go tu zdradzać nie myślał, ale położenie było bądź co bądź nie do zazdrości i przed zaręczynami wyspowiadać się było potrzeba pani strażnikowej.

Nie był pewnym, czy i panny ten syneczek, pono dziesięcioletni, nie zrazi.

W czasie tych zabiegów rad zapominał, co go jeszcze czekało, ale teraz, gdy termin się zbliżał, strach go taki ogarniał i wstyd jakiś, że głowę od tego tracił. Wiadoma rzecz, czem się w takich razach za owych czasów leczyć byli zwykli ci, którym ból serdeczny dokuczał. Zapijano frasunek.

Tołoczko nie lubił pić, a no teraz bezwiednie prawie ciągle za kieliszek chwytał.

Chodził jak błędny, oczy mu wpadły, kaszlać zaczął i gdy mu hetmanowa szczęścia winszowała, wzdychał, jak miechy kowalskie. Żal brał patrzeć na niego.

Panna zaś przeciwnie, raz postanowiwszy wyjść za niego, z myślą się tą oswajała, godziła i wesołą była, jak nigdy. Tołoczce zaś wyrzucała, że chodził, jak z krzyża zdjęty i zdawał się żałować chyba tego, co uczynił.

Męcząc się po dniach i nocach, naostatek, gdy mu hetmanowa wymawiała ten jego frasunek, wybuchnął:

— Żeby pani hetmanowa wiedziała, co ja mam za troskę, toby mi nie wyrzucała, że się śmiać nie mogę.

— Jeżeli nie wiem, a powinnam, czyjaż wina?— odparła księżna.

— A! moja wina! moja wina! moja bardzo wielka wina!—bijąc się w piersi, zawołał rotmistrz i oczy sobie zasłonił.

— Ja powiadam — wykrzyknęła Sapieżyna, — że z waćpanem, jak z dzieckiem kapryśnem, nie wiedzieć co robić... Cóżeś sobie uroił?

— A! nie uroiłem ci—wtrącił rotmistrz, alem zgrzeszył.

— Cóż? grzech śmiertelny?—zapytała, przedrzeźniając go księżna, — to ja chyba władzy rozgrzeszenia nie mam. Mów prędko, cóżeś popełnił?—Masz pewno jakąś jejmość, której ci się pozbyć trudno? co? nie zgadłam?

— Żadnej nigdy nie miałem—żałośliwie stęknął rotmistrz—ale byłem żonaty i z pierwszej żony syna mam, który się od dzieciństwa chowa u babki. O synu tym mało kto wie, a jam nie wspominał.

Skrzywiła się księżna.

— Wistocie — odezwała się—niema nic, a waćpana to jakby na kłamcę wystrychnie.

— Nikt się mnie nie pytał—rzekł Tołoczko,—cóżem miał za obowiązek głosić, że syna mam?

Potrząsnęła głową Sapieżyna.

— Ja o tem wiedzieć nie chcę—dokończyła.

Rzucił się do stóp Tołoczko.

— W łeb sobie palnę—zakrzyknął.

— Nie rozumiem, coby to ci pomódz mogło?—odparła Sapieżyna.

— Niech mi W. Ks. Mość poradzi, co mam czynić? —błagał.

Hetmanowa zlitowała się.

— Niesmaczna to rzecz—odpowiedziała — ale jak się poczęło, tak kończyć trzeba... Nie mówiłeś waćpan o synu dotąd, suponując, że o nim wszyscy wiedzą, milczże już.

— A jak się dowiedzą?—zapytał rotmistrz.

— Nie obrachuję, co oni poczną—po namyśle odezwała się hetmanowa.—Zdaje mi się, że waćpana odprawią, bo matka go nie chce... a to pretekst doskonały.

— Mam ja to powiedzieć pannie?—radził się rotmistrz.

Parsknęła księżna.

— A wy, mężczyźni—poczęła.—Krzyczycie na nas, że my was zwodzimy, nazywacie te biedne kobiety najgorszemi przezwiskami, chytrość nam przypisujecie i zdradziectwo, a co sami robicie? Kobietę zwieść, to wam fraszka. Wszystko wam wolno...

Tołoczko stał jak pod pręgierzem.

— Moje całe tłumaczenie, żem się zapóźno pokochał, a od tej miłości głowę utracił.

— Ja nie wiem, czy ją kiedy miałeś — przerwała księżna.—Takeś sobie z tą całą sprawą poczynał, jakbyś naumyślnie ją chciał zawikłać. Co tu radzić dziś, kiedy pora, w której trzeba było coś na to poczynać, minęła. Nie mówiłeś wczas, milcz, a po ślubie, co będzie, to musisz przyjąć, jako karę za grzechy. Na sucho ci to nie ujdzie.

Nic nie zyskawszy u księżnej, ale trochę sobie ulżywszy ciężaru tem zwierzeniem się, rotmistrz zajął się jak najgoręcej przygotowaniem do zaręczyn, które przyśpieszyć usiłował.

Tymczasem burza się gotowała.

Strażnikowa wprawdzie, ulegając księżnie, dała jej córkę, chociaż domyślała się, że to była intryga Tołoczki. Nie sądziła go jednak wcale niebezpiecznym dla córki, bo Bujwid był przystojniejszy i młodszy.

W ostatku, gdy hetmanowa się uparła wydać Anielę za rotmistrza, strażnikowa spodziewała się, że jej wyświadczy jakieś dobrodziejstwo, puści dzierżawę, zapisze sumę, wyrobi coś u króla. Nie rada była temu wszystkiemu, ale czuła, że nie mogła się uwolnić od tych łask i protekcyi.

Wahając się tak, a ciągle Bujwida mając na myśli, wkońcu swojego dawnego opiekuna, krewnego starego, marszałka Glińskiego, postanowiła wezwać i zwierzucym się, aby pójść za jego radą.

Gliński ów, którego niekiedy kniaziem tytułowano, bo się wywodził od owego sławnego warchoła, był człowiekiem znacznym, choć niezbyt majętnym. Umiał sobie w obywatelstwie wyrobić wziętość i słynął z rozumu. Był to doradzca, pośrednik, rozjemca, do którego z najdalszych stron ludzie, jak chorzy do doktora, się zjeżdżali.

Ogromnego wzrostu i tuszy, z twarzą wielką rozlaną, brodawkami dziwnie porosłą, z brzuchem, który mu chodzenie utrudniał, marszałek był nadzwyczaj czynny i szczycił się tem, że dla współobywateli życie poświęcał. Stosunki miał rozległe bardzo, znajomości wiele, pamięć ludzi i pokrewieństw a koligacyi zadziwiającą. W całej Litwie nie było może rodziny, którejby wszystkich członków nie mógł wyliczyć. Była to genealogia chodząca.

Nie śmiejąc go zapraszać do siebie, Koiszewska pojechała do niego.

Przyjął ją, jak był zwykł przyjmować wszystkich mnogich swych klijentów, tak, jak gdyby szczególny miał afekt dla każdego z nich. Wiedział już o wszystkiem i o tem nawet, że Aniela była w Białymstoku.

Strażnikowa wyznała mu, że właśnie dla poradzenia się o nią przybyła.

Marszałek, który miał sobie za prawidło wyrozumiewać petentów i raczej w ich myśl, niż przeciw niej iść, łatwo odgadnął, że strażnikowa była za Bujwidem. Stało się to dla niego wskazówką, jak sobie miał postąpić. Tołoczkę znał bardzo dobrze i od bardzo dawna, nie był z nim jednak ani źle, ani dobrze.

Wysłuchawszy długiej mowy pani Koiszewskiej, rzuciwszy pytań kilka, zamyślił się głęboko.

— Jesteś pani strażnikowa matką—rzekł,—serce jej pewnie dla dziecięcia najlepiej poradzić potrafi. Co do mnie, chociaż ja przeciwko Tołoczce nic nie mogę powiedzieć, bo człek zacny, uczciwy, rozumny, ale zdaje mi się, ani wiek, ani te koła, w których się on obraca, nie czynią go partyą, stosowną dla panny Anieli. Z protekcyą hetmana albo raczej hetmanowej może się posunąć wysoko... chybaby go król obdarzył starostwem, królewszczyzną, bo inaczej to tam honorów będzie poddostatkiem, ale chleba omal....

Tołoczko wyszedł z rodziny zubożałej, dopiero mu pierwsza żona wniosła posag i posadziła go na wiosce, ale to krom dożywocia na wsi, nie jego własność, ale syna.

Koiszewska się porwała przestraszona.

— Syna, jakiego syna? Jako żywo, nigdy mi nikt nie mówił o synach? Więc ma syna? Miał może chyba, ale umarł?

— Przepraszam panią strażnikową; syn się chowa u ciotecznej babki, oddają go do szkół do Połocka, chłopiec ma *in fallor*, lat dziesięć.

Strażnikowa, cała purpurowa z gniewu, słuchała.

— Jakże to nazwać, jak?—odezwała się,—żeby słowo pisnął o synku? Więc to poprostu podejście; chciał, byśmy myśleli, że to, co ma i czem świeci, do niego należy...

Marszałek pogładził łysinę i sapnął.

Nie zaprzeczał, ani potwierdzał tego sposobu zapatrywania się pani strażnikowej.

— Nie mogę o tem sądzić—rzekł—ale zawsze jest niedelikatność. Co się tyczy majątku, moja mości dobrodziejko, nie jest tajemnicą, że odłużony. Rotmistrz żył, popularności mu się chciało, karmił, poił, sejmikował.... długów dziś przez wierzch głowy, na majątek jego wcale się niema co oglądać.

— A! jak Boga kocham—krzyknęła impetycznie Koiszewska—córki mu nie dam! Straciłby jej posag, jak zmarnował majątek pierwszej żony! Niech sobie hetmanowa robi co chce: córkę odbiorę, zamknę, wywiozę i nie dam mu się ani zbliżyć.

— Pewno, że to będzie najrozumniejszem—rzekł Gliński,—ale i to pewna, że z hetmanową będzie pani miała przejście ciężkie. Obawiam się, czy rzeczy nie zaszły zadaleko. Naszą panią hetmanową trzeba znać; rządziła pierwszym mężem, panuje nad drugim, zręczna, rozumna, gwałtowna... Pomódz nie może wiele, ale zaszkodzić, oho! okrutnie... a jest uparta i mściwa..

— Cóż ona mi zrobić może?—wyrwało się Koiszewskiej, która nakrótko zapomniała o procesie.

— To prawda—poprawiła się,—ten nieszczęsny proces...

— Właśnie chciałem go przypomnieć—wtrącił Gliński.—Ona po trybunałach gospodaruje, jak u siebie w domu.

— Nie trzeba tracić męstwa—dodał marszałek.— Zechce ona szkodzić, będziemy pomagali.

— A! kochany marszałku—wykrzyknęła strażnikowa.—Zaklinam was, nie opuszczajcie mnie sieroty. Córki dla procesu gubić nie mogę; miałabym ją na sumieniu.

— Za pozwoleniem—przerwał Gliński—jakże usposobiona, za kim jest panna Aniela, bo i to trzeba wziąć w konsyderacyę.

— Nie będę taiła—rozpoczęła strażnikowa;—córkę mi siostra zbałamuciła. Chciałam ją mieć dobrą gosposią i kobietą, jak my wszystkie; nabili jej głowę elegancyą, francuzczyzną, zabawami... Bujwida ona nie lubi, bo rubaszny jest... Tołoczko układny, ale kłamca, oszukaniec. Dworskich się klamek trzyma; kochać go ona nie kocha, ale z Tołoczką się spodziewa wejść w ten świat, do którego tęskni. Ot co jest.

— Hm!—bąknął Gliński.—Skomplikowana sprawa, potrzeba energii, którą waćpani dobrodziejka masz, aby szczęśliwie wyjść z tego, ale ufam, że się to pomyślnie ukończy.

Po długich w tym przedmiocie naradach i rozprawach, które utwierdziły strażnikową w przekonaniu, że powinna nie dopuścić małżeństwa z Tołoczką, nastąpił obiad; a po nim zjawił się gość, właśnie z okolic Wysokiego Litewskiego, pan podstarości Górski.

Był to jeden z tych ludzi gładkich, bywających wszędzie, od wszystkich mile widziany, a wyśmiewający nawet tych, których się najserdeczniejszym głosił przyjacielem. Górski nie przebaczył nikomu, a tak lubił dowcipkować, że dla dowcipu wszystko poświęcał. Im zaś kto wyżej siedział, nosił imię piękniejsze, odznaczał się czemś więcej, tem on dla niego był surowszy. Sapieha, którego bawił, lubił go, zapraszał i bierał z sobą.

Zobaczywszy strażnikową, zaledwie ich przywitał, natychmiast począł winszować marjażu córki.

— A daj mi pokój, panie podstarości—odparła.— Anielka młoda, wydawać ją ani myślę.

— Jakże, a te blizkie zaręczyny?

Koiszewska wprost zaprzeczyła.

Pana Górskiego oburzało, że mógł być posądzonym o puszczanie fałszywych pogłosek. Uparł się.

— A, za pozwoleniem—rzekł.—Jest to rzecz pewna, iż w Wysokiem się spodziewają obchodzić je wkrótce bardzo uroczyście.

— Bez mojego zezwolenia, bez mojej wiedzy chyba! —wołała strażnikowa.—Toby było coś nowego, porządek naturalny obalony... Jestem matką.

Górski się tłumaczył bardzo obszernie i namiętnie, dowodząc, że nic nie zmyślał... Strażnikowa wkońcu musiała zamilknąć. Gospodarz pocieszał.

Powróciwszy stąd, Koiszewska, która miała siłę męską, umiała wiele znosić, walczyć, czekać, tym razem bardzo osłabła. Trzeba było na gwałt ratować córkę od Tołoczki, przewidywała, jakie będzie mieć trudności do zwalczenia, lecz obiecywała sobie nie dać się pokonać i córkę odebrać.

Napisała list grzeczny do pani hetmanowej, przepraszając, że sama po córkę przybyć nie może z powodu choroby i domagając się powrotu Anieli. Nastawała na to, że była chorą i że miejsce córki było przy matce.

Listy do hetmanowej i do Anieli były przyczyną wielkiego niepokoju.

Hetmanowej wistocie nie wiele szło o to, za kogo strażnikównę wydadzą i czy ona będzie szczęśliwą, lub nie, ale nie mogła tego dopuścić, aby się śmiano jej sprzeciwiać, jej łaskami pogardzać i mieć swoją wolę.

— Nie dam Koiszewskiej córki—zawołała, list odczytawszy.—Ja na to pozwolić nie mogę!

Aniela przelękła się; postanowienie wyjścia za rotmistrza było teraz jak najmocniejsze. Tołoczko, który chciał się zalecić pannie, w ciągu ostatnich dni w rozmowach uczynił jej obietnice, wielce nęcące.

Przyrzekł jak najuroczyściej, iż mieć będzie karetę, podobną do tej, którą jeździła ks. Sapieżyna, cug koni sześciu, dworzanina, hajduka, liberyę. Do kościoła miała jej towarzyszyć służba, niosąc poduszki herbowe i książki. Co rok dwa razy przynajmniej zobowiązywał ją wozić do

Warszawy, wyprawiać zapusty świetne i na rok nowy spraszać sąsiedztwo.

Obietnice te przychodziły w rozmowie, bez żadnego nacisku, z największą łatwością. Rotmistrz nie rachował się z niczem, głowę tracił, submitował się, akomodował i nie odmawiał nic a nic.

Zawołano pannę Anielę do hetmanowej.

— Moje dziecko—odezwała się do niej.—Pisze mi strażnikowa, że chora i żąda twego powrotu, na który ja pozwolić nie mogę. Chora nie jest, to rzecz symulowana, idzie o to, aby ciebie pochwycić. Nie mogę ci dać ginąć i do rozpaczy przyprowadzić Tołoczkę, który cię do szaleństwa kocha.

Rozpłakana panna Aniela padła jej do nóg.

— Odpiszę, że waćpanna też chora jesteś i że doktór Müller ruszać ci się nie pozwala.

Tak się stało; pół dnia czekał posłaniec na odpowiedzi i otrzymał obie odmowne, chociaż ocukrowane i osłodzone.

Rotmistrza, gdy się to działo, nie było w Wysokiem; powrócił późno i uradował się mocno, dowiadując, że księżna tak się energicznie znalazła.

Panna Aniela wybiegła naprzeciwko niego... poruszona i przeklękła. Tołoczko, widząc ją we łzach, zaklął się, że chybaby mu życie odjęto, inaczej nie wyrzecze się nigdy w świecie tej, którą już uważał za przyrzeczoną i jakby poślubioną.

— Niech panna Aniela rozkazuje, co mam czynić, gotówem na wszystko, a najpierwej jechać, szukać tego Bujwida i raczej mu życie wziąć, niż odstąpić bogdanki.

Chciał go zaraz wyzwać na rękę, na szable, na pistolety, jak zechce. Panna Aniela zlękła się przelewu krwi, płakała.

Tołoczko w gorączce po korytarzach biegał, rzucał się, odgrażał i naprawdę myślał o rozprawie z rywalem. Ledwie go księżna, zawoławszy, umitygowała.

Od księżnej poszedł do hetmana, gdzie się upił, nie wiedząc o tem, co robi, tak był wielkiego animuszu tego wieczora.

Poszli spać nadedniem. Rotmistrz pacierz ledwie zmówił, ciągle sumując o tem, co tu robić, zawziął się i nie kładąc się spać, pobiegł zbudzić przyjaciela Rybińskiego, który był pod nim chorążym, aby z nim jechać szukać Bujwida.

Nie było nic łatwiejszego, jak go znaleźć, bo się nigdy do kąta nie chował. Rybiński, rębacz sławny, nie mógł odmówić przyjacielowi, odział się natychmiast, kazał zaprzęgać do węgierskiego swego wozu i ruszyli.

A że na wsiadanem, po wczorajszym chmielu, wódką się gdańską trzeźwili, nie wyjechawszy jeszcze za wrota, pospali się oba.

Gdy Tołoczko obudził się wreszcie, musiał sobie chwilę dobrą oczy przecierać, rozpamiętywać, nim przypomniał poco jedzie i gdzie jest.

W karczmie na granicy, o pół mili od dworu Bujwida, Tołoczko musiał czekać, a Rybiński pojechał wyzywać.

Ale jak pojechał, tak w wodę wpadł, nie było go do wieczora, nie powrócił w nocy; aż z rana rotmistrz musiał posłać wyrostka na zwiady.

W godzin parę wrócił ze smutną nowiną, że Rybiński, jadąc wczoraj wieczorem, gdy się konie na mostku spłoszyły, z bryczką i z niemi spadł do rzeczki i potłuczony strasznie, ze złamaną nogą leżał u Bujwida we dworze.

Rotmistrzowi zamąciło się w głowie; co tu robić? Nie mógł się cofnąć, ani odkładać, musiał w sąsiedztwie szukać, ktoby mu zastąpił Rybińskiego. Cały dzień przeszedł na tem poszukiwaniu po nieznanej okolicy, aż znalazł się stary towarzysz broni.

Był on niegdyś rotmistrzem w kawaleryi, guzów i blizn miał dużo, opowiadał o sobie dzieje osobliwe, ale już teraz ręka mu się trzęsła i szablą nie władał. Za to swadę miał osobliwą i gębę wyparzoną.

Po wszystkich tych przejściach następnego dopiero dnia, Bujwid wyzwany, nie wymawiając się, rzekł:.

— Służę!

W Tołoczce krew kipiała, gdy go zobaczył przed sobą na placu; Bujwid był spokojniuteńki. Pojedynek był umówiony nie konno, z pistoletami, jak naówczas się często trafiało, ale na szable.

Trwał on nadzwyczaj długo, gdyż obaj byli prawie równych sił, nakoniec się złożyło tak, iż rotmistrz głęboko ciął w ramię Bujwida, a ten mu dwa palce u ręki oberżnął jak brzytwą.

Zakrzyczano:—Dosyć!

Tołoczko się domagał słowa, że mu Bujwid w drogę wchodzić nie będzie, ten nawzajem żądał, aby mu rotmistrz nie przeszkadzał.

Bić się natychmiast dalej nie było sposobu, nahałasowawszy, rozeszli się, nie sprawiwszy nic. Tołoczko miał zaraz do cyrulika śpieszyć, aby mu rękę obwiązał, bo na palce rady nie było.

Nie żałowałby ich, gdyby spotkanie korzyść jaką przyniosło, a tu rotmistrz przekonał się tylko, że z Bujwidem nierychło koniec być może, zaś zgoda nigdy.

Straszliwie przybity ewentem tym, już nawet do Wysokiego nie wracając, pojechał do doktora, do Brześcia.

W Wysokiem pani hetmanowa czekała pod bronią strażnikowej, albo wiadomości od niej, a panna Aniela modliła się.

— Dziej się wola Boża—mówiła.—Nie odstąpię rotmistrza... hetmanowa nam wiele obiecuje. Bujwid mnie przeciw mojej woli mieć nie będzie.

Rozniosła się zaraz wieść o tem, że Tołoczko z Bujwidem o pannę się porąbali i wielką obudziła ciekawość.

Bujwid, choć miał jechać do strażnikowej, nie mógł z mocno rozpłatanem ramieniem, bo dostał gorączki. Cyrulik noc i dzień czuwał przy nim.

Nie było nawet komu dać znać Koiszewskiej, która się od sąsiadki dowiedziała o tem, co się stało.

Gniew ją opanował wielki z powodu tego szczególniej, że niepotrzebna awantura ta na córkę jej zwracała oczy i języki. Nie było już nic do stracenia, więc strażnikowa, krótko pomyślawszy, pojechała sama do Bujwida.

Miało to wielkie znaczenie, a Koiszewskiej o to szło, żeby Bujwida sobie zachować. Zobowiązała go też do wielkiej wdzięczności i choć doktór wzbraniał, byłby

się z łóżka zerwał przyjmować strażnikową, ale ona mu się ruszać nie pozwoliła.

Niechęć i gniew Koiszewskiej przeciwko Tołoczce doszły do najwyższego stopnia, a że gwałtowną była zawsze, nawet w sprawach mniejszej wagi, tu już miary nie miała. Niemniejszy żal i oburzenie opanowały ją na wspomnienie księżnej, której przebaczyć nie mogła przywłaszczenia sobie jakiejś władzy nad córką i dziwnej zachcianki kierowania jej losem.

Nieszczęśliwa strażnikowa naprzemiany przeklinała, łajała, płakała i odgrażała się.

Wróciwszy z tej wycieczki do domu, musiała się do łóżka położyć, bo choć jej zdrowie zawsze służyło, teraz tak była przejętą, niespokojnością zmęczona, iż nawet energią swą dźwignąć się nie mogła.

Ani krople Hoffmana, ani inne medykamenta pokrzepiające nie pomogły jej nic, dopóki sama nad sobą pracować nie zaczęła, aby męstwem pokonać przeciwność.

— Córki mi przecie gwałtem odebrać nie mogą, a ja Tołoczce jej nie dam, choćby konał—wołała, po kilku dniach wstając, znękana strażnikowa.

W tem usposobieniu znalazł ją gość wcale niespodziewany—Tołoczko.

Jak do tego doszedł, aby uznać potrzebę osobistego widzenia się i rozmówienia z panią Koiszewską, wytłumaczyć nam trudno. Namiętności mają logikę odrębną. Wistocie nie było może ani potrzeby swoją obecnością drażnić pani strażnikowej, ani się mógł najmniejszej z tego spodziewać korzyści, ale znajdował się w takim stanie ducha, który przekłada najgorszą ostateczność, niż niepewność.

Koiszewska, przeżegnawszy się i zmówiwszy „pod Twoją obronę", wyszła do niego blada, ale wielce poważna i dumna.

Tołoczko chciał rozpocząć od obszernego wykładu sprawy swojej, dla której chodził jeszcze z ręką, ogromną chustą oplątaną. Zaczynał już *ab ovo*, ale strażnikowa mówić mu nie dała.

— Co pana tu sprowadza?—zapytała.

— Chciałem pani strażnikowej dobrodziejce wyznać uczucia, które mnie do panny Anieli wiążą i...

— Odwiąż się waćpan od niej i ode mnie—odparła gospodyni.—Ja mojej córki za waćpana nie wydam.... i otwarcie mu to mówię, abyś darmo jej nie bałamucił, a mnie nie męczył.

— Sercu nakazać nie można—rzekł rotmistrz.

— Nie takiemi drogami zdobywa się serce—przerwała Koiszewska,—nie przez protekcye magnatów, nie przez fałszywe wieści i kłamstwa.

— Pani dobrodziejko!—zawołał Tołoczko.

— Zataiłeś waćpan, że masz syna z pierwszego małżeństwa, abyś się nie wydał z tem, że nie masz nic, a długów po uszy—mówiła strażnikowa.—Opresyą chcesz wymódz na mnie, czego z dobrej woli mieć nie możesz. Ale ja należę do tych, którzy sobie gwałtu czynić nie dają. Mnie ani hetman, ani hetmanowa nie nabawią strachu. Wydam córkę za kogo zechcę i zaręczam, że nie za waćpana. Bywaj waćpan zdrów!

Chciał odpowiedzieć zmieszany tem przywitaniem rotmistrz, ale strażnikowa, słuchać go nie myśląc, odwróciła się, wyszła i drzwi za sobą zatrzasnęła.

Nie miał już tu co robić nieszczęśliwy i czapkę pod bok wziąwszy, wyniósł się.

Nie było się z czem chwalić; przyjechawszy więc do Wysokiego, zmilczał i ani o bytności swej u Koiszewskiej, ani o tem, co od niej posłyszał, nie mówił nikomu.

Księżna tymczasem przy swojem stała z równym oporem, choć z mniejszem prawem, niż matka. Aniela też trwała w swem postanowieniu. Hetmanowa, która ją lepiej poznała teraz, wiedziała, czem ją przynęcić i obietnic świetnych nie skąpiła.

Drugi list, wzywający Anielę do powrotu do domu, wysłała Koiszewska wieczorem tego dnia, gdy ją odwiedził Tołoczko.

Napisany był zimno, ostro, tonem obrażonej matki i nakazywał jej powracać natychmiast, jeżeli nie chciała, aby się jej wyrzekła.

Podobneż wezwanie do księżnej, aby pannę Anielę

odesłała, w bardzo krótkich wyrazach, oddano do rąk własnych hetmanowej.

Jedynym sposobem z księżną Sapieżyną, aby nic nie otrzymać, było chcieć co na niej wymódz siłą, aby się potem chlubić, iż ona uledz musiała. Jak skoro tak nalegano o wydanie córki, postanowiła ją bronić i zatrzymać.

Anieli kazano natychmiast pójść do łóżka i nie wstawać, a księżna odpowiedziała zimno pani Koiszewskiej, że córce jej doktór nie pozwala wstać, ani się z miejsca poruszyć, więc księżna, dbając o jej zdrowie, nie może pozwolić na to, aby się narażała na niebezpieczeństwo. Troskliwość o pannę Anielę w liście księżnej wyglądała tak, jakby była wyrzutem, iż rodzona matka o nią nie dbała.

Między hetmanową a strażnikową przychodziło tedy do walki i zdawało się, że pierwsza zwyciężyć musi. Koiszewska miała za sobą prawa matki, charakter śmiały i energiczny, ale księżna Sapieżyna przebiegłość, wszystkie środki ludzi bardzo możnych, rozgałęzione stosunki, w potrzebie i protekcyę króla.

Im to drożej kosztować miało, tem mocniej stała przy tem, że Anielę wyda za swojego Tołoczkę.

A że ze strony strażnikowej mogły być wszelkie środki użyte, nawet podstęp i przemoc, w Wysokiem z rozkazu pani hetmanowej obmyślano ostrożność, nadzór, czuwanie na korytarzach i t. p.

Tymczasem jednak strażnikowa nie uczyniła żadnego kroku; musiała się namyślać. W pisma się wdawać nie chciała, posłała więc po Szklarską, zapraszając ją, aby chorą odwiedziła.

Stara panna nadbiegła natychmiast, uprosiwszy konie u pana strażnika koronnego. Wiedziała już mniej więcej o wszystkiem i oburzała ją ta prepotencya kobiety, która cudzem dzieckiem dla swojej fantazyi lub interesów rozporządzać chciała.

Koiszewska przywitała ją w progu.

— Szklarsiu moja droga, wzywam cię na pomoc. Anielę mi hetmanowa skonfiskowała. Pisałam dwa listy nadaremnie; jedź, przekonaj się czy prawda, że chora, a Anieli powiedz, że jeśli nie chce, abym się jej wyrzekła, jako córki wyrodnej, niech powraca.

— Słuchaj-że strażnikowo—odparła Szklarska, pojadę? Ty wiesz, że ja się nikogo nie ulęknę, ale daj mi słowo, że jej ty gwałtu nie zadasz i nie zmusisz iść za Bujwida. Ona go nie chce.

— Ale ja go chcę!—zawołała strażnikowa—na tem dosyć.

— Nie pojadę—skonkludowała Szklarska.

Zaczęły się z sobą już niemal kłócić, gdy Koiszewska wkońcu oświadczyła, iż za Bujwida przymuszać nie będzie, ale za Tołoczkę nigdy nie pozwoli.

— Jedź mi ją przywieź—rzekła;—głupia jest! ja ją kocham, chcę jej szczęścia... ona woli słuchać obcych, co nią frymarczą, niż matki, która ją ma jedną i dla niej żyje.

Szklarska, zaledwie spocząwszy chwilę, pognała do Wysokiego. Śmiała i rezolutna, nie myśląc się księżnie oznajmywać, wprost się udała do panny Anieli, która z pokoju nie wychodziła, ale chorą nie była.

Nie wpuszczono posła tego i dano znać hetmanowej, która Szklarską kazała prosić do siebie.

Mówiliśmy już, jak się ona ubierała ze staroświecka i cudacznie. Jadąc do Wysokiego, w ostatniej karczemce na drodze wystroiła się tak śmiesznie, że wyglądała, jak straszydło na wróble. W tym stroju stanęła przed hetmanową, która się liczyła do największych elegantek współczesnych. Ta mało ze śmiechu na jej widok nie parsknęła.

Chciała zaimponować przybyłej, ale Szklarska nikomu nie pozwalała sobie uchybić.

— Przyjechałam tu z mandatem od pani strażnikowej trockiej, aby zabrać jej córkę—rzekła.

— Panna Aniela jest chora—odparła hetmanowa.—Müller jej jechać nie pozwala. Pani strażnikowa jest niewdzięczną, mogę powiedzieć; zajęłam się losem jej córki, którą pokochałam... i muszę za to znosić nieprzyjemności.

— Pani strażnikowa bardzo księżnie pani jest wdzię-

czną, umie łaskę jej ocenić, ale chce sama nad swem dzieckiem czuwać.

Hetmanowa usta zagryzła.

— Nie puszczę panny Anieli, chybaby ona sama tego zażądała — rzekła po namyśle.—Możesz się pani widzieć z nią i przekonać, że ja jej gwałtu nie zadaję, owszem od niego bronię.

Na tem księżna Sapieżyna skończyła, dumnie odprawiwszy Szklarską, która też niezmieszana pożegnała ją, ledwie głową skinąwszy.

W chwilę potem zaproszono przybyłego posła do panny Anieli. Tu już wszystko było przygotowanem na przyjęcie. Okna zapuszczone firankami, przy łóżku poustawiano flaszki od lekarstw. Aniela napół ubrana, leżała sparta na poduszkach.

Zostawiono je same, ale Aniela wiedziała, że księżna niechybnie będzie podsłuchiwała. Szklarska wpadła ze zwykłą swą gwałtownością i uściskawszy strażnikównę, z góry wpadła na nią.

— Jak ty możesz rodzonej matce odmawiać posłuszeństwa!—krzyknęła.—Strażnikowa chora, narzeka na ciebie... jedź, zmiłuj się, ja przybyłam po ciebie, gotowam czekać do jutra.

— Ale i ja jestem chora!—odparła Aniela.

Szklarska śmiechem parsknęła.

— Chora jesteś na upór, Anielko—zawołała.—Toloczko i ta twoja protektorka, księżna, okłamują cię, obiecują góry złote, a to wprost rachuba na twój posag. To hołysz, ten Tołoczko, w długach po uszy. Księżna nie chce mu nic dać z kieszeni, płaci z cudzej, nie wiem za jakie posługi. Ja ci przywożę od matki zapewnienie, że Bujwida ci nie narzuci, ale musisz powrócić.

Milczała panna Aniela.

—Zlituj się, moja Anielko, nie rób tego, co cię w oczach ludzi potępi. Matka ma swe prawa! Czy ci ten Tołoczko tak bardzo miły. To człowiek już niemłody, majątku nie ma.

Wtem Aniela przerwała gwałtownie.

— Wiem, wiem, że na niego potwarze rzucają, ale ja im nie wierzę... darmo mi ich nie powtarzaj. Dałam mu słowo i dotrzymam.

Szklarska ręce załamała.

— Bój się Boga, ależ to bunt!

— Matka mnie nie dla mojego szczęścia chcę dać za Bujwida, ale dlatego, że on się jej podobał. Ja go niecierpię!

— Ja się też w nim nie kocham, wierz mi—zawołała Szklarska—parobek jest i tyle. Nie sądź jednak, aby matka się upierała; mam jej najuroczystsze zapewnienie, że zmuszać nie będzie. Nie chcesz go, nie wyda cię za niego.

— Moja Szklarciu—słodko, zmieniając ton poczęła prawie błagająco strażnikówna.—Nie masz litości nade mną, nie przyprowadzaj mnie do rozpaczy. Ja tylko z Tołoczką mogę być szczęśliwą. Każdy ma swoje upodobania i gusta... ja potrzebuję żyć na świecie, na wielkim świecie. Śmiej się ze mnie, ale wolę nie żyć, jak gnić na wsi. Tołoczko, to rzecz umówiona, przyrzeczona, da mi karetę, konie, służbę, dom otworzy. Wymówiłam to sobie u niego. ... On mi będzie posłuszny.

Szklarska poczęła się śmiać.

— Oni bo wszyscy są przed ślubem posłuszni, a po ślubie zobaczysz, w co się to obróci. Jemu na to nie starczy.

— Dostanie starostwo—przerwała Aniela.

— A! moja pani starościanko—ciągnęła dalej Szklarska—pozwól sobie powiedzieć, że dzieckiem jesteś.

Zasiadłszy przy łóżku, stara panna zajęła się przekonaniem Anieli, namawianiem jej, lecz znalazła opór tak niepokonany, iż oprócz łez, nic z niej nie wycisnęła.

Wieczór nadszedł, musiała Szklarska nocować. Z gniewu tylko wieczerzy księżnej jeść nie chciała i kontentowała się dobytym z kieszeni suchym chleba kawałkiem.

Nazajutrz powracała z niczem...

Daje to wyobrażenie o charakterze pani hetmanowej polnej litewskiej, że daleko i nieskończenie ważniejsze mając na głowie swej sprawy, panną strażnikówną i Tołoczką tak się zajmowała gorąco, jak gdyby nic więcej do czynienia nie miała. Podziwiać było potrzeba niezmordowaną pracę, zabiegi, intrygi, któremi jednych ku sobie ciągnęła, drugich starała się pozbyć.

Tołoczko naturalnie służyć jej musiał do wszystkiego, rzucała nim, posyłała, wcale go nie oszczędzając, a że się jej zdawało, iż mu małżeństwo zapłaci to sowicie, nie miała nawet tej delikatności, ażeby narażając go na koszta znaczne, kiedykolwiek o tem dać wspomnieć. Rotmistrz musiał opędzać wydatki z własnej kieszeni, a były niemałe. Nie jednemu podobne całą substancyę zjadły.

Dnia jednego prawie spocząć mu nie dając, księżna wysyłała go za swemi interesami. Tołoczko musiał nie z potrzeby, ale dla okazałości, aby hetmanowi nie czynić wstydu, ciągnąć z sobą gromady ludzi i koni. Rzadki dzień, aby gdzie przyjmować, poić i karmić nie był zmuszony, a co się tam najadł goryczy, to się też nie liczyło. Słowem, męczeński wiódł żywot. Długi rosnąć musiały i to już lichwiarskie.

Na posażek strażnikówny musiał rachować, aby je popłacić, bo na hetmanową rachować, ażeby ona go indemnizowała, ani było myśleć.

Hetmanowa naówczas właśnie snuła jedną z tych intryg, któremi usiłowała podkopać znaczenie wojewody wileńskiego, w miejsce jego podstawując hetmana Massalskiego.

Powszechnem naówczas przekonaniem było, że Massalski ojciec i syn jego, biskup wileński, stali oba również przeciwko Radziwiłłowi, trzymając się księcia kanclerza Czartoryskiego.

Wtajemniczeni tylko, jak przebiegła księżna, wiedzieli, iż hetman miał żal głęboki do kanclerza, za to, że Ogińskiemu sprzyjał i do województwa wileńskiego go prowadził, że kanclerzowi mógł stanąć opornie... i do przejednania, jako pośrednika bezpiecznieby go użyć można, a Radziwiłła zostawić na stronie.

Księżna chciała hetmanowi Massalskiemu dać rolę medyatora i pojednawcy ze dworem Radziwiłła.

Wciągnięto w to i marszałka nadwornego, Mniszcha i wiele innych osób, a że hetmanowa sama nie chciała być zbyt widoczną, więc się zbierano nie w Wysokiem, ale w Białymstoku.

Potrzeba było ciągle tam posyłać, ciągle jeździć, a że Anieli porzucić nie chciała, bo się lękała, aby pod jej niebytność wpadłszy, matka nie zabrała, woziła ją więc z sobą.

W oczy to biło, że strażnikówna do Białegostoku bywała zawsze zdrowa, a w Wysokiem ciągle chorą.

Konieczność sprawienia naprzód bodaj zaręczyn, potem wesela, lub odrazu dania ślubu Tołoczce, stawała się konieczną. Trzeba się było zapewnić, że znajdzie się duchowny, który bez pozwolenia matki pobłogosławi nowożeńców.

Tymczasem z ks. kanonikiem, proboszczem w Wysokiem hetmanowa była w stosunkach bardzo nieprzyjaznych. Nawykła dysponować według swojej fantazyi domownikami, których żeniła, rozporządzała niemi, nie pytając o nic, księżna po kilkakroć miała nieprzyjemne zajścia. Kanonik był surowy i w sprawach kościoła się tyczących, obstawał przy prawie, niczem się nie dając przekonać.

Tołoczko, posłany, aby go wyrozumiał, znalazł wprost ślub bez matki i pozwolenia jej niemożliwym. Prosić i błagać nie było sposobu.

Sama hetmanowa już nawet o tem z nim mówić nie chciała. Lecz na jej szczęście ówczesne duchowieństwo, pod wpływem czasu, całe było na dwa wielkie obozy podzielone. Jedni, widząc kościół zagrożony prześladowaniem, w surowości szukali obrony i ściślej, niż kiedy, trzymali się nie tylko ducha prawa, ale litery i formy. Z temi o żadnych ustępstwach nie mogło być mowy. Drudzy mieli to przekonanie, że kościołowi, tolerancyą, wyrozumiałością, posuniętą do ostatecznych granic, zyszczą zwolenników. Ci lekceważyli prawa kościelne, kanony i tolerowali nawet jawnogrzesznictwo.

Ksiądz kanonik znajdował monstrualnym ślub bez matki, ale inny, wolnomyślniejszy kapłan mógł go dać, nie oglądając się na formalności.

Księżna tego drugiego łatwo znaleźć mogła. Był nim bawiący w Białymstoku ksiądz Francuz, kanonik de la Branche, który już po kilkakroć miał z nuncyaturą nieprzyjazne zajścia, ale mimo to dawał śluby po pięćdziesiąt czerwonych złotych, jak obwarzanek za grosz.

Kanonik Francuz tłumaczył, że wszystkie przepisy, małżeństw się tyczące, później zostały wymyślone, i że parze, która błogosławioną być żądała, kapłan nie mógł odmówić błogosławieństwa.

W jednej ze swych wycieczek do Białegostoku, księżna na pokojach spotkała się z kanonikiem, który był wielkim galantem i adoratorem przywiędłych wdzięków księżnej pani, ale nadzwyczaj starannie odświeżanych.

— Kanoniku—zawołała, chwytając go po drodze—szukałam cię, tęskniłam za tobą, mam cię prosić o jedną łaskę.

— Mościa księżno!—wykrzyknął Francuz—dla mnie to łaską będzie, jeżeli mi sobie w czem usłużyć pozwolisz.

— Mam pod moją opieką dwoje ludzi, którzy się kochają—ciągnęła dalej,—chcą się połączyć, chcą sobie miłość poprzysiądz... ale matka barbarzyńska staje im na przeszkodzie. Dasz im ślub?

— Z największą przyjemnością, z rozkoszą—odparł Francuz,—choćby mnie miał *Loci ordinarius* wsadzić do domu demeritów na rekolekcye.

— Ale do tego nie przyjdzie, matka po ślubie da się przebłagać.

— Jestem na rozkazy waszej Ks. Mości—dodał kanonik.

— Mam wasze słowo?—zapytała księżna z uśmiechem..

— Jak najuroczystsze — potwierdził kanonik. — Chrystus zabronił przysięgać nienawiści, ale miłości przysięgę utwierdzać zalecił. Mogęż wiedzieć, kogo błogosławić będę?

— A! to są osoby do naszego należące dworu—odparła od niechcenia księżna, — hałasu z tego nie będzie wielkiego.

— Młodzi?—zapytał kanonik.

— Ona młoda, on człowiek dojrzały—mówiła hetmanowa.

Rozmowa po kilku jeszcze zamienionych z obu stron komplementach, na tem się skończyła. Kanonik tylko zawarował sobie, aby jedna z osób, którym miał ślub dawać, zasiedziała parafię w Białymstoku.

Hetmanowa więc uspokojona przy pierwszem widzeniu się z Tołoczką umiała to tak łatwo wyrobione przyrzeczenie wystawić mu, jako uzyskane z nadzwyczajną trudnością i zapewnić sobie za to niezmierną wdzięczność.

— Widzisz, rotmistrzu—dokończyła,—że ja dla ciebie się sakryfikuję, że nie zapominam o tobie.

Było to doskonałym wstępem do nowych wymagań od Tołoczki, który musiał za to pojechać szpiegować księcia wojewodę i dojść, kto mu radził i nim kierował.

Postępowanie Radziwiłła zdradzało głowę rozumną i człowieka wytrawnego, a hetmanowa nie miała wojewody za obdarzonego temi przymiotami.

Im więcej skutkiem swego temperamentu nieunoszonego popełniał wybryków, tem Sapieżyna więcej się tem radowała. Starała się też męża od niego trzymać zdaleka, bo wiedziała, iż pojednanie jej interesom byłoby szkodliwe.

Zamiast w Wysokiem, zbierano się teraz na narady w Białymstoku. Było to ze wszech miar dogodniejsze i mniej kosztowne. Panna Aniela, nie odbierając od matki przez czas jakiś wiadomości, ani przynagleń, łudziła się nadzieją, że przestała się opierać... i że łatwo będzie ją przebłagać.

Stało się to jednak wcale inaczej, niż ona sobie wyobrażała. Bujwid się wylizał ze swej rany dosyć prędko, tak że nawet już ręki na temblaku nie nosił, tylko mu jeszcze dolegała i ubierać się było trudno. Ale chłop był zdrów i silny, na ból nie zważał i jak tylko kontusz mógł wsadzić, pojechał do strażnikowej na zwiady.

Koiszewska przyjęła go radośnie, ale na zapytanie o córce, odparła, że jej znać nie chce, że myśli adoptować małą Skrzyńską, krewnę swą, a o niewdzięcznej zapomnieć.

— Strażnikowo, dobrodziejko, nie czyń tego, zlituj się! Ja mam w Bogu nadzieję, że wszystko się zmieni Panna Aniela z hetmanową raz w raz jeżdżą do Białegostoku i tam przesiadują, ja też u hetmana i generała Mokronowskiego mam zachowanie, pojadę i ja. Będę na złość Tołoczce przysiadał się do panny... coś mi mówi, że ja sobie dam radę.

Koiszewska nie odciągała go od tego przedsięwzięcia, zostawiła mu swobodę postąpić, jak sobie życzył i Bujwid wystrojony po polsku, ale nadzwyczaj elegancko, zjawił się jednego dnia na pokojach, właśnie gdy wczoraj przybyła księżna Sapieżyna z Anielą występowały.

Przestraszyła się nieco panna, ale nie straciła całkiem odwagi i gdy starosta pogorzelski przystąpił do niej z komplementem, przywitała go z powagą.

— Bardzom szczęśliwy, że ja tu pannę strażnikównę spotykam—rzekł Bujwid;—frasowałem się właśnie o to, gdzie mam jej szukać, aby przeprosić.

— Za co?—spytała zdumiona panna.

— Za to, żem obciął tak haniebnie bohdanka jej, bo to całemu światu wiadomo, że pani hetmanowa ją wydaje za Tołoczkę. Jam temu nie winien; sam mi w oczy wlazł i guza szukał. On mnie też palnął w ramię, że przez kilka tygodni cyrulika musiałem trzymać i plastrami się okładać. Ramię moje się zrosło, ale żeby jemu palce odrosnąć mogły, wątpię! Mańkutem się musi uczynić, aby pannie służyć.

Panna Aniela słuchała ze spuszczonemi oczyma. Bujwid baraszkował, żartował i jak gdyby do niej żalu nie miał, nadskakującym był. Przy pierwszej jednak sposobności, gdy pan starosta napomknął o małżeństwie, panna mu otwarcie oświadczyła, że ma niezmienne postanowienie oddać rękę Tołoczce.

— Niech tylko pani stara się wprzódy z matką pojednać, bo mocno obrażona i dotknięta, głosi, iż małą Skrzyńską chce adoptować, jej oddać wszystko, a stracić tak marnie piękną substancyę niemiło będzie pani, a jeszcze więcej da się to czuć rotmistrzowi, bo on nie ma zanadto.

Wiadomość o tem strwożyła nieco pannę Anielę i nie miała nic pilniejszego nad wyspowiadanie się z niej natychmiast hetmanowej. Tę już nudziło nieustanne zajmowanie się Anielą; odprawiła ją dosyć kwaśno tem, że niedorzecznych plotek słucha i że Koiszewska pewnie tego nawet uczynić nie mogła.

Chociaż zapewniła o tem Anielę, sama jednak hetmanowa pewną nie była, czy ta pogróżka się spełnić może, lub nie. Tego dnia zaraz wzięła na bok jednego z prawników, na których naówczas ani w Białymstoku, ani nigdzie nie zbywało i przełożyła mu wypadek.

Jurysta głową potrząsł.

— Może to być i może nie być, bo mościa księżno dobrodziejko, *est modus in rebus*, ale niech z piekła nie wylezie, kto taką myśl podaje. Jeżeli prawnieby się to nie dało zrobić, matka ma tysiąc sposobów wydziedziczyć córkę. Kłopotliwa to rzecz i lepiej zgody szukać, niż takiej ostateczności dopuszczać.

Odpowiedź utkwiła w głowie księżnej.

Bujwid, dwa dni przebywszy na Białostockim dworze, wyjechał i jakby grali z sobą w mienianego z Tołoczką, nazajutrz nadciągnął z Nieświeża rotmistrz, przywożąc raport dosyć hetmanowej przyjemny.

Wysłuchawszy go, Sapieżyna westchnęła.

— Boli mnie, że ja ci nie mogę wywdzięczyć się równie dobrą wiadomością—rzekła.—Być może, iż Bujwid kłamie, ale oznajmił Anieli, że matka jej, rozgniewana na nią, powzięła myśl adoptować małą jakąś Skrzyńską, a ją wydziedziczyć. O pieniądze ci nie chodzi pewnie — dodała—ale smutna rzecz pannę brać młodą, potrzebującą wiele, a po niej nic.

Rotmistrz zająknął się, chciał coś mówić, w ustach mu zaschło. Zimny pot wystąpił na czoło.

— To pewna—począł—to pewna, że ja tam o pieniądze tak bardzo nie stoję, mościa księżno, ale powietrzem człowiek nie żyje... smutna rzecz stracić taką fortunę.

— Ha! masz się jeszcze czas namyśleć—dodała księżna—możesz się cofnąć.

Rotmistrzowi serce się w piersiach ścisnęło; gdyby mógł, zapłakałby.

— Ostatnia nadzieja szczęścia w życiu — mówił w duchu—mam-że się ja jej wyrzekać dla marnego grosza! Nigdy w świecie.... Chybaby mnie sama panna odpędziła, ale ona tego nie uczyni. Szczęście do nas zawitać może. Matka nie będzie tak okrutną.

Witając potem pannę Anielę, przybrał postawę bardzo wesołą. Ona, niespokojna, zaledwie słów kilka z nim zamieniwszy, zapytała go, czy wie, z jaką wiadomością Bujwid tu przyjechał?

Tołoczko oświadczył, że nie wiedział o niczem. Opowiedziała mu panna Aniela, co przywiózł.

Rotmistrz słuchając, głową potrząsł.

— Jakże to panna strażnikówna nie zmiarkowała, że jego tu wysłano umyślnie z postrachem, bo to nic innego nie jest, jak straszenie panny Anieli i mnie. Co się mnie tyczy, ja sobie z tego nie czynię nic. Zechce pani strażnikowa wydziedziczyć, wola jej, ja na posag i pieniądze nie polowałem... a da Bóg żyć, znajdziemy się czem sustentować i bez posagu. Mogłaby panna Aniela i jednej koszuli nie mieć, zawsze bóstwem dla mnie będzie.

Oświadczenie to wywołało z powodu koszuli rumieniec na twarzy panny, którą Tołoczko w rumianą, bo niezbyt białą, rączkę pulchną z paluszkami krótkiemi pocałował, dodając:

— Jawna rzecz, że to nowy sposób rozerwania tego związku, który jest życia mojego jedynym celem. Niech panna Aniela będzie spokojną. To są strachy na lachy.

Tołoczko tymczasem czas jakiś wypoczywał w Białymstoku, zarówno z innemi ciągle starając się między panią hetmanową Branicką a panem hetmanem tak ekwilibrować, iżby się każdemu z małżonków zdawać mogło, że jemu jest oddany.

Wszyscy przyjaciele domu, to jest wybornego i wesołego życia w rezydencyi hetmana, doskonale wiedzieli, jaki jest stosunek dwojga państwa, żyjących z sobą, obok siebie, ale jakby się wcale nie znali. Hetman z francuską grzecznością przychodził oddać żonie dzieńdobry, zapytać, jak spała i dowiedzieć się o jej rozkazy. Dzień potem za wspólną zgodą schodził w Białymstoku, w Choroszczy, na wycieczkach, a hetmana i samą panią otaczali przyjaciele, rozdzieleni na dwa obozy, choć napozór jeden stanowiący.

Hetman wśród dnia rzadko zbliżał się do żony, ona do niego nigdy. Pośrednikiem, który w razie potrzeby służył mężowi i żonie, był generał Mokronowski, o którym wiedziano, że się kochał w hetmanowej i domyślano, że pozyskał też jej serce. Nie było to tajemnicą dla hetmana, ale nie chciał tego widzieć. Mokronowski był mu potrzebnym.

Ona dla generała była napozór zimną, surową, obojętną, co go bynajmniej nie zrażało.

Mokronowski wesół, dowcipny, uprzejmy, był raczej typem Francuza, niż Polaka. Można go było postawić za wzór dyskrecyi, taktu, delikatności. W sprawach politycznych bardzo zręczny, wielkiej do nich pasyi nie zdradzał, lecz hetmanowi służyć musiał.

Nie okazując tego, Mokronowski w Białymstoku był jednym z najczynniejszych, najwięcej ważących ludzi. Począwszy od najmniejszych spraw, aż do najważniejszych, nie omijały go żadne i przeciw jego woli rzadko co się dokonać mogło. Hetman apatyczny, dumny, wyżyty, bez niegoby żyć nie mógł. Zazdrość wydawała mu się śmieszną, a byłaby zapóźną.

Sapieżyna, która umiała i starała się wszystko zużytkować dla siebie, była z Mokronowskim bardzo dobrze, a generał, jako galant, okazywał jej nadzwyczajną grzeczność. On to miał wyrobić, ażeby wesele panny strażnikównej mogło się odbyć w Białymstoku.

Pani Branicka znudzona, na wszystko, co rozrywkę obiecywało, chętnie się zgadzała. Dla księżnej miała usposobienie tem przyjaźniejsze, że stolnik, ukochany jej brat, nią się zajmował, a ona nie taiła się ze słabością dla niego. Wolała też ją, jako kochankę brata, niż rywalkę jej, wojewodzicową mścisławską, która była z domu Branicką,

ale z rodziny zupełnie obcej starożytnemu rodowi, którego hetman był ostatnim potomkiem. Ta jednostajność imion tak nierównego znaczenia w Rzeczypospolitej, drażniła panią hetmanową.

W kółku poufnem mówiono już o weselu, które zaimprowizować miano. Hetmanowa litewska chciała je przyśpieszyć, Tołoczko był w gotowości, ale pannie Anieli bez wyprawy, bez tego, co pozostawiła w domu, smutno było iść do ołtarza. Chciała przez Szklarską chociaż gotową swą wyprawę otrzymać.

Z tą troską panna Aniela znowu po kilkutygodniowym pobycie w Białymstoku wracała do Wysokiego.

Księżna Sapieżyna, przez całą drogę mając Anielę z sobą, rozmawiając z nią, przekonać się mogła, że dziewczę roiło tylko o życiu na wielkim świecie z Tołoczką, bo przez matkę nie spodziewała się nigdy wydobyć z cichego zakątka, w którym jej miłości własnej było zaciasno.

Księżna wiedziała bardzo dobrze, że rotmistrz tych pragnień wygórowanych nie był w możności zaspokoić, ale dla niej była to rzecz obojętna. Natomiast postawienie na swojem, zwycięstwo odniesione nad matką bardzo jej pochlebiało. Miała despotyzm w charakterze.

Naostatek Tołoczko w kłopotach, zadłużony, stawał się jeszcze zależniejszym od hetmana i od niej, a ona go ciągle potrzebowała. Był wtajemniczony we wszystkie jej intrygi, a co mu nakazywała, ślepo spełniał.

Przyprowadzić więc to małżeństwo do skutku było zawyrokowanem.

W Wysokiem zastała hetmanowa mecenasa Pląskowskiego, który miał sobie powierzone interesy księcia na Litwie. Prawdę rzekłszy, był to więcej daleko sługa jej, niż męża, bo tak zawsze interesami kierował, by zawsze się spełniała wola księżnej i temu był winien, że od lat dziesiątka pozostał na miejscu, dostając co roku gratyfikacyę.

Zobaczywszy go, przypomniała sobie zaraz wydziedziczenie Anieli, którem ją straszono.

— A! mój mecenasie—zawołała—rada ci jestem niewymownie, bo tobie jednemu wierzę. Ty mi powiesz, czy to może być, aby matka córkę wydziedziczyła i jej się wyrzekła?

Mecenas prosił o szczegóły, które księżna w krótkich słowach zawarła.

— Mościa księżno—odparł Pląskowski—nim na to pytanie będę mógł odpowiedzieć kategorycznie, proszę mi pozwolić sprawdzić okoliczność jedną. Oto przypominam sobie, że byłem na pogrzebie ś. p. strażnika i tam rozmowa się toczyła o jego spadku. Zdaje mi się, że nie cały majątek należy do żony, że on też coś zostawił, a to, co po nim zostało, tego nikt w świecie pannie Anieli odebrać nie może.

Hetmanowa się uradowała bardzo.

— Nie jestem tego pewnym—rzekł Pląskowski—ale jutro i tak do akt jechać muszę, zrobię kwerendę.

Nazajutrz wistocie mecenas pojechał, a hetmanowa pannie nic nie powiedziała. Trzy dni zabawiwszy, powrócił i wszedł na pokoje, podbiegła do niego hetmanowa.

— A cóż? a co?

— Nie omyliłem się!—rzekł mecenas.—Połowa majątku należy do nieboszczyka męża, a na tej strażnikowa ma tylko dożywocie.

— Pewnym jesteś tego?—zapytała Sapieżyna.

Pląskowski dobył notatki, na której stały daty zapisów; nie ulegało to więc wątpliwości.

Z wielką potem radością rozpromieniona kazała do siebie przywołać pannę Anielę.

Życie w Wysokiem od chwili, gdy się rozpoczęły intrygi z Tołoczką, było nudami, lub męczarnią. Chodziła z myślami swemi, nie mając się komu z nich zwierzyć, nierada z siebie, kwaśna. Rozrywką jej jedyną były książki, francuskie romanse, które zamiast ją pocieszać, zdawały się wyrzucać, iż próżności i dumie życie oddawała, a sercem nie żyła wcale. Lecz mogłaż pokochać Tołoczkę, Bujwida lub kogokolwiek z tych ludzi, którzy się jej nastręczali?

Jeden jedyny powierzchownością swą ją złudził, ale i ten był, niestety, tancmistrzem! Los spikał się na nią.

Weszła do salonu tak blada i smutna, że księżna....

zamiast się jej ulitować, do najwyższego stopnia tym wyrzutem została dotkniętą.

— A! moja panno Anielo—zawołała—nie czyńże się tak nieszczęśliwą! Patrząc na ciebie możnaby sądzić że ja jestem tyranem... i że wam bardzo źle u mnie.

— Niech księżna wierzy—odparła strażnikówna—że ja łaskę jej dla mnie ocenić umiem, ale tak jestem nieszczęśliwą...

Sapieżyna ruszyła ramionami.

— A ja waćpannie dobrą wiadomość zwiastuję—uśmiechając się dodała opiekunka.—Matka waćpannie grozi, że ją wydziedziczy; otóż, choćby chciała, uczynić tego nie może, bo połowa majątku należy do nieboszczyka ojca jej i na niej matka ma tylko dożywocie.

Aniela, rumieniąc się, pocałowała ją w rękę, ale zabolało ją to, że matce zarzut taki czyniono... że się musiała niemal wstydzić za nią.

Napisała zaraz tegoż dnia do Szklarskiej, że ją zaklina, aby się widzieć mogła. Długo musiała czekać odpowiedzi na list ten i nie przyszła ona wcale, ale powołana przyjaciółka przybyła sama.

Nie czyniono jej trudności z wpuszczeniem do Anieli, która z rozdrażnienia nerwowego powitała ją łzami.

— Moja droga przyjaciółko—rzekła na wstępie.—Wiesz całą tę moją historyę nieszczęśliwą. Matka mi zagroziła wydziedziczeniem. Rozeszło się to już po świecie. Nie powiem, ażeby miło mi było chodzić z tem piętnem złego dziecka na czole, jako odepchnięta przez własną matkę, ale nie mnie jedną z tej okazyi srom spotyka. Ludzie się zaczęli grzebać w papierach i doszli, że matka nie ma do tego prawa, bo połowa majątku należy do ojca. Matce więc zarzucają, że chce ludzi i swe dziecko zwodzić.

Szklarska się porwała z siedzenia. Zakryła sobie oczy.

— Daję ci słowo, że ja o tem nie wiedziałam—zawołała.—Serce matki dobrze ci życzy, pragnie twojego szczęścia, używa wszelkich środków, aby cię uratować od zguby. Tołoczko jest stary, zadłużony i człek chytry, poluje

na twój posag. Bujwida ci nie narzucają, zerwij z księżną i z nim!

— Ja! byłabym najniewdzięczniejszą!—krzyknęła Aniela.—Ja już nawykłam do innego towarzystwa... matka mnie zamknie, a potem wyda za jakiego hreczkosieja... A! nie! nie!

Zmienić jej postanowienia nie było sposobu. Szklarska więc przyrzekła jej tylko ostrzedz matkę, aby się nie narażała na złe języki, głosząc to, czego nie mogła uczynić, ale stara panna zniecierpliwiona wkońcu powiedziała prawdę Anieli, wyłajała ją i ledwie się dając nieco przebłagać, powróciła do strażnikowej.

Za nieboszczyka króla Augusta, zwanego przez Sasów mocnym, pomiędzy licznym dworem znajdował się mało komu znany, choć zaszczycony zaufaniem króla, niejaki Reinold Steinheil, który przez czas dosyć długi do osoby króla samego był przywiązanym. Nie miał ani żadnego tytułu, ani ściśle oznaczonych funkcyi, ale nawet najwyżej położeni w łasce pańskiej w hierarchii, w zaufaniu monarchy, obawiali go się.

Steinheil miał zawsze wolny wstęp do króla. Powiadano, że w jakimś wypadku życie mu ocalił i że tem miłość nieograniczoną i ufność sobie pozyskał. Utrzymywali niektórzy, że czasem, gdy August sobie pozwalał nadto, Steinheil ośmielał się mu we cztery oczy wyrzuty czynić i że widząc wkońcu króla niepoprawnym, płochym i lekkomyślnym, a okrutnym razem, do starości wyprosił sobie oddalenie zupełne od dworu, małą pensyjkę i obowiązek *sine cura* rezydenta saskiego w wolnem mieście Frankfurcie nad Menem.

Tu się w zacisze usunąwszy, Steinheil zabawiał się badaniami starożytności greckich i rzymskich, jak student. Słynął też z biegłości i znawstwa w tym przedmiocie.

Król August, gdy go sumienie gryzło, gdy miał drażliwą jaką kwestyę do rozstrzygnięcia, niekiedy potajemnie

wzywał rezydenta do Drezna, zamykał się z nim godzinami, konferował i odpuszczał obdarzonego.

Po śmierci króla Steinheil pozostał z nazwiskiem radcy tytularnego na swojem stanowisku we Frankfurcie.

August III, który pamięć ojca miał w najwyższem poszanowaniu i respekt dla ludzi, których on kochał, po śmierci jego wezwał do siebie Steinheila.

Radca przybył, zabawił tu trzy dni i po kilku długich z królem rozmowach odjechał nazad do Frankfurtu. Przed siedmioletnią wojną parę razy go sprowadzano, ale Brühl się go obawiał i nie lubił. Skończyło się na ten, iż zupełnie został zapomniany.

Po powrocie króla do Drezna, w dni parę, w porze, o której król nie przyjmował nikogo, a w przedpokoju oprócz służby, nikt się nie znajdował, znalazł się tu stary Steinheil.

Wpuszczać do króla kogokolwiekbądź bez pozwolenia Brühla było to narazić się na zemstę jego.

Powiedziano radcy, ażeby się oznajmił Brühlowi. Stary się skrzywił i zasępił.

Stał tak naprzeciw drzwi, iż za otworzeniem ich August, zawsze na jednem miejscu siedzący z fajką, musiał go zobaczyć. Traf chciał, aby drzwi się otwarły, bo jeden ze sług wychodził.

Król spostrzegł Steinheila. O mało nie krzyknął i porwał się z krzesla swego, wołając, aby go wpuszczono. Wahali się lokaje, wiedząc, co ich od ministra spotkać miało, ale król poczynał się niecierpliwić.

Wpuszczono starego przyjaciela rodziny. Król się rozpłakał. Powitanie było bardzo serdeczne.

Brühl tego dnia—było to snać w jego przeznaczeniu, zasnął dłużej nieco, potem przeciągnął z jakiegoś powodu przyjście na zamek, tak, że gdy przybył tu, nie zastał już króla Augusta.

Służba zdumioną była tem, że tego dnia król się emancypował i okazywał swą wolę.

Ranek był bardzo piękny, powietrze czyste i łagodne. August, który od przyjazdu z Warszawy chodził posępny

i niespokojny, szukał widać sobie jakiegoś ratunku, pociechy, rozrywki. Steinheil nastręczył zręczność do tego.

Czy chciał N. Pan użyć świeżego powietrza, czy uciec od natrętów i sam na sam zostać ze sługą ojca, nikt nie odgadywał; faktem było, że nikomu nie rozkazując sobie towarzyszyć, dwie lektyki dworskie zawołać kazał i siadłszy do jednej, w drugiej polecił nieść za sobą radcę.

Niesiono ich wprost do Bażantarni.

Przed tym pałacykiem, teraz pustym, około którego domki małe zajmowali w części oficyaliści, stanęły obie lektyki. Król, opierając się na lasce wysiadł. Oczy miał nabrzmiałe, twarz zarumienioną do zbytku, oddychał ciężko.

— Patrz-że mój Steinheil—odezwał się—jak tu dziwnie i nic się nie zmieniło i wszystko teraz jest inaczej! Próżno mi perswadują,—ja się w Dreznie nie czuję swobodnym panem. Co chwila się boję, aby mnie gruzy nie przysypały.

Steinheil słuchał z uwagą i poszanowaniem.

— N. Panie—rzekł,—ja toż samo tu czuję.

— Poczciwy Brühl stara się we mnie wmówić, że ja z tej wojny wyszedłem jeszcze zwycięsko—pocichu, idąc zwolna, począł mówić król.—Mnie tu nikt prawdy nie powie, chyba ty. Oni mi mówią, że powinienem być szczęśliwym,—ja się czuję upokorzonym i biednym.

Zdaje się, że zagadnięty tak rezydent znalazł się w bardzo przykrem położeniu. Dumał z głową spuszczoną, nie odpowiadając nic. Król zamilkł także, aż wkońcu Steinheil rzekł:

— Prawdę mówić, N. Panie, często rzecz i niebezpieczna i mało pożyteczna. Człowiek lubi się łudzić, wielu tej gorzkiej medycyny nie znosi.

— Ja, ja—wyjąknął August—zdaje mi się...

— N. Panie—przerwał Steinheil—monarchowie wogóle rzadko prawdę słyszą, a W. Kr. Mość nie stanowicie wyjątku.

— Ale Brühl mówi mi wszystko—zawołał król.

— Tak, N. Panie, wszystko, co znajduje właściwem, a co nie zaburza spokoju W. Kr. Mości.

— Co trzymasz o Brühlu?—wtrącił August.—Zdolności ogromne, miłość dla mnie niewzruszona?

Steinheil się uśmiechnął bardzo nieznacznie, lecz król, który niespokojnie go badał, dojrzał ten nienarodzony półuśmiech i zasępił się.

— Gdyby nie Rosya — rzekł—gdyby nie Moskwa, Brühl tak prowadził interesy moje, że bylibyśmy wszystko odzyskali. Ocalił wiele, honor mój cały. Saksonia odżyje... Polska wybierze po mnie jednego z synów... Alboż to nie świetny koniec takiej zajadłej wojny? Siedem lat wytrwać, alboż to nie bohaterstwo?

Za każdym frazesem król się zatrzymywał, spodziewając odpowiedzi. Steinheil patrzył w ziemię i milczał. August łagodnie, jakby go chciał przebudzić z uśpienia wziął za suknię i rękę położył na ramieniu.

— Mów, mów—odezwał się łagodnie...—Od mojego powrotu męczę się myślami. Cierpię... Brühl mnie pociesza... ale wewnątrz czuję, słyszę jakieś głosy.

Rezydent zwolna podniósł głowę, stara jego jakby z pergaminu wykrojona twarz, przybrała wyraz uroczysty, poważny.

— N. Panie—odparł.—Ci, co mówią ci pochlebstwa, kłamią, a głos twój wewnętrzny prawdę ci mówi. Siedmioletnia wojna zadała ci cios śmiertelny. Prusy rozpoczęły te zdobycze, które się skończą ich panowaniem nad Niemcami całemi. Nie twoja jedna korona zachwiała się na skroni. Cesarska także chwieje się i spaść może.

August stał blady.

— Polska nie ucierpiała nic za mojego panowania, wojna jej nie tknęła—począł żywo;--spodziewam się miłości od nich, rządziłem łagodnie, nie posadziłem nikogo na Königsteinie. Saksonia, boli mnie to, mówią, że wycieńczona, ale Brühl powiada, że ją zniszczył Szwed, a Prusacy już przyszli na wynędzniałą. Jednakże podatki płacą, pieniądze mamy, nie brakło ich nigdy, nigdy. Pytałem o to Brühla.

— N. Panie, jeżeli była czyja wina—rzekł Steinheil,—to pewno nie twoja.

— Brühlowi winienem największą wdzięczność—

mówił August—a za to, że się dla mnie poświęcił—ściga go nienawiść, obrzucają go potwarzami.

Rezydent zamilkł.

— Mówże—nalegał król.

— Nie będę kłamał—odparł Steinheil — ale poco Wam N. Panie, po czasie zgryzoty szukać? Brühl służył wam może dobrze, ale sobie lepiej jeszcze, uczynił was niewolnikiem, nie dopuścił ludzi, ani prawdy do uszu waszych...

— Jakto? I ty go obwiniasz?—przerwał król przestraszony.

— Ja nie! ale własne jego sprawy...—począł powoli Steinheil.

August na chwilę zamilkł oniemiały. Podeszli kroków kilkanaście.

— Nie uwierzysz—zaczął król znowu, zmieniając ton—jak mi smutno teraz. W tym ogrodzie za życia mojego ojca, co to była za wesołość, jaki przepych, jakich tu miewaliśmy gości! A ja, ja... nie mam już takiego myśliwstwa. Opera mi nie smakuje, trzeba ją odnowić. Nikt do mnie nie przyjeżdża, aby mi powinszować powrotu.—Nie Brühl temu winien, ale moje przeznaczenie. Gdyby nie Brühl, byłbym najnieszczęśliwszym z ludzi. Patrz-że z siedmioletniej wojny, która mogła pożreć wszystko i pochłonąć, wszystkie klejnoty ocalone. Galeryę schował do Königsteinu i ona ocalała. Bez niego czy jabym dał radę sobie z burzliwymi Polakami? On dopiero ich okiełznać potrafi. Sam się zrobił Polakiem, aby tego dokonać. Wiesz ty o tem?

— Słyszałem, N. Panie—westchnął rezydent.

— Widzisz, ja jemu winienem wszystko.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, król się żywiej trochę poruszył.

— Przekonałem cię?—zapytał.

— Nie, N. Panie—rzekł Steinheil.—Z innym człowiekiem tybyś ucierpiał więcej, ale Saksonia nie miałaby w sobie zarodu śmierci, zyskałbyś przynajmniej wieniec i palmę męczeńską.

Zachmurzył się król.

— Nie mogłem zrobić nic więcej—rzekł po namyśle.—Brühl nie winien nic.

I wśród milczenia powtórzył kilka razy z niespokojnem naleganiem też słowa.

— Nic! nic!

Rezydent schylił głowę.

— Ja ci tego nie mam za złe, że ty go nie oceniasz sprawiedliwie, ja jeden go znam. Wierz mi. Wiem, że ma nieprzyjaciół, ale heroicznie znosi pociski, które na niego miotają. Co za człowiek!

Steinheil nie odważył się już powiedzieć nic więcej. Król, jakby czuł potrzebę wywnętrzenia się, ciągnął dalej.

— Nie mogło być inaczej, a gdyby inaczej było, to nierównie chyba gorzej. Wystaw sobie pałac mu zburzyli... te piękne sale, tę bibliotekę, te obrazy... czego nie pochował, to wszystko zniszczono... przez zemstę nad nim... bo on mnie ocalił! on!

— Ocalił!—wyrwało się Steinheilowi.

— Bez niego byłoby tysiąc razy gorzej—ciągnął dalej król.—Na zamku prawda, nie tknęli nic, tylko to archiwum.

— A! wiem o archiwum—zawołał rezydent,—bom słysząc, co zaszło z królową, omało nie umarł z bólu i wstydu.

August pobladł jak ściana.

— Archiwum i królowa?—zapytał—ale cóż wspólnego ma nieboszczka święta pani z archiwum?

— N. Pan nie wiesz?

— Ja? nie!—odparł król.

— Aleś wiedzieć powinien—odezwał się Steinheil. Królowa przeczuwała, że do archiwum dostać się zechcą. Leżała chora, kazała się podnieść, prowadzić i wziąwszy klucze, siadła we drzwiach archiwum, aby nie dopuścić łupieży.

Król czerwienił się i blednął. Wargi mu drżały.

— Nie pomogło to nic—dokończył rezydent,—kazano żołnierzom ująć królowę i opierającą się, krzyczącą żołdacy gwałtem odnieśli, aby drzwi mogli wyłamać.

Król słuchał i łzy mu z oczów ciekły.

— Nie powiedzieli mi tego—szepnął.—Na jutro nakażę nabożeństwo uroczyste za jej duszę. Heroiną się stała... gdy ja.... Ale cóżbym ja poradził tu, gdybym został? Czyżby oni mnie poszanowali?... Biedny Brühl, ile go to kosztować musiało, aby zataić to przede mną, aby mnie goryczą nie napoić!

Zmęczony niedługą przechadzką, August usiadł na ławce, sparł się na lasce i głęboko zamyślił. Stojący przed nim rezydent z politowaniem patrzył na niego, nie śmiejąc już się odezwać. Król, jakby o nim zapomniał, po długim przestanku podniósł głowę, potoczył wzrokiem dokoła.

— Wszystko tu posmutniało—rzekł.—Jeździłem do Hubertsburga, byłem w Moritzburgu, zwierzyny prawie niema, tak mi ją Prusacy wybili, ale Brühl mówił, że się rozmnoży rychło... Radziwiłł gotów mi ją z Litwy przysłać. Wiesz? on jeździ niedźwiedziami. Kazałem tu przysłać żubry, których niema w Europie, ja jeden je mam... tem się król pruski nie pochlubi!

Wstał nagle.

Lektyki i ludzie, mający je nieść, w kanarkowych frakach, z granatowemi wyłogami, stali pokornie na stronie... ruszyli się ku lektykom. Wtem dał się słyszeć turkot powozu. Karetka mała, parą koni pięknych zaprzężona, w złocistych szorach, biegła w tę stronę.

— To Brühl!—zawołał król uradowany i zwracając się do Steinheila, szepnął—ja mu nic nie powiem.

Rezydent miał wielką ochotę oświadczyć, że tajemnicy z myśli swych nie czyni, ale nie miał czasu już na odpowiedź i król się oddalił, wyszedłszy naprzeciw ministra.

Na twarzy Brühla dziwnie się mieszały dwa sprzeczne wyrazy —wielkiej radości kłamanej i wielkiego niepokoju rzeczywistego.

Ucałował naprzód rękę królewską, a gdy August powiedział mu jedno słowo tylko—Steinheil!—rzucił się z przesadzoną czułością witać go i ściskać.

Rezydent przyjął to z wielkiem umiarkowaniem, możnaby powiedzieć ze wstrętem.

— Wierny, stary sługa W. Kr. Mości—rzekł minister—ale ten ranek... był dla mnie niespodzianek pełen. W. K. Mość wyjechałeś nie o swej godzinie. Co powie doktór, który zalecił ostrożność taką? Przeraziłem się...

— Ja bo się zdrów czuję—rzekł August—ranek piękny, no i Steinheil mi się trafił!

— Gdzie?—zapytał Brühl.

— Zobaczyłem go przez drzwi otwarte i natychmiast przywołałem...

Podejrzliwie spoglądał Brühl na rezydenta, który milczał.

— Powróćmy na zamek—odezwał się August—jeżeli doktorowie nie pozwalają.

Uśmiechnął się Steinheilowi.

— Niech cię niosą za mną, ja cię jeszcze chcę widzieć.

I skinął na niego tajemniczo, ale Brühl pochwycił to przelatujące skinienie.

Steinheil wsiadł do lektyki spokojnie. Brühl do powozu swego. Konie musiały iść noga za nogą, bo minister nie chciał króla odstąpić ani na chwilę. Droga do zamku trwała dosyć długo.

Zbliżając się ku niemu, Brühl zatrzymał swój powóz, wysiadł i przystąpił do królewskiej lektyki. Tu pochylony, w postawie pokornej, bardzo długo z królem rozmawiał. Królewską lektykę wnoszono w bramę zamkową, gdy Brühl odstąpiwszy od niej, skierował się ku Steinheilowi...

Pomógł mu wysiąść z tego pudełka, w którem był zamknięty i przywitał nadzwyczaj miłym uśmiechem.

— Panie radco—odezwał się—nie wiem, czy król J. M. kazał wam się stawić zaraz na zamku, ale mnie dał polecenie powiedzieć wam, że się czuje trochę zmęczony i życzy, abyście poczekali, aż wezwać was każe.

— Byleby to niezbyt długo trwało, bo ja nie dworak, życzę sobie do Frankfurtu powrócić.

— Macie słuszność, Frankfurt jest jednem z najprzyjemniejszych miast niemieckich—mówił Brühl—pobyt w nim bardzo miły, woda bardzo zdrowa... klimat łagodniejszy, niż u nas.

Rozśmiał się wkońcu.

— I pieniędzy tam mają dużo... Żegnam was—dodał—dam znać, gdy król wezwać was raczy.

Rezydent nic nie odpowiedział i poszedł pieszo do gospody.

Niespokojny, rozdrażniony Brühl rozpoczął na zamku od śledztwa, kto śmiał Steinheila wpuścić tak do przedpokoju, ażeby go N. Pan mógł spostrzedz.

Jedni składali na drugich. Brühl przypominał, że za zbrodnię dopuszczenia kogoś bez jego wiadomości karą było wygnanie. Nastraszył wszystkich, ale nie wypędził nikogo.

Przygotował się do rozmowy z królem sam na sam. Skutkiem długiego obcowania z królem miał dar szczególny, zgadywał on, co na wszelki przypadek król miał odpowiedzieć, a nawet co uczynić. Rachuba nigdy go nie myliła. Grał tak na duszy jego, jak wirtuoz na znanem sobie muzycznem narzędziu. Łatwo mu więc było doprowadzić Augusta, gdzie chciał i potrzebował.

Przed wejściem do gabinetu, w którym król przez znaczniejszą część dnia fajkę palił, Brühl się zatrzymał u progu, jakby układał program.

Wszedł wesół i słodki, uśmiechnięty, dobroduszny, nadewszystko pokorny. August spoglądał na niego z czułością i myślał w duszy.

— I tego człowieka śmieją obwiniać!

— A! uradowałem się też, zobaczywszy Steiheila — zawołał.—Tyle go czasu nie widziałem, a tak go szanuję... O, to człowiek!!

Król słuchał widocznie uradowany.

— I ani się dobija wywyższeń, tytułów, majętności; pragnie tylko służyć wiernie swojemu panu! Nieoceniony człowiek!

Król coraz żywiej puszczał kłęby dymu... a fizyognomia jego potwierdzała.

— Takich ludzi mało—ciągnął dalej Brühl.

— Bardzo mało—potwierdził August.

— Nieszczęście tylko, że Steinheila i jemu podobnych do niczego użyć nie można, choć oniby byli do wszystkiego zdatni.

Król zachęcał do mówienia, ale sam nie wtrącał nic.

— Nieoszacowani w zwykłych życia okolicznościach,

wśród zawikłań politycznych głowy tracą. Ze złymi, przewrotnymi ludźmi mając do czynienia, polityk musi odgadywać złe myśli i czasem, aby zapobiedz nieszczęściu, sam się postawić w dwuznacznem położeniu. Tego Steinheil, otwarty do zbytku, weredyk, apostoł prawdy, nie umiał nigdy. Najzacniejszy z ludzi, ale najmniej użyteczny. We Frankfurcie na swojem miejscu, ale na dworze, w ministeryum, którego byłby godnym... a jabym go rad tak w niem widział, byłby szkodliwym nam i sobie! Jaka to szkoda! Ja go tak kocham...

— Poczciwy Brühl—odezwał się król rozczulony—ty masz rozum i baczność na wszystko.

Brühl stał chwilę wpatrując się w królewskie oblicze.

— Jak się W. Kr. Mość dzisiaj czuje?—zapytał.

— Nieźle —odparł—August.

— Trzeba się oszczędzać—dołożył minister—a nadewszystko porządku życia nie zmieniać. Ja się obawiam o tę ranną przejażdżkę do Bażantarni i to jeszcze w towarzystwie tego najzacniejszego Steinheila, który ma dar karmienia i pojenia goryczą.

Król spojrzał zdumiony tem, że odgadnięto rozmowę.

— Dlatego—dodał minister—jeżelibyś W. Kr. Mość życzył sobie widzieć się i mówić z Steinheilem, jako antidotum mieć trzeba kogoś, coby był obdarzonym weselszym poglądem na rzeczy. Ale jabym był tego zdania—dodał—abyś W. Kr. Mość nie zaraz przynajmniej kazał go zawołać. Ja sam tego doświadczam; po każdej z nim rozmowie wypoczynek pewien jest potrzebny.

— Sądzisz?—spytał król.

— W. Kr. Mość masz ślady znużenia na twarzy—dodał Brühl.

August spojrzał w zwierciadło. Wistocie twarz miał nabrzękłą i jakby nalaną. Powieki ciężkie, senne zapadały mu na oczy, skóra fałdowała się około ust zaciśniętych.

— Przyznam ci się, że chciałem widzieć tego poczciwego Steinheila—rzekł cicho.

— Ale dlaczegóż nie,—i owszem—przerwał minister—nie wiem tylko, jak W. Kr. Mość tem rozporządzisz. Mnieby pilno było bardzo posłać go do Frankfurtu właśnie dla naradzenia z rezydentem cesarskim co do... przyszłej sukcesyi tronu. Nie radbym tego odkładać, Steinheil jest mi potrzebny, jemu jednemu to powierzyć mogę, bo jego jednego jestem pewnym. Więc chybabyś N. Pan za powrotem jego?

Król głową dał znak przyzwolenia.

— Pożegnajże go ode mnie—rzekł łagodnie.

Brühl się skłonił.

W godzin parę potem karetka jego stała przed Złotym Aniołem, w którym Steinheil zajmował małą izdebkę.

Na stoliku leżał otwarty Tacyt, który w drodze mu towarzyszył. Steinheil, stojąc, czytał z niego coś, kończąc kawałek chleba posmarowany ulubionym mu gęsim szmalcem. Wszedł Brühl i niezmiernie uprzejmie go powitał.

— Przychodzę od króla—rzekł.—N. Pan, który do waszych usług najwyższą przywiązuje wagę, prosi cię, abyś do Frankfurtu pośpieszył. Kazał mi wyrazić ubolewanie, że się na ten raz widzieć z wami nie będzie, a tyle sobie z tego obiecywał rozkoszy! Ale król swoją rozkosz zawsze jest gotów dla dobra kraju złożyć w ofierze. Święty to monarcha.

Steinheil milczał, ocierał usta i patrzył na Brühla, jak się czasem spogląda na wyprawiających hece. Minister mówił żywo.

— Zdaje mi się, żeście mi oświadczyli, że życzycie sobie powrócić do Frankfurtu.

— Jak najrychlej!—rzekł rezydent.

— Wracajcież, gdyż i sprawy króla tego wymagają—dodał minister.

— Nie omieszkam—zamknął lakonicznie Steinheil.

— Mam królowi co powiedzieć?—zapytał Brühl.

— Wyraźcie mu cały smutek mój, iż ręki jego ucałować nie mogę—rzekł Steinheil.—Jadę dziś jeszcze.

— Czynicie rozumnie, chwili dziś niema do stracenia—mówił Brühl.—Wojna jest skończona na pozór, myśmy ze wszystkich zasadzek wyszli zwycięsko, ale dlatego nieprzyjaciele nasi, pozorni zwycięzcy, wycieńczeni, osła-

bieni, nanowo kopać pod nami poczynają doły. Wy jesteście naszą przednią strażą.

Steinheil słuchał tylko. Brühl, mający nadzieję dobyć coś z niego, przekonawszy się, że nie jest skłonny do zwierzeń, spojrzał na zegarek, podał mu rękę i pożegnał go.

Steinheil nie odprowadził go nawet do wschodów.

Na dole przyparta do wrót stała niepozorna bardzo figurka, mężczyzna w wyszarzanym kapelusiku na peruczce rudej. Minister spojrzał na niego i dał mu znak. Mijając go, rzucił mu w ucho.

— Ani kroku stąd, dopóki nie wyjdzie... i dać znać..

Niepozorny człowieczek słuchał jednem uchem, drugiem chwytał, co się działo około niego. Brühl zniknął, a on pozostał w miejscu, jak przykuty.

W izdebce, zajętej przez Steinheila, po odejściu ministra rozległ się śmiech szyderski. Rezydent złożył Tacyta i począł się ubierać na drogę.

Niepozorny ów stróż, który pozostał u wrót gospody, szukał sobie wygodnego miejsca, w któremby mógł, spoczywając, nie tracić z oczów ruchu, jaki panował pod Aniołem i tak dobrze umiał się zaszyć w kątku, iż nikt jego bytności nie dostrzegł.

Steinheil miał między Polakami i Niemcami przyjaciół. Gdy się dowiedziano o nim, poczęli go odwiedzać wszyscy. Posłał był już na pocztę po konie, gdy szambelan królewski, Zabiełło, zapukał, i nie czekając odpowiedzi, wszedł do niego.

— Kochany panie radco—odezwał się od proga—nie posądzaj mnie o natrętność, gdy cię nudzić przychodzę na wsiadanem.

— A skądże wiecie, że mam wsiadać—zapytał rezydent.

— Przypadkiem — odparł szambelan, oglądając się dokoła. — Nie przychodzę z własnej woli, ale jestem przysłany do was.

— Jeszcze od Brühla?—zapytał Steinheil.

— Ja od Brühla?—ofuknął Zabiełło. W wielkim sekrecie sam Król J. Mość do ciebie mnie posyła.

— W sekrecie przed Brühlem?—zapytał Steinheil.

Zabiełło skłonił głowę.

— Kazał mi przeprosić, że cię już widzieć nie może, czuje się chorym, a ty, biedny panie radco, musisz, jak się zdaje, w pilnych sprawach do Frankfurtu powracać.

Śmiał się Steinheil.

— Wistocie — rzekł — sprawa pilna... mówiono mi o wynalezieniu nieznanego ułamku pism Cicerona, rozumiesz panie szambelanie, że potrzeba śpieszyć, aby się z tem poznać.

Zabiełło stał, patrząc mu w oczy.

— Biedny król—westchnął—otoczony jest taką troskliwą opieką, że się ona równa niewoli. Miałżebyś ty, panie rezydencie, podejrzanym być, żeś go z niej chciał wyzwolić.

— Nie wiem, ale dziś rano król mi dał posłuchanie bez wiedzy dyktatora i zostałem za to ukarany. Schwytano nas na gorącym uczynku tajemnej narady w Bażantarni!

— Jakto? król śmiał ? bez pozwolenia?

— Bez wiedzy nawet—dokończył Steinheil.— Domyślałem się, rozstając z nim, że mnie już tam więcej nie dopuszczą.

— Biedny nasz pan—rzekł Zabiełło.—Kazał mi wam wyrazić cały swój dla was szacunek i obiecuje wkrótce powołać do Drezna.

Rezydent zadumał się milczący.

Znalazłem go strasznie zestarzałym i zmienionym—odezwał się po małej pauzie.—A wy?

— Niestety!—odparł Zabiełło —bogdajbym nie był prorokiem. Dni jego są policzone. Gryzie się i niepokoi, kłamie sam przed sobą, czepia się Brühla... w polowaniu i operze szuka pociechy, ale jej nigdzie znaleźć nie może. Widmo Fryderyka, którego ciężkie stopy wszędzie się tu wypiętnowały, chodzi za nim. Widmo królowej, która tu znękana i upokorzona, umarła, wyrzuca mu słabość jego.

— A Brühl?—zapytał Steinheil.

— Jest, czem był—odparł szambelan.—Potrafił króla uczynić swym sługą i drży, aby się na nim nie mszczono

tej niewoli. Tu przyszły elektor, książę Kurlandyi, Chevalier de Saxe, cała rodzina ze zgrozą patrzą na to, na co myśmy w Polsce przez lat kilka patrzyli i zemsta dojrzewa w ich sercach. Wie i czuje, ale nie może zmienić nic, ani się cofnąć. Wie, że gdy król oczy zamknie, on z nim umrzeć powinien, aby nie poszedł na Königstein lub wygnanie. Mówią, że nosi przy sobie drogo opłaconą truciznę, ażeby swej władzy nie przeżyć.

Steinheil podniósł ręce.

— O biedny ten oślepiony pan nasz—zawołał.— Nigdy on nie przejrzy? nikt-że mu oczów nie otworzy?

— Operacya ta byłaby zapóźną—odparł Zabiełło.— Wszystko, co mogło dotknąć Saksonię i Polskę, spełniło się już!

Zabiełło westchnął.

— Król nie najlepiej wygląda—rzekł rezydent.

— Bardzo źle nawet—dodał Zabiełło.—My, co go kochamy i bolejemy nad nim, ze strachem patrzymy na jego oblicze.

— Historya nam nie daje przykładu takiego panowania —po chwili namysłu rzekł Steinheil.—Kilkadziesiąt lat trzymać króla nieprzystępnym, nieświadomym, pojonym kłamstwem, nie dać mu się przebudzić i przejrzyć, pieścić go, aby samemu nad nim i nad krajem panować!

— Zbogacić się, urosnąć —dorzucił Zabiełło.—Kraj nasz zawichrzony też z jego łaski... leży dziś bezsilny, zdany na samowolę tego, co go zechce opanować.

— Ale pocóż te żale daremne—dodał—my, panie radco, zamiast starożytnego *fatum*, które tłumaczyło wszystko, mamy naszą chrześcijańską wiarę w Opatrzność Bożą. Pocieszamy się nią. Rzeczpospolita dźwignie się... a i Saksonia odrodzić się może.... bogdajby tylko nie wydawała na świat więcej podobnych ministrów.

— Saksonia? — podchwycił Steinheil —przepraszam was, panie szambelanie, ten mąż wielki nie urodził się w Saksonii, przyszedł do niej na służbę... i tak samo się wpił w nią, jak we wnętrzności wasze, wywodząc się z polskiego rodu. Wszystko w nim było kłamstwem, począwszy od

religii aż do skóry. Maluje się, jak kobieta, a wiarę mienia jak suknie. Ewangelik w Dreznie, jest katolikiem w Warszawie.

Steinheil śmiał się gorzko.

Wtem przed hotelem zabrzmiała trąbka pocztowa i sługa rezydenta wszedł ubrany już do podróży.

— Bądź zdrów, panie szambelanie, ucałuj rękę tego biednego króla mojego, którąbym chciał rozkuć, ale już dziś za późno!

Zabiełło wkrótce potem wyszedł z hotelu i wrócił na służbę do zamku.

Król, widząc go z powrotem, nie miał pokoju, aż mijając go, ostrożnie mu szepnął:

— Byłeś u niego?

— Byłem gdy wsiadał do powozu, z rozkazu ministra pośpieszając z powrotem na swe stanowisko.

August trochę się zdziwił temu pośpiechowi, lecz zdawał się swobodniej oddychać.

U drzwi pałacu Brühla, który już znowu wspaniale wyglądał, bo potłuczone posągi odzyskały, co z nich pruscy żołnierze otłukli i ściany świeciły nową sukienką, stał niepozorny człeczek i patrzał we wnętrze, gdy powóz ministra wyjeżdżał, wioząc na wieczór ustrojonego Brühla.

Zobaczywszy go, podniósł się minister, i pochylił ku niemu.

— Wyjechał!—szepnął prędko człek mały.

— Był kto u niego?

— Szambelan króla, Polak.

Minister zbladł i zagryzł usta.

— Który?

— Najsłuszniejszy i z największemi wąsami—rzekł zapytany.

— Zabiełło!—mruknął Brühl.

Powóz, który niby przypadkiem zwolnił biegu w bramie, na dany jakiś znak ruszył nagle a Brühl znalazł się z przeciwnej strony na poduszkach jego, w głębi.

W przyciemnionym pokoju gościnnym u pani strażnikowej trockiej odbywał się rodzaj rady familijnej. Kilka osób z twarzami smutnemi otaczało biedną Koiszewską, która miała głowę i gardło podwiązane, a głos jej schrypły, ciężki, gdy się z tych ust dobywał, tak był stłumiony, iż ledwie go zblizka dosłyszeć było można.

Na stole stały zapomniane szczątki zastygłej kawy poobiedniej i butelka omszona. Wszyscy byli znużeni spoglądali po sobie i oczyma się pytali siebie.

— Długoż to tam tego będzie jeszcze?

Pierwsze miejsce przy kanapie zasiadał naturalnie Gliński, który je sobie zawsze umiał przywłaszczyć. Prawnik, mecenas Tołudziejewski, przywieziony przez niego, siedział na krześle, przez uszanowanie nieco w tył cofniętem, z włosem do góry nastrzępionem i fizyogomią, wyrażającą postrach, groźną i nachmurzoną.

Jeszcze dalej krył się w kątku Bujwid i dwóch ubogich krewnych milczących. Panna Szklarska i staruszka w białym czepcu z żółtemi wstążkami, obok strażnikowej, naostatek mała Skrzyńska dopełniały tego frasobliwego zgromadzenia.

Głos miał Gliński.

— Cóż tu mówić o praeponderacyi i przemocy, jaką na nas wywierają te familie, co sobie nad nami regimen przywłaszczyły w sprawach politycznych, gdy nawet stosunki nasze rodzinne wolne od gwałtów nie są. Któż pani hetmanowej polnej prosił o tę opiekę nad osobą, mającą matkę i majątek, a nie potrzebującą ani rady, ani darów? Że się panna strażnikówna dała uwieść splendorem domu, zaszczytem spoufalenia z księżną jejmością, dziwić się nie możemy, ale że z tego księżna korzystać się ośmiela, podziwu godnem jest. Do Trybunału o rapt pozywać trudno.

— Słyszałem—przerwał Tołudziejowski —iż jakieś obietnice dobrodziejstw poczynione zostały.

— Obietnice uczynić—obiecanka, cacanka... pańska rzecz—wtrącił Gliński.—Ale jakaż nadzieja, aby się one ziściły, gdy hetman i hetmanowa nawet własnych

wierzycieli wiatrem, to jest słowem, kontentować są zmuszeni.

— Ja ich dobrodziejstw nie potrzebuję—z oburzeniem odezwała się Koiszewska.—Nie należeliśmy i nie należym do tych, którzy klamki się trzymając, z panów żyją i tyją.

— Najsmutniejsze to, że panna Aniela po ich stronie —wtrącił Tołudziejowski.

Szklarska się poruszyła na swem krześle.

— Cóż w tem dziwnego?—zawołała.—Dziewczę niedoświadczone obałamucić nic łatwiejszego! Bo żeby się choć kochała w tym gachu pięćdziesięcioletnim, żeby taki zachwycający był... ale to stary rzemień. Żołdakami dowodzić i ogony końskie wozić przed hetmanem, tyle jego, a do zalotów ani ma postawę, ani wiek jego po temu.

Tołudziejowski, demagog, gdy mu było potrzeba, przerwał głośno, jakby stał przed kratkami.

— Ogólne to prawo, gdy ci magnat dobrodziejstwo chce uczynić, patrzaj dobrze, pewnie miodem smaruje usta, by wyrwać ząb trzonowy. Tak i tu. Z kieszeni pani strażnikowej trockiej życzą sobie wynagrodzić imię pana buńczucznego, który im faktorował po sejmikach i spełniał wszelkie usługi. Pani hetmanowa kocha tak pannę strażnikównę, aby ją staremu dać. Tołoczko *ultimis spirat*, bo mu już pono mięsa na kredyt nie dają... więc się posag przyda.

— Ja żadnego nie dam!—zawołała strażnikowa.

— Ze swojej substancyi—rzekł Tołudziejowski — ale rozpatrzmy się, czy nic nie dać można. Co pan strażnik zostawił po sobie?

— Nic—krótko i gniewnie rzekła strażnikowa.

— Przecież?—spytał Gliński.

— Mieliśmy z mężem wszystko wspólne na przeżycie—odezwała się gospodyni—a ponieważ Bogu się podobało mnie uczynić nieszczęśliwą wdową...

— Za pozwoleniem—rzekł poważnie Gliński.—Podobno te zapisy na przeżycie, z powodu zmienionego stanu fortuny, uległy modyfikacyi za wspólną zgodą małżonków. Rozdzieliliście państwo fortunę na dwie schedy.

Pozostała tedy scheda nieboszczyka, która na córkę przypada, *salvo advitalitio* pani dobrodziejki.

— Takby to było—żywo poczęła Koiszewska—ale mój mąż, czując się chorym, naprawił omyłkę i znowu mi schedę swą zapisał.

— Ale tego w aktach niema—odparł Tołudziejowski.

— Tak, to prawda, spisał wolę swą ostatnią przy jednym świadku... nie było nawet czasu przyłożyć pieczęci, ale co to ma do ważności rozporządzenia? Nikt mi nie śmie zaprzeczyć!

— Za pozwoleniem—przerwał znowu Tołudziejowski.—Córka nie będzie negować, ale zięć może i będzie. Rozwinie się tedy akcya o ten dokument, który trudno, aby się utrzymał w znaczeniu swem. Przewidujmy najgorsze.

— Ja pójdę choćby do Trybunału—oparła się strażnikowa.—Apelować będę, niebo i ziemię poruszę, grosza nie dam.

— Pani strażnikowo!—przerwał Gliński.—Nie godzi się mścić na własnem dziecku.

— Nieposłusznem, krnąbrnem!

— Obałamuconem—rzekł Gliński.

— Ale ja proces ten wygram. Chybaby w świecie sprawiedliwości nie było!—wykrzyknęła, kaszląc mocno strażnikowa.

— Jabym za to nie ręczył—reflektował Tołudziejowski.

— I skandal.... ludzkie języki—dodał marszałek.

— Ale radźcież mi, proszę, jak ja inaczej postąpić mogę?—z płaczem prawie poczęła strażnikowa.—Odbierają mi córkę, chcą wyrwać majątek... a ja mam z pokorą przyjąć to i... milczeć. Nie byłabym Koiszewską.

Wszyscy zamilkli.

— Jabym radził—rzekł Gliński—córce dać wolność wyjścia za mąż, tylko z tą groźbą, że jej pani strażnikowa znać nie chce, jako swe dziecko. Co się tyczy wiana, niech idzie wedle prawa, ale niech Tołoczko pozywa, waćpani się broń, ani grosza nie dać... w sądach pójdą dela-

ty, odkładania, wyroki i kassaty, rozpoczynanie *ab ovo*, *de noviter repertis*, dwadzieścia lat się to ciągnąć może, a waćpani dobrodziejka nie dasz złamanego szeląga, krom tego, co wezmą mecenasi.

Rozśmiał się Tołudziejowski.

Strażnikowa nie replikowała.

— A ja powiadam—odezwała się Szklarska—że to wszystko daremna zgryzota.—Strażnikowo tylko miej cierpliwość. Im panna Aniela dłużej pobędzie u hetmanowej, im się lepiej przypatrzy, im się rozsłucha więcej, a Tołoczkę pozna bliżej, tem pewniejsze, że powróci do nas ze skruchą. Za rotmistrza nie ręczę, czy, gdy się dowie, iż na posag czekać trzeba, nie cofnie się. Za hetmanową, gdy ją to znudzi, iż musi matkę zastępować nie sercem, ale workiem, bo nawet wyprawy nie damy, nie ręczę, żeby rąk nie umyła.

— Naówczas ja—wtrącił, śmiejąc się starosta pogorzelski—submituję się, jako zastępca rotmistrza, chociaż bez buńczuka.

— Niema z czego żartować—westchnęła strażnikowa.

— Ja też wcale nie lekko to mówię—rzekł Bujwid.—Mam nawet prawo stanąć, jako pretendent, gdy mnie za pannę obcięto.

— Tołoczce waćpan dwa palce obciąłeś!—śmiejąc się, dodała Szklarska — będziesz musiał za to grzywny zapłacić.

— Gotówem, gdy mi dowiedzie, że były warte choć tynfa... i że niemi, gdy je miał, zrobił co dobrego.

Tołudziejowskiemu rozmowa, przechodząca w żarty, nie podobała się; począł papierami, które trzymał na kolanach szeleścić.

— Tandem — rzekł — radźmy, a nie prawmy *iovialitates*, bo nie pora.

— Nie dam nic—zakończyła strażnikowa—zresztą gdy i błogosławieństwa odmówię, niech sobie robią, co chcą... A że się przebłagać nie dam, to pewna!

Gliński pochylił się i w rękę ją pocałował.

— Cierpliwości tylko strażnikowo dobrodziejko— rzekł.—Widzę ze wszystkiego o czem się tu dowiaduję,

że dotąd się nic nie stało, coby się odstać nie mogło. Z obu stron straszycie się, spieracie, a przy acani dobrodziejce jest i prawo i słuszność. Hetmanowa radaby zaimponować; nie dać się trzeba i stać przy swojem. Gdy córka zobaczy, że tego starego pretendenta do ręki inaczej mieć nie może, tylko narażając się na niełaskę matki, na wyrzeczenie się,—w ostatniej chwili rozmyśli się i powróci z pokorą prosić o przebaczenie.

— Święte słowa pana marszałka—potwierdził Toludziejowski—inaczej być nie może!

Powoli wszyscy zaczęli potakiwać marszałkowi; pani Koiszewska uspokoiła się.

— Cóż mam robić? — zapytała.

— Nic, obojętnie patrzeć i nie okazywać wcale niepokoju—dodał Gliński.—Powiedziałbym śmiać się, gdyby godziło się tak poważne sprawy śmiechem zbywać. Przyślą może prosić o wyprawę, bo ta podobno była gotową.

— Nie dam jej—przerwała strażnikowa.—Jeszcze czego?!

— Za pozwoleniem—kończył Gliński.—Co się tyczy wyprawy, ściśle wziętej, jak pani chce, ale inne rzeczy, należące dawniej do panny Anieli, jabym wydać kazał, aby nie okazywać, że się o to wielce troszczy, wróci, czy nie wróci. Pierzyny i bieliznę, suknie panieńskie—odeślij pani.

Szklarska śmiejąc się, przerwała:

— Marszałek jesteś niebezpiecznym, tak umiesz kombinować wszystko bacznie. Te dystynkcye między wyprawą a garderobą!

Gliński uśmiechnął się z widocznem zaspokojeniem miłości własnej.

— Służę już moim braciom, szlachcie, lat tyle radą i doświadczeniem, żem się wiele nauczył—dodał z uprzejmym zwrotem do starej panny.—Gdy asińdźka będziesz miała iść zamąż, proszę mnie zawezwać do pisania intercyzy!

— O! o! dziękuję! ja za mąż wcale iść nie myślę—rzekła Szklarska,—ale gdy testament przyjdzie układać, pewnie go będę fatygowała.

Tak skończyła się konferencya, z której opuchła strażnikowa wyszła spokojniejszą. Wielki nawet żal do córki ustąpił politowaniu nad tą ofiarą przewrotności magnatów.

Wszystkich swych gości strażnikowa zatrzymała potem na wieczerzę i rozmowy weselej już się toczyły o rzeczach obojętnych, tylko, że wszyscy do hetmanowej mieli żal za Koiszewską i za jej dumne obchodzenie się ze szlachtą, opowiadano o niej różne historye, nie pozostawiając poczciwej nitki.

— Gdyby nie mój proces—tłumaczyła się Koiszewska,—córki-bym tam nie dała... albobym ją dawno odebrała, ale my, biedna szlachta, z życiem i mieniem na ich łasce, bo oni panują w trybunałach, oni na sejmach, oni u boku króla, oni sami wszędzie, a nasi panowie posłowie na sejm im jadą służyć. Królewską moc objęli zupełnie, pod pozorem wolności, ale wistocie, żeby sami panowali.

Na odjezdnem Bujwid, polecając się łaskawym względom strażnikowej, zapewnił ją, że gotów czekać, mając szczere przywiązanie do panny, którą o niem przekonać się spodziewał.

Szklarska pozostała ze strażnikową, choć dla niej siedzenie na miejscu, skazanie się na spoczynek, na zabawianie strażnikowej i proboszcza, który przyjeżdżał czasami, było wielką męczarnią. Nudziła się strasznie, choć miała zawsze robotę jakąś w rękach.

Drugiego tygodnia wytrzymać nie mogąc, wtrąciła nawiasem, że możeby nie szkodziło, gdyby ona od siebie pojechała do Wysokiego zobaczyć się z Anielą.

Strażnikowa, której dokuczyło to, że nic o córce nie wiedziała, mało co się zawahawszy, zgodziła się na to.

— Dałabym ci konie i moją bryczkę na pasach—rzekła,—ale poznają i pomyślą, że jesteś przysłaną przeze mnie, a toby było niedobrze.

Postarano się więc o konie i woźnicę, a powóz proboszcz dostarczył.

Panna Szklarska w doskonałem usposobieniu pojechała do Wysokiego. Nie było już trudności z wpuszczeniem jej do strażnikównej, która zobaczywszy ją, z wykrzykiem radosnym pobiegła ją uściskać.

— Widzisz ty niewdzięczna jakaś—odezwała się Szklarska,—ja umyślnie jadąc do pani Dzierżanowskiej, zajechałam do ciebie. Co u ciebie słychać?

Zadumała się Aniela.

— Hetmanowa przygotowuje się do zaręczyn i wesela—odpowiedziała,—ale z tą moją wyprawą. Wystaw sobie, matka mi nic wydać nie chce, ja też nie mam, a od księżnej przekonałam się, nie dostanę nic; choć mi wielkie rzeczy obiecuje, ale małych nawet nie da. Jakże tu stanąć na kobiercu?

Załamała ręce.

— Co się tyczy twojej starej panieńskiej garderoby— —przerwała Szklarska,—sama słyszałam strażnikową mówiącą, że ci ją wydać rozkaże, ale na wyprawę nie rachuj. Matka mówi „głupiabym była, żebym ją stroiła i obdarzała, kiedy przeciwko mej woli z domu mi ucieka”.

— Księżna ani myśli o wyprawie — mówiła dalej Aniela—ciągle mi jednak coś obiecuje; może w sekrecie chce mi zrobić niespodziankę.

Uśmiechnęła się Szklarska.

— Księżna nie da ci nic—rzekła—a mężowi, przybywszy do domu, kazać zaraz się oporządzać, od pończoch począwszy... niemiła rzecz. Ja jestem starą panną, ale gdyby mi w tych warunkach udawało się zaślubić choćby księcia Ostrogskiego, nie poszłabym za niego. Mężczyźni mają potem zwyczaj wypowiadać: wziąłem cię bez koszuli i t. p.

— Wiem ja to wszystko i mówiłam te sobie stokrotnie, ale cóż poradzę?

Wyczekawszy nieco Szklarska ciągnęła dalej:

— Mówisz, co poradzę? Poradziłby łatwo było, ale na to potrzeba rezolutności wielkiej. Powiedzieć wręcz i hetmanowej i Tołoczce: bez pozwolenia matki nie pójdę, lękając się niebłogosławieństwa Bożego.

Aniela nie odpowiedziała. Tyle już nasnuła i namarzyła o życiu z panem rotmistrzem, przy dworze pani hetmanowej w towarzystwie Białostockiem, w rezydencyach pańskich, wśród Francuzów prawdziwych i naśladowanych,

że wyrzec się tego wszystkiego nie miała siły. Opuszczenie przez matkę miało dla niej znaczenie—ułagodzenia.

Szepnęła o tem Szklarskiej.

— Mylisz się moja Anielko—odpowiedziała;—matka, dopóki miała nadzieję, że cię odzyszcze, rzucała się, wołała, gniewała; teraz straciwszy ją, ani myśli o tobie. Cała zajęta tą smarkatą, Skrzyńską.

Aniela, widząc się tak łatwo zapomnianą, zapłakała.

Przez cały czas bytności w Wysokiem przyjaciółka pracowała nad nawróceniem jej, ale nie widziała sposobu. Spostrzegła tylko, że strażnikówna z mniejszym zapałem mówiła o księżnie i zdawała się mieć do niej jakąś urazę. Więcej teraz rachowała na Tołoczkę.

— Kiedyż tedy los ma się rozwiązać? Kiedy się to skończy? — zapytała stara panna.

— Albo ja wiem?—odparła strażnikówna.—Mnie się zdaje, że wszystko gotowe, tylko ja zwlekam, spodziewając się, że matka mi da wyprawę. Sama teraz nie wiem, co robić. Powiadasz, że matka mi odeśle rzeczy! a widziałaś ty kiedy moją panieńską garderobę? Chyba nie. Koszule wszystkie stare, pończochy cerowane, jedwabnych tylko dwie pary i to nienowe, suknie z pani matki przerabiane. Mizernej rogówki nie mam!

— A cóż ty poradzisz bez niej? Toć do ślubu bez niej nie pójdziesz?

— Chyba mi księżna pożyczy, ale z niej będzie krótka i mała—mówiła Aniela. — Rogówka choćby używana kosztuje pewnie ze dwadzieścia kilka dukatów, a ja grosza nie mam.

— Pożyczyłabym ci, rozumie się, pieniędzy, choć rogówką się brzydzę, jak grzechem śmiertelnym,—odparła Szklarska—ale ja też jestem bez grosza.

Kłamała przyjaciółka, ale nie chciała wistocie pożyczki ułatwiać i przyśpieszać wesela.

— Księżna, widząc cię w takiem położeniu, będzie musiała pomódz—dodała Szklarska.

Aniela ramionami poruszyła.

— Ja księżnej nie rozumiem—szepnęła cicho.— Mówiąc ze mną, złote góry obiecuje, a tu, gdy o

drobnostkę chodzi, nie chce zrobić nic. A! żeby się to już raz skończyło—dodała strażnikówna—gdyby raz było po ślubie, jabym z rotmistrza wydobyła, cobym chciała.

— Mówią wszyscy ogólnie, że wiele stracił, a mało co mu pozostało—rzekła Szklarska.

— To nie może być, nie może!—przerwała niecierpliwie Aniela.—Choć zaręczyn nie było, przywiózł mi pierścień; pokażę ci go, kto takie klejnoty chowa, ten nie może być ubogi.

To mówiąc, strażnikówna pobiegła do swego kuferka, otworzyła go i dobyła z głębokości pudełeczko, starannie obwiązane. W niem na pięknie usłanem bawełną łóżeczku spoczywał pierścień, w którym wistocie połyskiwał ogromny brylant, rzucający iskier tysiące dokoła. Oprawa była staroświecka, kunsztowna i bardzo piękna.

— Mówią, że może być wart z pięćset dukatów—dodała Aniela, kładąc go na palec.

— Pewnie! pewnie!—potwierdziła przyjaciółka—ale twoja wyprawa daleko więcej była warta, a z niego ci nic; oczy tylko nasycisz!

Schował się więc pierścień nazad do kufra, a rozmowa powróciła do rogówki, która wszystkie myśli panny Anieli ku sobie pociągała.

Bez rogówki ani do ołtarza, ani na bal... nigdzie nie było można. Jeżdżąc do Białegostoku z księżną, pożyczała jej u Barcińskiej, ochmistrzyni księżnej, ale ta opuściła Wysokie, a gdyby i była, to rogówka była tak zużyta, płaska i nieforemna, że na ślub jej włożyć nie było sposobu.

Suknię białą morową, zasłonę ślubną i inne przybory księżna półgębkiem obiecywała. Co się tyczy rogówki, wyraźnie zapowiadała, że jej dostać nie może.

Szklarska uczyniła tę uwagę, że pięknej świeżej ro-, gówki na wsi dostać było bardzo trudno, chyba po nią posyłać do Warszawy.

Tak o rogówkach rozprawiając do nocy, rozstały się bo Szklarska nazajutrz dodnia chcąc odjechać, nocować miała w miasteczku.

— Nie dałabym za to grosza, że się wszystko o rogówkę rozbije—mówiła sobie w duchu, wsiadając do bryczki.

Aniela miała sen niespokojny, a wstawszy, dowiedziała się, że w nocy przyjechał rotmistrz Tołoczko.

Pośpieszyła więc asystować przy śniadaniu księżnej, spodziewając się go zastać. Serce jej biło, ale do rogówki, nie do niego—niestety!

Księżnę zastała po śnie ciężkim ziewającą i kwaśną. Tołoczko też nieosobliwe przywoził wiadomości. Wszystkie starania około Massalskiego, aby go z kanclerzem rozdwoić, nie powiodły się.

Radziwiłł, którego spodziewano się zaplątać w zawikłanie z wojskiem ruskiem i doprowadzić do wybryku zuchwałego, któryby go sparaliżował, znajdował się nad wszelkie przewidywanie ostrożnym, bacznym i trzeźwym.

Wyciągnąwszy z niego, co tylko mogła, hetmanowa poszła do męża na radę, zostawując pannę Anielę z rotmistrzem. Strażnikówna zrozpaczona postanowiła chwilę tę zużytkować.

— Panie rotmistrzu—odezwała się—oddawna zbierałam się z nim mówić otwarcie, nie mogę dłużej milczeć. Matka nie chce mi przebaczyć, ani na małżeństwo nasze zezwolić. Ja postanowiłam mimo to oddać mu moją rękę, mając opiekę księżnej, ale ta opieka... mów pan z nią... mnie potrzeba niezbędnie wielu rzeczy, ja nie mam nic... Wyprawy matka nie wyda.

Jąkała się i plątała biedna panna strażnikówna.

Rotmistrz słuchał i bladł a czerwieniał. Tegoż samego dnia właśnie począł się biedzić, że na cukrową wieczerzę nie będzie miał za co kupić wina, kondymentów różnych, słodyczy.

Spodziewał się, że pannę mu hetmanowa przystroi i opatrzy sutą wyprawą.

— Panno strażnikówno, dobrodziejko—rzekł—księżna pani nasza ma dla niej macierzyńskie serce, niech pani się z nią otwarcie rozmówi.

— Mówiłam!—odparła strażnikówna.—Obiecała mi suknię do ślubu, ale ja wszystko zostawiłam u matki, ja nie mam nic, nic!

Tołoczko czupryny potarł.... bo czuł zimne poty.

— Z przeproszeniem pana—dodała strażnikówna—rogówki mi nawet braknie.

Rotmistrz się uśmiechnął.

— E! cóż to znowu — rzekł — ta się chyba znajdzie łatwo.

— Ale ja jej ani szukać nie umiem, ani znaleźć nie będę mogła!—dodała panna.—Powtarzam panu, mów o tem z księżną, nie chcę się wstydem nakarmić. Bez futra nie wyjechać też.

Zniżyła głos, łzy się jej z oczów polały.

— Widzisz pan, żem mu wszystko sakryfikowała—rzekła wkońcu—więcej nie mogę.

— Niech panna strażnikówna będzie spokojną, wszystko się załatwi. Proszę o tem nie myśleć. Hetmanowa ma na głowie mnóstwo kłopotów, zapomina się, ale serce jej najlepsze.

Wstyd jej było i łez, i dłuższej o tem rozmowy; słysząc szmer, domyśliła się nadchodzącej pani—uciekła.

Rotmistrz stał długo, jak skamieniały. Znał nadto dobrze księżnę, aby się łudzić, że skutecznie i wspaniałomyślnie przyjdzie w pomoc... nie wiedział sam, co robić. Mówić z nią o tem zawczasu było ją nabawić złego humoru i gniewu może. Sądził, że najlepszym sposobem dojścia do celu będzie zostawić rzeczy naturalnemu ich biegowi. Księżna będzie musiała dać, co brakło.

Hetmanowa, powracająca od męża, z którym miała ciężką przeprawę, weszła zaperzona i znalazła rotmistrza samego; domyśliła się, że i tu coś zajść musiało.

— Cóżeście to się z panną Anielą nie porozumieli?—zapytała.

— I owszem, i owszem, mościa księżno—rzekł szybko Tołoczko—frasuje się tylko, że jej wiele rzeczy brak, ale to fraszki...

— Ona mnie już nudzi temi wymaganiami—zawołała hetmanowa.—Wiesz waćpan co? jedź do strażnikowej jeszcze raz, powiedz jej, że nic nie żądasz, a niechże jej przynajmniej przyśle koszule i trzewiki!!

Rotmistrz, który wiedział, jak zostanie przyjęty, strasznie się zmieszał.

— Mówię ci, jedź—dodała—jedź do niej ode mnie! Zajmę się losem córki... ale żebym miała wyprawę jej robić!!

Czasu nawet nie starczy, bo wesele musi być w przyszłym tygodniu. Jedź waćpan, nie zwłócząc...

Tołoczko nie mógł się wymawiać, skłonił i przyrzekł, że pojedzie.

Zaledwie się wysunął od hetmanowej, powoli, krocząc korytarzem, gdy drzwi pokoju panny Anieli się otworzyły. Słuchała ona rozmowy rotmistrza z księżną.

— Niech pan pamięta o rogówce!! — rzuciła mu w ucho i uciekła.

Rotmistrzowi się w głowie zawracało.

— Piwam sobie nawarzył!—zamruczał.

Zawołano go do hetmana, potem jeszcze raz do pani samej, naostatek pod wieczór kazał zaprzęgać, aby z Wysokiego się wydobyć i nazajutrz rano być u Koiszewskiej.

Gościła tu jeszcze panna Szklarska i ona go pierwsza zobaczyła. Pobiegła do strażnikowej.

— Tołoczko przyjechał—rzekła, śmiejąc się.

— Co? Tołoczko?—zakrzyczała gospodyni. — Każ-że mu powiedzieć, żeby sobie wracał, skąd przybył; ja go znać nie chcę i mówić z nim nie będę.

— Strażnikowo kochana!

— Nie będę!—tupiąc nogą, powtórzyła Koiszewska—Ty mnie znasz, skoro powiadam, nie będę, dosyć na tem!

— Niepodobna było nalegać. Szklarska poszła sama.

Rotmistrz z wielką pokorą prosił o posłuchanie.

— Bardzo mi przykro panu to zwiastować—odezwała się Szklarska,—ale strażnikowa mocno chora i widzieć się z nim nie może i nie będzie.

— Pani dobrodziejko...

— Ja na to nic nie poradzę, wyrok jest nieodwołalny.

— Przybywam nie od siebie, ale wysłany przez panią hetmanową.

— To zupełnie wszystko jedno — odparła Szklarska. Gdyby nawet pani hetmanowa honor ten uczyniła Koiszewskiej i sama przybyła, ręczę, że nie byłaby przyjętą.

— Tak—powtórzyła—nie byłaby przyjętą.

Tołoczko potrzebował namysłu, nim się na dalsze tranzakcye zrezolwował. Rozpoczął je z delikatnością wielką, zawsze w imieniu księżnej.

— Ja nic więcej nad to nie mogę—odpowiedziała pośredniczka,—że żądanie zaniosę i odpowiedź wiernie powtórzę.

Wyszła więc.

Tołoczko zaczął się przechadzać po pokoju, zatopiony w myślach i ani się spostrzegł, że pół godziny upłynęło, nim panna Szklarska powróciła.

— Pani strażnikowa kazała mi powiedzieć—rzekła,—że garderobę córki wydać rozkaże, ale nie wyprawę. Wistocie wyprawa jest w gotowości, ale pani strażnikowa, nie wydając córki wedle życzenia, dawać jej nie myśli i do tego skłonić jej nikt nie potrafi.

Powiedziawszy to, Szklarska z pończochą usiadła na kanapie i Tołoczko prosić jej już nie mógł, aby raz jeszcze poszła do Koiszewskiej w poselstwie.

Wymęczywszy się z godzinę, to prosząc, to usilując zmiękczyć serce pośredniczki, rotmistrz wkońcu musiał wziąć za czapkę.

Wyschło mu w gardle od argumentowania, a nawet kieliszkiem wódki go nie poczęstowano. Przeklinał więc w duchu strażnikową, a może i dzień i godzinę, gdy się niepotrzebnie zajął panną Anielą. Tyle tylko zyskał, że mu garderobę nazajutrz wysłać obiecywano.

Strażnikowa tak była rozżalona przeciw córce, że to, co jej oddawała, jakby naumyślnie spakować kazała bezładnie, bieliznę niepraną, suknie pogniecione, a niektóre z nich podarte i pocerowane tak, że wstyd ich tylko było.

Można sobie wyobrazić, jakie to wrażenie uczyniło na biednem dziewczęciu. Na domiar wstydu sama księżna przyszła oglądać, co wysłano i nielitościwie sobie szydziła.

Panna Aniela wpadła niemal w gorączkę, aż ją trzeźwić musiano, uspakajać, koić i pocieszać. Słuchając, gdy hetmanowa wymyślała na jej matkę, porywała się jej bronić i nie umiała. Powzięła tylko do księżnej żal i jakieś niewysłowione uczucie wstrętu... tak, że rada była co najprędzej się stąd i z pod jej opieki wydobyć.

Nazajutrz wreszcie z rozkazu pani ochmistrzyni i panny szwaczki zajęły się jakiemś przygotowaniem czegoś, co wyprawę zastąpić miało.

— Nie wyobrażaj sobie, mój Tołoczko—mówiła do niego hetmanowa,—że ja, namęczywszy się, żeby ci dać żonę, przyczyniwszy sobie tem nieprzyjaciół, których i tak mam dosyć, będę się sadzić na wyprawę. Musisz, biorąc żonę, pomyśleć o tem, żeby ci wstydu nie robiła.

Ktoby w tych dniach strapienia widział pana buńczucznego, siedzącego na krześle i zajętego swojem przyszłem szczęściem, które wyglądało na męczeństwo, nie poznałby w nim wesołego, ochoczego, mężnego dowódcy janczarów z dawnych czasów.

Panna chodziła, nie patrząc na niego i nie mówiąc. Gdzie się posunął tylko o pożyczkę, odprawiono go z niczem. Księżna gderała na niego i gniewała się, że nie był szczęśliwy. Nie wiedział, gdzie się obrócić.

A że o rogówce słychać nie było, wkońcu panna Aniela raz jeszcze, w korytarzu, bardzo seryo i z naciskiem wielkiego znaczenia powtórzyła mu, iż rogówkę mieć musi.

Przyparty tak, nieszczęśliwy rotmistrz musiał pójść na zwiady, gdzieby mógł dostać tej rogówki, którą przeklinał.

Litościwa dusza jakaś oznajmiła mu, że wdowiec, pułkownik Matuszewicz, miał ich pono aż dwie po żonie i życzył sobie je sprzedać. Siadł tedy rotmistrz na bryczkę i choć z pułkownikiem był nie najlepiej, ruszył na zdobycie rogówki.

Dotarłszy do miejsca, dowiedział się, że pułkownika nie było, ale rogówek, aż dwie wistocie.

Stara jejmość, pani Urmowska, która się gospodarstwem pułkownika zajmowała, grzecznie bardzo kazała przynieść rogówki, objaśniła wszystkie ich zalety, zaręczała za trwałość i za to, że nieboszczka więcej nad parę razy żadnej z nich nie miała. Oba te drogocenne dzieła kunsztu nie więcej nad kilkadziesiąt dukatów sztuka kosztowały. Skrzywił się rotmistrz, ale byłby zapłacił, gdyby miał czem.

Potrzeba było pieniędzy, zresztą księżna, zdaniem

jego powinna była opłacić. Kupno więc do namysłu odłożono.

— Niech się pan rotmistrz śpieszy—odezwała się Urmowska—bo tu już kilka pań jest, co się o te rogówki dobijają. Teraz bez nich ani stąpić, kto w świecie bywa... a tu ich na okolicę nigdzie nie dostanie. Tembardziej tak przedziwnych, jak te, które pewnie aż z Paryża pochodzić muszą.

Rotmistrz powrócił z tem do Wysokiego.

Bywało w Wysokiem wesoło, ale bywało też tak nudno, że sam hetman unikał pod czarną godzinę księżnej Magdaleny a ludzie sobie od ziewania szczęki wyłamywali.

Despotyczna pani nie znosiła twarzy wesołych, gdy sama raczyła być smutną, ani pochmurnego oblicza, jeśli miała usposobienie do śmiechu i zabawy. Nie zawsze się powodziło,była nadzwyczaj drażliwą i nie umiała nic znieść spokojnie; przychodziły więc bardzo często burze, a rozpędzić je łatwo nie było.

Sprawa potajemnego knowania przeciwko Radziwiłłowi, ożenienie Tołoczki, obojętność stolnika, którego chciała i spodziewała się pociągnąć ku sobie, wszystko to razem nadzwyczaj źle wpływało na humor hetmanowej, a od niej szła burza na cały dwór i na pana hetmana.

Opór Koiszewskiej, niemożność postawienia na swojem prędko i łatwo samej księżnie już tak dokuczyły, że chciała skończyć jak najprędzej. Gotowa była nawet na pewną ofiarę, byle nie pieniężną, bo pieniędzy w kasie nie było. Napadła na Tołoczkę, ażeby wszelkie drobne trudności i przeszkody starał się sam załatwić.

— Mościa księżno—odparł pokornie rotmistrz—Bóg widzi, oddałbym ostatnie, ale muszę się przyznać—nie wiele mam. Świeci się tam coś jeszcze, taję jak mogę, żem zadłużony po uszy, ale ostatkami gonię i nie wiem, skąd wziąć na weselé, bo mi Żydzi nawet pożyczyć nie chcą.

— Gdzieżeś się tak zaszargał?—zapytała księżna.

Tołoczko zdesperowany zdobył się na odwagę, zarumienił się i rzekł:

— Na usługach W. Ks. Mości.

Zmarszczyła się piękna pani.

— Widzi księżna całe moje życie, nałogów żadnych nie mam, kawałkiem chleba razowego gotówem żyć, ale gdy idzie o służbę księciu lub księżnie, z jutrem się nie rachuję.

Westchnął ciężko. Księżnie się go jakoś żal zrobiło.

— Mój rotmistrzu—odparła—spodziewam się, iż wiesz o tem, że my oboje tym, co nam z serca służą, umiemy wdzięczność okazać, możesz się więc nie frasować swoją przyszłością. Chcę też Koiszewskiej pokazać, że nie na przekór jej córkę wzięłam, ale coś dla niej uczynię. Choćby dlatego, aby nie żałowała, co traci ze strony matki.

Skłonił się z przyklęknięciem Toloczko, a że do księżnej przywołano któregoś z jej faworytów, wyszedł żywo rozmyślać o przyszłem szczęściu i o rogówce, której wspomnieć nie śmiał.

Wieczorem po wieczerzy książę go wziął do swego gabinetu. Miał minę jakąś uroczystą, na stole leżał list, wielką pieczęcią Sapieżyńską zamknięty. Książę był wesół i dobrej myśli.

— Wiem od Magdusi o twych kłopotach i wiernych służbach—rzekł do niego hetman;—naradziliśmy się z nią, czem ci pomódz. Mnie w tej chwili ciężko, bardzo ciężko ale mam przyobiecane u Brühla pierwsze pomierne starostwo, jakie zawakuje. Dowiaduję się właśnie, że Kąkolownica jest do dania, bo ten, co ją trzyma, umiera. Doktorowie go widzieli. Nikt o tem nie wie, nikt się nie spodziewa, potrzeba korzystać z czasu. Musisz dniem i nocą jechać do Drezna. Do Brühla mam list gotowy, zalecam cię, dał mi słowo, otrzymasz Kąkolownicę. Tylko pośpiech potrzebny gwałtownie. Ruszaj natychmiast do Drezna.

Rotmistrz hetmana w ramiona i po rękach całował; Sapieha mówił dalej:

— Daję ci listów dwa, do Brühla i do szambelana Zabiełły. Nim się tu ludzie o wakansie na Kąkolownicę dowiedzą, ty powinieneś mieć w kieszeni list królewski.

— A któż go zapieczętuje?—westchnął rotmistrz.

— To moja rzecz—dodał Sapieha,—przywieź tylko.

— Mam zaraz jechać?—przerwał Tołoczko.

— Mówiłem ci, dziś na noc jeszcze, ale nikt wiedzieć nie powinien dokąd i po co. Gdy powrócisz starostą— i kredyt się znajdzie i wszystko pójdzie jak po maśle, a nawet strażnikowa zmięknie. Pożegnajże bohdankę twą, księżnie podziękuj, bo jej winieneś najsilniejszą instancyę, i w imię Boże!

Wdzięczności Tołoczki opisać niepodobna: zdawało mu się, że litościwe nieba kładły koniec jego cierpieniom. Wszystko się teraz składało dobrze i łatwo. Żmigrodzki rotmistrz jechał do Drezna i ofiarował się podróż tę odbyć z Tołoczką.

Z wieczora jeszcze tegoż dnia otrzymał audyencyę u księżnej, nie mogąc wyjechać, nie podziękowawszy. Księżna kazała przywołać pannę Anielę do swego pokoju, aby rotmistrz jej rączki mógł ucałować, dała mu notatkę sprawunków w Dreznie, zapomniawszy dać pieniędzy na nie... i Tołoczko mógł wyjechać natychmiast, bo na porękę Żmigrodzkiego Żyd Aron Białostoski dał mu oberzniętych sto dukatów.

Rotmistrz się zobowiązał wypłacić je za trzy miesiące z przyrostem tylko pięćdziesięciu. Ale żeniąc się, kto zważa na takie bagatele!

I to też do pomyślnego składu okoliczności zaliczyć można, iż do podróży dostał takiego nieoszacowanego towarzysza, jakim był Żmigrodzki, sławny jowialista, oczajdusza, człowiek serca szerokiego, kochany od wszystkich. Z nim w drodze rozkosz była, bo jeśli się nie śmiał lub nie rozśmieszał, to śpiewał, a częstować nadzwyczaj lubił. Humor miał taki, że go na pogrzeby nie zapraszano, boby na cmentarzu do śmiechu pobudził.

W Warszawie miał przyszły starosta dostać pismo, polecające go panom pocztmistrzom, jako jadącego w pilnym interesie J. K. Mości.

Pora była jesienna i chłodna, ale przewidując to, Żmigrodzki miał w nogach puzderko z flaszkami napełnionemi wódką gdańską i kubek srebrny dobrej miary. Raczyli się

więc po drodze, naprzemiany zakąsując to piernikiem toruńskim, to półgęskiem.

Do Warszawy przybyli, nie opatrzywszy się. Tu gościć nie myśleli i natychmiast wybitnym naówczas traktem saskim podążyli nad Elbę. We Wrocławiu pierwszy raz coś ciepłego zjedli.

W drodze spotykając się ciągle z jadącymi do Warszawy, mieli sposobność się dowiadywać o zdrowiu króla.

Zaręczano im, że i Brühl i on cieszyli się jak najlepszem.

Działo się to dnia trzeciego października.

Dnia następnego zostawując Żmigrodzkiemu zupełną swobodę obracania się tu wedle własnego natchnienia, rotmistrz z listami udał się naprzód do Brühla. Nie zawsze do niego dostąpić było można. Dopiero przed samym obiadem, wystawszy się w przedpokoju, Tołoczko został przypuszczony do oglądania pożółkłej twarzy ministra, który udawał jeszcze młodego, strojny był z przepychem i elegancją, ale na obliczu zmęczonem nosił najsmutniejszą przepowiednię.

Brühl okazał się nadzwyczaj dobrze usposobionym, bo wojując z Czartoryskimi, wszystko, co im opór stawiło, rad był sobie pozyskać i trwale przywiązać.

— Spodziewam się—rzekł mu w końcu posłuchania Brühl—że jutro lub pojutrze król w. panu list na to starostwo podpisze, a jeżeli w. panu pilno z powrotem, będziesz mógł się stawić N. Panu z podziękowaniem natychmiast.

Zadał jeszcze Tołoczce kilka pytań, tyczących się Radziwiłłów i sytuacyi wojsk ruskich i z uprzejmością nadzwyczajną do widzenia go pożegnał.

Szambelan Zabiełło przyjął też znajomego sobie zdawna Tołoczkę, rad, że z nim o Litwie będzie mógł pogawędzić.

—Niema najmniejszej wątpliwości—dodał,—że przywilej na starostwo podpisany zostanie. Brühl taki tu wszechmogący, jak był w Warszawie, a daleko mu się łatwiej obracać.

— A król?—zapytał Tołoczko.

— Król, zdaje mi się, że utył już nawet od swego przybycia. Nie może się nacieszyć Dreznem—mówił Zabiełło;—teatr mu przyozdabiają, przygotowują polowania, które, gdyby nie żubry, zagasiłyby Białowieżskie

i Pragskie. Sam widziałem, gdy przed swoją ukochaną Madonną modlił się i płakał. Niema nad niego szczęśliwszego człowieka, bo tego, coby go zgryźć mogło, nie widzi.

Rozmawiali długo, Zabiełło opowiadał o życiu w Dreznie, o dworze, o następcy tronu, który był chory i kaleka, o księżniczkach... królewnie i tem, co Augusta otaczało.

Od Zabiełły dowiedział się rotmistrz, że rano o siódmej godzinie król był zwykł słuchać mszy św. w kaplicy zamkowej, do której wstęp dozwolony był tylko osobom wybranym. Szambelan też obiecywał wprowadzić z sobą rotmistrza, aby na intencyę pomyślnego skutku zabiegów swych mógł się pomodlić i rodzinę pańską zobaczyć, bo tej nie znał wcale.

Resztę dnia ledwie mógł spocząć Tołoczko, tak go rozrywali panowie przy królu bawiący, ciekawi dowiedzieć się, jak stały sprawy od czasu ich wyjazdu. Szło wszystkim głównie o Trybunał piotrkowski, który Potocki, wojewoda kijowski, tak samo miał opanować, jak Radziwiłł wileński, a jeden z Potockich już był na marszałka głosem powszechnym desygnowany.

Tołoczko i Żmigrodzki biesiadować musieli od rana do nocy, bo ich sobie z rąk do rąk podawano.

W rotmistrza też przy tak szczęśliwych wróżbach wstąpiło męstwo, powróciła mu wesołość. Dość późno powrócił do gospody swej pod Trębaczem za bramą i zasnął snem twardym. Żmigrodzki dużo później powróciwszy, zabawił się tem jeszcze, iż go w najlepsze usypiającego póty wołał i potrząsał nim, aż go zbudził, oświadczając, że chciał tylko wiedzieć, co mu się śniło.

Zasnął potem znowu Tołoczko i przez pacholika trochę zapóźno rozbudzony, ledwie miał czas się przyodziać, aby pobiedz do kaplicy na mszę świętą do zamku.

Z wyznaczonego mu miejsca mógł się przypatrzeć królowi, który wszedł, stąpając ciężko, bo zdawało się, że nogi miał obrzękłe. Twarz choć łagodnie uśmiechnięta, wyrażała znużenie nadzwyczajne, w czasie nabożeństwa oczy mu się przymykały i zdawał się drzemać. Słuchał jednak i mszy i modlitw po niej następujących, klęcząc pobożnie i modląc się... dopiero, gdy mu przyszło wstać do pocałowania pateny, ludzie pomagać i pod ręce go wziąć musieli, ale Zabiełło zwyczajem to tłumaczył.

Nie wiedzieć z jakiej przyczyny rotmistrz, ciekawie się przypatrując w N. Pana, znalazł go smutnym i sam doznał przykrego wrażenia.

Zabiełło, który mu towarzyszył, a miał tego dnia służbę i pokój dla siebie na zamku, zaprowadził go z sobą. Nie spodziewał się Tołoczko, aby dnia tego mógł dostać wiadomość pomyślną od Brühla, ale chciał się pilnować, aby czasu nie tracić. Zbliżenie się więc do osoby króla, do szambelana, który mógł mieć o podpisaniu papierów wiadomości, bardzo mu było na rękę. Zabiełło też rad był podzielić śniadanko swe z królewskiej kuchni z przyjacielem.

Za dosyć licznym orszakiem dworaków, towarzyszących N. Panu, udali się na zamek, w którym Brühl już na niego oczekiwał.

Zabiełło odprowadził Tołoczkę do pokoju. Kazał śniadanie rychło podawać, bo miał zawsze wilczy apetyt, a sam się poszedł stawić na chwilę na pokoje.

— Król przekąsi coś pewnie i siądzie z fajką słuchać, co mu Brühl na ten dzień przyniesie, a ja będę mógł do was powrócić.

Siadł tedy Tołoczko u okna i przypatrując się nader ożywionemu ruchowi na podwórzach zamkowych, spokojnie na przyjaciela oczekiwał.

Czasu trochę upłynęło, nim szambelan powrócił i zawołał o przekąskę.

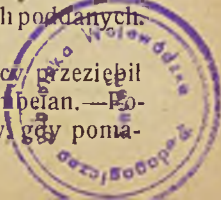
— Króla widzieliście?—spytał rotmistrz.

— A jakże! Zagadnął mnie nawet o tem, iż słyszał o kilku ichmościach, przybyłych z Polski, a jam mu was wymienił.

Rozśmiał się buńczuczny.

— Nie wiele się z tego nauczył, bo mnie jako żywo, nie zna, tak jak większej części swych wiernych poddanych. Jakże się dziś ma?—dodał Tołoczko.

— Zdrów,—tylko nogi podobno w kaplicy przeziębił a ma zadawnioną podagrę w nich—odparł szambelan.—Podagra, dopóki w nogach, póty człowiek zdrów, gdy poma-



szeruje do głowy i piersi,—niema ratunku. Kazali się mu panowie doktorzy w łóżko położyć, aby się odgrzał. Siądzie potem do obiadu o swej porze i zje dobrze, bo na popis może wystąpić z apetytem. Je i pije, co się zowie.

— Daj Boże na zdrowie—wtrącił Tołoczko.

Niedługo zabawiwszy, Zabiełło wysunął się dla służby, a rotmistrz, znalazłszy wygodne krzesło, skórą obite zanurzył się w niem i myślach o pannie Anieli.

Szambelana, który miał natychmiast wrócić, nie było pół godziny; upłynęła godzina, nie doczekał się go rotmistrz. Zbliżało się południe.

Aprehensyi stąd jednak żadnej nie powziął Tołoczko; sądził, że Zabiełłę zatrzymała przy królu służba lub chęć dowiedzenia się o czemś, dla usłużenia jemu.

Jednakże jakaś bieganina w korytarzach, ruch żywy, głosy niecierpliwe, dające się słyszeć coraz częściej, wydały mu się podejrzanemi. Znajdował to czemś nadzwyczajnem, ale się uspakajał tem, że zwyczajnego życia nie znał.

Wtem drzwi się rozwarły nagle i Zabiełło wpadł śpiesznie, ale jak ściana blady.

Tołoczko zerwał się z krzesła.

— Nieszczęście!—wykrzyknął, wbiegając szambelan—nieszczęście! Królowi od tych nóg przeziębionych pono podagra do góry postąpiła. Pełno już koło niego doktorów i cyrulików. Przed chwilą, gdym do ciebie przyszedł nie było najmniejszego niebezpieczeństwa, a lękam się, aby za chwilę nie było już żadnej nadziei.

Rotmistrz ręce załamał i naiwnie wykrzyknął:

— A mój list na starostwo niepodpisany! to trzeba mojej doli! Ale możeż to być, co pan szambelan mówisz? Król wczoraj miał być zdrów jak ryba?

— Zdrów był jeszcze przed godziną, gdy mi się, leżąc w łóżku uśmiechał. Szyję bym był dał, że do obiadu wstanie, a teraz, gdy tu szedłem, ten łotr cyrulik Charon zamruczał mi: „Co tu doktorów sprowadzać? jemu ksiądz potrzebniejszy, niż oni".

Zbladł Tołoczko, jakby w niego grom uderzył, stał osłupiały.

— Mój rotmistrzu—odezwał się do niego Zabiełło.—

Mnie się zdaje, że ty tu nie masz, co robić. Na zamku w tej izbie, samemu siedzieć smutno ci będzie i niewygodnie. Powracaj do gospody, dam ci znać, co Pan Bóg na nasześle. Nie taję jednak, że z tego, co słyszałem i widziałem, złe bardzo wróżby. Siódmego tego miesiąca mieliśmy jego sześćdziesiąt siódme urodziny obchodzić; daj Boże, aby ich dożył!

— Nieszczęśliwa ta dola moja!—zamruczał Tołoczko.—Ha! dziej się wola Boża!

Schwycił za rękę Zabiełłę.

— Mój szambelanie—dodał,—pozwól, żebym ja tu pozostał; prędzej się dowiem, co mnie czeka. Lecz co tu mówić o sobie, kiedy niewiadomo, co się z krajem stanie!

— Jeżeli chcesz—rzekł szambelan, biorąc już za klamkę—zostań tu. Jesteś o kilka kroków od sypialni króla, co się stanie, dam ci znać.

To mówiąc, wybiegł z wielkim pośpiechem.

Korytarz zamkowy pełen był już nadbiegających zewsząd członków królewskiej rodziny, duchowieństwa, urzędników, lekarzy.

Nikt nie zwracał uwagi na rotmistrza, który chcąc się lepiej przypatrzeć i przysłuchać, co się działo, pozostał przyparty do ściany, na przesmyku, którędy biegli przestraszeni słudzy i dworacy.

Na twarzach wchodzących i wychodzących czytać było można, jak położenie stało się groźnem.

Mówiono głośno. Lekarze na zapytanie o zdrowie króla odpowiadali otwarcie:

— Król żyć nie będzie, jest bardzo źle! Nikt z nas nie ma najmniejszej nadziei. Jeszcze mu krew puszczą.

Brühl, który w czasie zmiany zaszłej nagle w stanie zdrowia króla Augusta nie był na zamku, dopiero w godzinę może później przyniesiony został w lektyce.

Rotmistrz zobaczył go bezprzytomnego prawie wpadającego na górę i przeciskającego się do sypialni, w której drzwiach był natłok służby i starszyzny dworskiej.

Wszechmogącego przed chwilą ministra popychano i jakby już upadek jego był przewidziany, nikt nie zważał na niego, nie odpowiadano mu na pytania natrętne. Chciał

z przedpokoju przebojem dostać się do łoża chorego, ale gdy już stał na progu jedną nogą, drzwi gwałtownie z wnętrza zamknięto. Kapłan spowiednik wszedł z Przenajświętszym Sakramentem.

Nastała cisza wielka i oczekiwanie. U drzwi w trwożnym niepokoju stała cała rodzina. Elektorowa, córki królewskie, zbite w jedną grupę, jakby szukały w sobie opieki, szeptały płacząc. Obok nich z załamanemi rękami, zapłakany, jak one stał książę kurlandski. Nieco opodal Chevalier de Saxe i książę Ksawery. Wszyscy porażeni tym ciosem, który się wydawał śmiertelnym.

Ci, co króla w tym roku, szczególniej ku jesieni widywali, nie taili się z obawą. Doktorowie na zapytania odpowiadali ruszeniem ramion i mruczeniem niezrozumiałem. Sam humor króla od powrotu z Warszawy, zmieniony stan umysłu, niepokój, uskarżanie się na dolegliwości napełniały trwogą.

Nie było dziwnem dla nikogo, że po wejściu spowiednika, August został z nim zamknięty przez godzinę. Przez cały ten czas ci, co byli zgromadzeni w przedpokoju, nie śmiejąc się ruszyć, pozostali w miejscu, jak przykuci.

Rodzina króla stała na przodzie odosobniona. Z niej ks. kurlandski i córki najwięcej okazywały boleści.

Brühl stał opodal nieco, nie śmiejąc się zbliżyć do rodziny, której uczucia dla siebie znał. Nie zachęcała go też obejściem się swojem, nikt nie spojrzał, nie przemówił do niego. Z urzędników też nikt się nie zbliżył. Pozostał odosobniony, opuszczony, jakby już skazany i czekał tylko wyroku. Jak w baśni postać tajemnicza, która się staje niewidoczną, tak on dla cisnących się i ocierających o niego już nie istniał. Twarz jego blada nagle zestarzała, zwiędła, napiętnowana nieopisaną trwogą, kamieniała w oczach, życie gasło. Nie miał woli, nie miał może myśli, tak się mu one splątały... nie mógł się poruszyć.

Oczekiwanie to nieme trwało do końca spowiedzi. Zwolna otwarły się drzwi, zabrzęczał dzwonek, niektórzy z przytomnych poklękali. Wśród kobiet dały się słyszeć płacz i łkanie.

Gdy towarzyszący kapłanowi usunęli się, na łożu

dała się widzieć twarz sina, a przy niej ks. kurlandski, który przyklęknął... Król poruszać się nie mógł... szeptał coś tylko.

Zabiełło, szambelanowie sascy i polscy zbliżyli się, sądząc, że ich usługa będzie potrzebną.

Pośród milczenia dał się słyszeć głos cichy:

— Kona!

Zawtórowały mu bolesne okrzyki niewiast. Elektorowa tylko stała, nie dając po sobie poznać wzruszenia.

Ponad głowami przyklękających połyskiwała bladem światełkiem ogromna gromnica, którą pomagał królowi trzymać ulubiony syn, ale wktótce padła na ziemię... Król postradał zmysły.

Na okrzyk oznajmujący konanie, rzucili się instynktowo lekarze, chcąc próbować przywołać go do życia. Powstał szmer pomiędzy niemi, nie opuszczono umierającego, nacierając, potrząsając nim, oblewając wonia-mi, próbując jeszcze krwi upuścić... ale w martwych już zwłokach iskierki życia nie było.

Zaraz po otwarciu drzwi, za innemi, krokiem chwiejącym się, niepewnym wsunął się Brühl. Szedł, jakby nie swoją popędzany siłą, z musu, nie z własnej woli, oczy szklane trzymając wlepione w coś dla drugich niewidzialnego. Zwróciły się potem mimowolnie na zwłoki króla, zatrzymały uwięzione na nich, stanął... Ale nikt nie poznawał w nim wczorajszego Brühla—minister umarł razem ze swym monarchą.

Scena boleści prawdziwej, rozdzierającej odgrywała się w grupie kobiet, których płacz przerywały krzyki. Królewny mdlały, słaniały się, padając na ręce otaczających je dworzan.

Zabiełło pierwszy pochwycił księżniczkę Kunegundę, inni dwaj porwali pozostałe na ręce i z pomocą towarzyszów wynieśli z pokoju.

Książę kurlandski leżał na ziemi u zwłok ojca i na głos zawodząc, żałośnie płakał, a płaczowi jego towarzyszyła modlitwa księży. Jęki sióstr wyrwały mu z ust słowa, łkaniem przerywane.

— Straciliśmy najlepszego ojca, godnego łez, pozostał

nam sierotom tylko Ojciec nasz niebieski, łaskawszy i mocniejszy nad niego.

Nie tknął nikt jeszcze zwłok, gdy wśród szmeru modlitw rozpoczętych dał się słyszeć brzęk kluczów.

Elektorowa blada, z wyrazem jakiegoś przestrachu na twarzy, w zastępstwie męża, który kaleką będąc, ruszyć się nie mógł i nie był przy śmierci ojca, zamykała szuflady i szafy, wołała aby jej znoszono klucze, rękami drżącemi zagarniała porozsypywane papiery, przewidując, że cośby ukryć przed nią chciano.

Na widok tego gospodarstwa przy trupie nieostygłym jeszcze twarz ks. kurlandskiego przybrała wyraz sromu i wstrętu.

Wtem wzrok elektorowej padł na skamieniałego jeszcze Brühla, zatrzymała się, pytając oczyma, czego tu stał jeszcze, jak śmiał urągać się swoją przytomnością tym, co z jego więzów zostali oswobodzeni.

Z tłumu wysunęła się jakaś ręka koścista, pożółkła, skórą okryta i dotknęła ministra. Drgnął, jakby elektryczną iskrą zbudzony, poruszył się, zakrył oczy dłońmi, ale iść nie mógł... Na dany przez elektorową znak, jeden z szambelanów ujął go za ramię i wyprowadził.

Tołoczko zdala całej tej tragedyi się przypatrywał i trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, zapomniał o sobie patrząc na nią. Dopiero Zabiełło, ks. Kunegundę oddawszy na ręce jej kobiet i powróciwszy nazad, bo sobie przypomniał rotmistrza, ściągnął go z tego miejsca, które zajął, niedobrze świadom tego, co czynił.

Tołoczko odmówił Anioł Pański za duszę nieboszczyka i odszedł pogrążony w myślach smutnych.

— Nie mam ja tu już co robić—odezwał się do Zabiełły.—Trzeba śpieszyć do domu, bo tam się gotują wielkie i straszne rzeczy. Kaptur będzie burzliwy, a kto przemoże na nim, ten króla da. Czartoryscy, ani chybi uproszą sobie pomoc imperatorowej. Musimy bronić interesów swoich i przyjaciół naszych. Dziś mi myśleć nie o starostwie, które przepadło, ale o przyszłej elekcyi.

— Ale ja też—odparł szambelan—muszę do swoich.

W Dreznie się moja służba skończyła. Pośpieszę też za wami. Kiedy jechać myślicie?

— Dziś, zaraz, w nocy, lub najdalej jutro—zawołał rotmistrz.

— Widzieliście Brühla?—spytał Zabiełło.—Dziwię się, że przeżył tę chwilę... znienawidzony przez wszystkich... może się spodziewać takiego bezprzykładnego upadku, jak bezprzykładną była jego dyktatura.

— Obwiniliby ojca, gdyby go prześladowali—rzekł Tołoczko.

— Weźmie truciznę—zawołał Zabiełło—i wszystko się skończy tem, że mu majętności skonfiskują. Żal mi syna, bo lepszym był od ojca.

Okrywszy się płaszczami, oba rozmawiając po cichu, usiłowali się wydostać z zamku.

Tłum ludzi zapełniał podwórze, wschody i przyległą ulicę, od strony kościoła, którego wszystkie dzwony głosiły już śmierć króla. Powozy, lektyki, konni, piesi przybywali i odpływali w różnych kierunkach. Niektórzy ze sług umarłego płakali po kątach.

W gromadkach na ulicy opowiadano sobie zmyślone szczegóły śmierci. Powszechny głos był, iż króla, siedzącego u stołu, raziła apopleksya...

Ciekawi szli i stawali naprzeciw pałacu Brühla, jakby się spodziewali, że go zobaczą wkrótce wiezionego na ten Königstein, w którym on więził nieprzyjaciół. Brama pałacu stała zamknięta, straż jej nawet usunęła się wewnątrz, żywej duszy nie było w oknach, a zapuszczone firanki nic widzieć nie dozwalały.

Tołoczko naprożno szukał sposobu jakiegoś śpieszniejszego przybycia pod Trębacza.

Wszystkie powozy były przejmowane, wszystkie lektyki w ruchu. W ulicach, miejscami pustych gdzieniegdzie zbierały się gromadki i żywo rozprawiały, poruszając rękoma.

Rozstawszy się z Zabiełłą u wrót, rotmistrz musiał pieszo wyruszyć do gospody. Na drodze spotkał również przyśpieszającego Żmigrodzkiego.

— A cóż?—zawołał zdala, poznawszy go towarzysz

podróży—i ja i wy napróżnośmy do Drezna tak śpieszyli, przybyliśmy *post factum* i niema tu co robić.

— Ja dziś lub jutro do domu, na miłego Boga— zawołał Tołoczko—tylem tylko zyskał, żem na moje oczy widział króla umierającego, a obrazu tego póki życia nie zapomnę. A wy kiedy w drogę?

— Byle konie choć natychmiast—odezwał się Żmigrodzki.—Nie mamy obowiązku czekać na pogrzeb, a u nas będzie co robić, bo się gotuje bezkrólewie, jakiego dawno nie bywało.

— Tu się spodziewają pono kalekę nam dać na następcę po ojcu—rzekł rotmistrz.—Słyszałem o tem wczoraj.

— Mieliśmy dwóch i nie kaleków — przerwał Żmigrodzki—sądzę, że nam ich starczy! Do trzech razów sztuka. Niech sobie Sasi biorą kogo chcą; nam czas zerwać to małżeństwo, które za drogo kosztowało. Łaska Boża, iż nie potrafili nas w niewolników obrócić i na dziedziczne królestwo przerobić, czego im się chciało.

— Daj Boże, aby kto inny nie zastąpił ich w tem— rzekł Tołoczko.—Myśmy w ciągu tych dwu panowań i zgnuśnieli i ogłupieli. Czartoryscy się mieli czas przygotować, Prusy wzmocnić, my osłabnąć... niechże Bóg nas z opieki swej nie wypuszcza, aby owo sławne proroctwo Jana Kazimierza, gdy składał koronę, nie ziściło się.

— Ty bo czarno widzisz wszystko—przerwał Żmigrodzki.—Wytrzeźwimy się my, gdy nam niebezpieczeństwo zagrozi.

Wchodzili do gospody pod Trębaczem, gdzie już przyniesiona wieść o królewskim zgonie taki ruch niespokojny wywołała, jak w mieście całem. Podróżni na gwałt konie zaprzęgać nakazywali. Gospodarz lamentował, łzy ocierając fartuchem.

Popłoch jakiś, którego nikt sobie wytłumaczyć nie umiał, rozpędzał wszystkich. Obawiano się nie wiedzieć czego. Niektórzy dopytywali się o Brühla, głosząc, że go miano wywieźć na Königstein, drudzy mówili o truciźnie, bo nie chciał przeżyć swojej władzy... inni głosili, że uciekł, jak się tylko o śmierci króla dowiedział.

Mrok tymczasem wszedł i noc nadeszła, koni dostać nie było można. Ci, co je mieli , kazali sobie płacić za niepokój, jaki panował.

Tołoczko dopiero nad rankiem potrafił ściągnąć woźnicę z przedmieścia i razem ze Żmigrodzkim opuścili żałobne Drezno.

Powróciwszy ze swej nieszczęśliwej wyprawy, Tooczko rozchorował się naprzód z utrapienia, jakiego doświadczył.

Hetmanowa, która to sobie tłumaczyła obawą, aby się małżeństwo nie zerwało, chcąc pocieszyć rotmistrza, posłała mu dać znać, ażeby się gotował stanąć do ślubu, gdyż ona wszystko bierze na siebie i dawszy słowo, dotrzyma go.

Rotmistrz po swojemu kochał pannę Anielę, podobała mu się jej młodość, nęcił go urok tego zaledwie rozkwitającego pączka, ale też i ów posag i wioska nie były do pogardzenia; — i one wchodziły w rachubę... A tu o posagu pod poduszką ani myśleć było można, a po najdłuższem życiu strażnikowej, kto wie czy się co zostać miało, jeżeli wydziedziczyć chciała.

Jakże się tu żenić, dawszy słowo, że będzie kareta, i cug i liberya?

Zdawało mu się chwilami, że lepiej było odłożyć małżeństwo i choćby nawet z niego się wycofać.

— Taka jest dola moja!—mówił w duchu.—Do każdego ewentu idę, a gdy już tylko rękę wyciągnąć, aby ująć, co człek pragnął, umyka mi gałąź i jabłko złote uchodzi do góry.

Wydobrzawszy nieco, rotmistrz pojechał do Wysokiego, gdzie go hetman pilno przywoływał, bo wszystko było w całej Polsce w niezmiernym ruchu, gdy nadeszła wiadomość o królewskiej śmierci.

Właśnie zabierano się Trybunał w Piotrkowie otwierać, który Czartoryscy swoim mieć chcieli, a Potocki, wo-

jewoda kijowski, stawał przeciwko nim, gdy goniec z Drezna przywiózł żałobną wieść.

Czartoryscy nie myśląc już o Trybunale, ale o przyszłej elekcyi, tejże nocy z miasta wyruszyli. Kanclerz i wojewoda kijowski, oba teraz nie o przewagę chwilową, ale o poprowadzenie przyszłej elekcyi po swej myśli starać się i zabiegać poczęli. Co było więc ludzi obrotnych, mogących pozyskać dla niej siły, panowie powoływali do swego boku.

Przebąkiwano, że cesarzowa poprze, bodaj wojskiem wybór swojego kandydata, którym miał być stolnik litewski, lub jeden z Czartoryskich. Drudzy mówili o Potockim, wojewodzie kijowskim, o hetmanie Branickim, a naostatek i saska dynastja łudziła się, że miała przyjaciół.

Hetman polny i księżna pani bardzo sobie życzyli na ten czas, gdy im zręczny sługa był potrzebnym, pozyskać Tołoczkę... Hetmanowa dowodziła, że strażnikównę mu dając, na wieki go sobie zobowiąże.

Powołano go więc do Wysokiego, ale księżna myślała tylko o ślubie, a nie o tem, co do niego było potrzebnem.

Koiszewska się rozbroić nie dawała. Tołoczko był w kłopotach pieniężnych. Księżna pomódz mu nie mogła, bo sama długi miała. Ze starostwem się nie powiodło... Co byo począć? Cofnąć się, odkładać nie chciała, bojąc się, aby się z niej nie wyśmiewano.

Panna Aniela nudziła ją równie płaczem, jak wymaganiami. Nie mogła ona jeszcze pogodzić się z tą myślą, że nie będzie mieć ani wyprawy, ani posagu, a natomiast obietnice tylko.

Siedząc w Wysokiem, mogła się przekonać najdowodniej, że księżna była skąpą i że nią być musiała, bo jej na występowanie świetne nie starczyło.

Widząc się tak nieszczęśliwie zawikłaną, miała żal i do Tołoczki, i do siebie, i do matki, i do księżnej. Przychodziła do stołu z zapłakanemi oczyma, a gdy hetmanowa starała się ją pocieszać, z takiemi się odzywała żądaniami, iż gniew w niej obudzała.

Nikt jednak z tych wszystkich osób, co nieszczęśliwe małżeństwo gotowały, nie chciał się wyrzec raz powziętej

myśli. Tołoczce żal było panny, księżna miała w tem punkt honoru, jak mówiła, Aniela chciała być rotmistrzową i jeździć karetą.

Kanonik w Białymstoku oczekiwał z daniem ślubu, rzecz była rozgłoszona. Księżna już tylko powtarzała:

— Panu Bogu podziękuję, gdy się to raz skończy.

Przybywszy do Wysokiego, rotmistrz naprzód musiał zdać relacyę o śmierci króla, potem słuchać, co tu projektowano, broniąc się przeciwko Czartoryskim i ich kandydatowi, naostatek w nagrodę za wszystko, co ucierpiał, księżna mu oznajmiła, że do ślubu wszystko gotowe.

Musiał dziękować.

— Na nieszczęście—dodała prędko—gdybym chciała waćpanu dopomódz i pannie, nie mogę. Czas kontraktowy się zbliża, wierzyciele niepoczciwi mnie cisną. Wiem, że waćpan byś darowizny ani wymagał, ani przyjął, alebym pożyczką choć służyła... cóż, kiedy jestem, jak turecka święta! Jesteś mężczyzną, masz przyjaciół, radź na razie, a potem i Koiszewska się udobrucha i starostwo się wyrobi.

Potrzeba było milczeć tylko i dziękować.

Panna Aniela, która zwykle wychodziła do salonu zaraz, gdy się o przybyciu rotmistrza dowiedziała, tym razem się nie pokazała, aż po nią posłano.

Zjawiła się wreszcie, ale z minką tak kwaśną, tak nadąsaną, zbywając czułego Tołoczkę chłodem, że nie wiedział na którą stąpić nogę.

Hetmanowa, widząc to, pomiarkowała, że najlepie ich zostawić samych, aby się rozmówić mogli. Wyszła do gabinetu.

Rotmistrz przystąpił, chcąc począć rozmowę obojętną; panna nie dopuściła.

— Mówiłeś pan z hetmanową?

— Tak jest—rzekł Tołoczko—i zdaje mi się, że się cieszyć mogę, bo wszystko co na przeszkodzie stawać mogło, usunięto.

— Wszystko? — ruszając ramionami niecierpliwie, wykrzyknęła panna—ale ja nie widzę nic. Ja nie mam wy-

prawy! To, co mi daruje księżna, ledwieby jakiejś łowczance starczyło. Nie będę miała w czem się pokazać...

Niech panna strażnikówna raczy to księżnie wytłumaczyć, że wyprawę trzeba całą robić nową, a więc na to i czasu pójdzie niemało. Będę się starał najgorliwiej, ażeby się ona pani podobała. Spodziewam się dostać pieniędzy, których na razie gotowych nie mam, moja siostra zajmie się wszystkiem... Ale—powtórzył—na to trzeba czasu, dużo czasu. Wesele zatem musi być odłożone, a odkładane rzeczy—westchnął—nie zawsze dobre.

Zamilkł; panna usta zagryzła i zżymnęła się podrażniona. Zamilkli.

— To coś nowego—zamruczała.

— Ale w tem nie moja wina—dodał Tołoczko.—Jeżeli księżna tem się zniecierpliwi, wszystkiego się wyrzecze i w tem wina będzie nie moja.

— A czyjaż? moja może?—oburzyła się panna Aniela.

— Na miłość Boga! niech-że się pani nie gniewa—zawołał Tołoczko—anim myślał, anim mówił, żeby to pani winną być miała.

— No to czyjaż?

— Przepraszam ale winna temu będzie pani strażnikowa—dokończył rotmistrz.

Aniela spuściła oczy.

— Wyprawę moglibyśmy zrobić po ślubie—dodał po chwili—pani byś naówczas sama nią pokierowała i choćby do Warszawy po nią pojechać.

— Wyprawa po ślubie—łyżka po obiedzie—rezolutnie odezwała się panna.

Tołoczko czekał wyroku. Spojrzała na niego; stał, jak winowajca, czekający wyroku.

— Prawdziwie, głowę tracę—zawołała Aniela.

— Ja pani moja, już dawno jej nie mam—szepnął Tołoczko.

— No, suponujmy—poczęła nagle strażnikówna—że wyprawę będziemy robić po weselu, chociaż to niesłychane, ale są rzeczy niezbędne, które ja do ślubu mieć muszę, naprzykład futro, no i rogówka, bo ja panu rotmistrzowi mówiłam, że bez rogówki do ołtarza nie przystąpię.

— Ale mnie się zdaje, że księżna pani rogówkę na siebie wzięła.

— Tak coś pono, jakby obietnicę czyniła, iż ją dostanie.

— Ja właśnie dwie po pani Matuszewiczowej napytałem—rzekł rotmistrz—i ceny ich przywiozłem.

— Księżna znajduje, że są bardzo drogie—dodała panna Aniela.

— To już nie moja rzecz o tem sądzić, a nawet troszczyć się o to—pośpieszył objaśnić Tołoczko.—Skoro księżna wzięła na siebie rogówkę, ja się jej ani tknę. Księżnaby to miała za złe.

Aniela skrzywiła się i jakby sama do siebie odezwała się stanowczo:

— Ja to tylko wiem, że bez rogówki, co się zowie, nie pójdę do ślubu.

— Więc już tylko o nią jedną idzie?—podchwycił Tołoczko.

Aniela skłoniła mu się i wyszła, nie mówiąc słowa.

Rotmistrz, będąc oddawna w stosunkach ze dworem hetmanowej, miał tu stosunki liczne; zapragnął przez nie się dowiedzieć, co wistocie księżna zamierza względem tej nieszczęsnej rogówki i spróbować czyby przez kogo na nią wpłynąć nie można. Do przyjaciółek Tołoczki należała panna Lewandowska, łowczanka bielska, która choć się nie pokazywała w Wysokiem i żyła w kątku, była u księżnej najlepiej położoną z całego fraucymeru. Zwała ją przyjaciółką.

Panna Lewandowska, gdyby nie wąsiki ciemne, które się jej wysypały przed laty kilkoma, byłaby mogła jeszcze uchodzić za wcale ładną brunetkę. Słusznego wzrostu, pięknie zbudowana, zdolności też miała niepospolite. Wyuczyła się z łatwością kilku języków, pamięć miała doskonałą, a że wszystkiego była ciekawą, o wszystkiem zawsze najlepiej była zawiadomioną.

Rotmistrz ujmował ją grzecznością, całował ją w rękę, czego drudzy nie czynili, nazywał ją łowczanką, gdy inni witali wprost: „jak się ma panna Lewandowska?” Był tedy w łaskach.

Rotmistrz poszedł do niej po obiedzie i zastał przy kawie.

— A! witam pana—zawołała z radością.—Słyszę, że byłeś przypadkiem przy śmierci króla, prawda to?

—Stałem przy drzwiach sypialni w czasie gdy zaszła ta katastrofa—rzekł Tołoczko.

Posypały się pytania, na które badany musiał odpowiadać i wkońcu panna Lewandowska miała relacyę jak najdokładniejszą, którąby do gazety posłać mogła.

— A panno łowczanko—wkońcu dorzucił rotmistrz-ja do pani po ratunek... Co ze mną będzie?

— Przecież ślub zapewniony?

— Ale mi moja panna stawia warunki i wymagania—rzekł rotmistrz.

— Jakie?

— Ma słuszność; potrzebuje futra na drogę do Białegostoku... i rogówki. Co do tej ostatniej zapowiedziała mi, że się bez niej nie ruszy.

Lewandowska śmiała się, wziąwszy w boki.

— Słyszałam o tem, bo podobno wszystkim to powtarza.

— A pani hetmanowa?—spytał Tołoczko.

— Pani hetmanowa—zniżając głos poczęła łowczanka—tak już jest znudzoną, tak zniecierpliwioną, że się lękam, aby wkońcu nie porzuciła wszystkiego.

— A! pani!—wtrącił rotmistrz.

— Nie bój się pan—śmiejąc się, dodała Lewandowska,—na to poradzimy. Najgorsza rzecz, że nie wiedzieć, gdzie rogówek szukać. Ze swojej garderoby nie może pani żadnej dać, a...

— Dwie jest na sprzedaż po pułkownikowej Matuszewiczowej, ja sam je targować jeździłem.

— Ja o tem wiem przecie — dodała panna Lewandowska—ale ceny są niesłychane. Rogówki używane.

— Tak, jak nowe, oglądałem je.

— Pan się na tem nie znasz, ja wiem nawet metryki obu rogówek — mówiła panna.—Rogówki używane, a ceny szalone.

— Choćby przyszło jedną przepłacić...—podszepnął rotmistrz.

— Niech Bóg uchowa—krzyknęła Lewandowska.—księżna niecierpi, gdy ją chcą eksploatować. Nie da grosza złamanego nad wartość.

— Jabym później dopłacił—rzekł Tołoczko.

— Pan-byś później dopłacił, a tu teraz zaraz trzeba zapłacić kilkadziesiąt dukatów... Księżna się klęła, że nie da tyle.

Załamał ręce Tołoczko.

— Cóż się stanie?

— Nie wiem, ale mogę zaręczyć, że ceny, jakiej żądają, hetmanowa nie zapłaci.

— Choć płacz!—zawołał rotmistrz.

— Cóż tu płacz pomoże?—odezwała się Lewandowska.

Po krótkiem milczeniu odezwała się do ucha poufale łowczanka:

— Nie pamiętam—rzekła,—żeby księżna była kiedy, od bardzo dawna, w takiem, jak dziś położeniu. Wydatki ma ogromne, drą ją na wszystkie strony, a tu nie wiedzieć skąd brać pieniędzy? U księcia w kasie pająki sieci snują. Posyłała do swoich dóbr,—odpowiedział Werzyński, że nie może dać nic, aż po Nowym Roku. Pożyczyć nie ma od kogo. Hetmanowa wszystkim się pozadłużała. Klejnotów na zastaw dać nie zechce za nic, a my monety kuć nie możemy.

— Rozstąp się ziemio—szepnął Tołoczko, który miał znaczny zapas desperackich wyrażeń.

— Żal mi waćpana bardzo—ciągnęła dalej Lewandowska,—aleś sam sobie kupił taki kłopot, że o większy trudno. Gdybyż panna miała rozum, przepraszam,—ale jej się zachciewa nie wiedzieć czego, a sądzi, że strażnikówna trock...

Nie dokończyła przez wzgląd na biednego Tołoczkę, który spuścił głowę i stękał.

— Co ja tu zrobię?—rzekł.—Gdybyś panna łowczanka była łaskawa starać się skłonić hetmanowę do nabycia tej rogówki.

— Widzę, że waćpan nie znasz naszej pani—odparła łowczanka.—Ma taką naturę, że gdy ją kto namawia na co, niezawodnie zrobi na przekór; powtóre mówię waćpanu, że pieniędzy nie ma. Naostatek powiada, że się nie chce dać obdzierać. Jeśli co jest do zrobienia —dodała panna,—to chyba dostać inną rogówkę.

— Gdzie? skąd?—zawołał rotmistrz,—to wprost niepodobieństwo!

Tołoczko tak był znękany, że łowczance żal się go zrobiło.

— Nie desperuj—rzekła,—księżna chce na swojem postawić przeciwko Koiszewskiej... więc jakoś się to złoży. Miej cierpliwość i trzymaj się w gotowości.

Tołoczko ucałował jej ręce, zaklął na wszystko i poszedł.

U hetmana była właśnie rada, do której go potrzebowano; wino stało na stole, wychylił spory kielich i trochę mu się lżej na sercu zrobiło.

Kraj cały był w takim niespokojnym ruchu i obawa najścia wojsk imperatorowej, o których kanclerz mówił otwarcie, iż dla zapewnienia ładu i spokoju były potrzebne, tak się wydawała groźną z powodu prowiantów, których im trzeba było dostarczać, że w ciągu dnia godzina nie przeszła, żeby hetman nie miał odwiedzin, lub listu nie odebrał.

Hetmanowie ściągali wojska. Możniejsze domy dopełniały swe milicye. Zbrojono się, jak do nadchodzącej wojny domowej. Z obu stron zawczasu sposobiono się do konfederacyi. Przezorniejsi z góry już prorokowali, że Czartoryscy, poparci przez cesarzową, wezmą górę i ich kandydat na tronie osiądzie.

Oburzało to wojewodę kijowskiego i hetmana Branickiego, którzy też mieli pewne na koronę widoki.

Jeżeli mógł ją posiąść Wiśniowiecki lub Sobieski, czemuż nie mieli oni?

Za Kurfirstem saskim mało co, albo nic nie przemawiało. Kalectwo jego zrażało, wspomnienie dwóch nieszczęśliwych panowań nie zachęcało do trzeciej próby.

Nie było tajemnicą dla wielu, że August II układał się z królem pruskim o rozerwanie Rzeczypospolitej i chciał ją połączyć z Saksonią, jako państwo dziedziczne

Dla silnego dotąd w Litwie domu Radziwiłłowskiego, który i teraz miał zająć stanowisko przeciwko Czartoryskim moment był stanowczy. Albo miał przyjść do znaczenia większego jeszcze dla pochwycenia władzy i przewagi na elekcyi albo... albo mógł zażedz wojnę domową.

Tu brakło nie sił, ani środków, ale głowy. Doradców Radziwiłł miał wielu, ale na własne zrozumienie położenia zdobyć się nie mógł. To, co chwilowo pochlebiało jego dumie, chwytał, choćby w przyszłości miało się stać szkodliwem. A na dobitkę, w tym czasie gdy najpotrzebniejsze było trzeźwe zapatrywanie się na wypadki, wojewoda biesiadował, bankietował i kraj zapełnił wesołą wrzawą. Po za nią nie słyszał nadchodzącej burzy.

Hetman, jaśniej widzący rzeczy, radził sobie, jak mógł. Do niego się zjeżdżano ze skargami, doniesieniami, z planami postępowania.

Tołoczko, przez cały wieczór tu pozostawszy, o własnym frasunku zapomniał.

Hetmanowa miała też wiele do czynienia. Stolnik litewski, którego imię, jako kandydata do tronu, już się słyszeć dawało, serce jej, a raczej głowę zajmował całą. Wydrzeć go wojewodzicowej mścisławskiej jakiemikolwiek środkami, było na teraz najgłówniejszem zadaniem. Zdawało się jej, że może tego dokonać. Miała już pewne wskazówki, oznaki pewne, iż nie była mu całkiem obojętną.

Wojewodzicową mścisławską oczernić i zniechęcić ku niej bardzo było łatwo, gdyż nikt mniej nad nią nie dbał o dobrą sławę. Niepodobieństwem było, aby stolnik nie wiedział o tem, o czem mówił świat cały.

Sprawa więc panny Anieli i pana rotmistrza Tołoczki schodziła na plan drugi... Przeciągnięcie odbierało jej urok.

Gdy panna Lewandowska łowczanka spróbowała potem zagadnąć ją o to, ofuknęła się niecierpliwie.

— A! dajcież wy mi pokój z tą strażnikówną! Już mi ona kością stoi w gardle. Żal mi tylko Tołoczki, ale kto mu winien, że sobie miłość do niej uroił?...

Lewandowska nie śmiała przeciągnąć o tem rozmowy.

Do obiadu przyszedł Tołoczko z miną, obudzającą politowanie, milczący i smutny, jak noc. Pokazała się i panna Aniela, dumna, kwaśna, milcząca także i ciągle to rumieniąca się, to blednicjąca. Nie tknęła obiadu.

Hetmanowa zapytała ją, czy nie chora.

— Nie, ale apetytu nie mam.

— Ktoś zażartował, że odzyska go po powrocie z Białegostoku.

— A — przerwał hetman, usłyszawszy to—kiedyż jedziemy do hetmana?

Księżna chwileczkę się zadumała.

— W początku przyszłego tygodnia—była odpowiedź.

— Ja także towarzyszyć będę—dokończył Sapieha.

Panna Aniela słuchała i musiała liczyć dni. Była to sobota, a początek tygodnia, z ekskluzyą poniedziałku, jako dnia do podróży feralnego, przypadał we wtorek.

— Ciekawam—pomyślała—skąd tak rychło wezmą rogówkę?

Może i Tołoczce przyszło toż samo na myśl, oczyma strzelił ku pannie, ale się z jej wejrzeniem nie spotkał. Trzymała oczy wlepione w tulipan żółty, odmalowany na talerzu z saskiej porcelany, który stał przed nią.

Przez cały ten dzień strażnikówna czuła się straszliwie zapomnianą, opuszczoną, nikt się do niej nie zbliżył, nie zagadnął o nic, nie zajmował jej losem. Rotmistrza po obiedzie zabrał hetman z sobą.

W niedzielę na sumę wszyscy jechali do kościoła. Koiszewska przybywała tu zwykle także, a od czasu zajścia z księżną tem gorliwiej, aby się ludziom nie zdawało, że się jej boi albo unika.

Siedziała w jednej z pierwszych ławek i nie chciała widzieć ani księżnej, ani córki, bo oczyma manewrowała tak, aby się z niemi nie spotkać.

Właśnie tej niedzieli ksiądz dziekan wychodził ze święconą wodą pobożnych pokropić i pobłogosławić, gdy Koiszewska swe miejsce zajęła.

Panna Aniela, która też niby nie patrzyła na matkę,

zobaczyła nietylko ją w bardzo pięknej szubce sobolowej, o której wiedziała, że dla niej niegdyś była przeznaczoną, ale przy niej małą Skrzyńską tak wystrojoną... przybraną w atłasy, kuny, w czapeczkę złocistemi sznurkami naszywaną, że wszystkich oczy pięknością swą i smakiem, z jakim ubraną była zwracała...

Zazdrość ścisnęła jej serce... łzy piekące zakręciły w oczach... Ona nie miała nawet mizernej rogówki... księżna, która tyle jej obiecywała, znajdowała zadrogą tę, którą stręczono! Jeżeli tak mały wydatek ją zrażał, jakichże się dobrodziejstw spodziewać było można?

Myśli te i pokrewne im tak opanowały pannę że ani się spostrzegła, gdy prześpiewano suplikacye i dwór cały począł wychodzić, zabierając się do powozów, aby na zamek powrócić.

Przechodząc, rzuciła okiem ku ławce matki, ale ta już była próżną. Strażnikowa wyszła wcześniej.

Gniewna i nadąsana ciągle panna Aniela przez cały dzień tak unikała Tołoczki, że mu z sobą mówić nie dała i bardzo wcześnie wróciła do swego pokoiku.

Tu się jej na łzy zebrało, a w sercu towarzyszył im ku wszystkim gniew taki, iż się uspokoić nie mogła.

Z rozmowy przy stole, i z tego, co mówiła służba, dowiedziała się, że wyjazd do Białegostoku naznaczony był na wtorek. Zostawał tylko poniedziałek, a o rogówce mowy nie było. Tego już było zanadto!

Nad rankiem, nie mogąc zasnąć, panna Aniela usiadła na łóżku, podparła się na łokciu, otarła oczy, dumała długo, zmarszczyła brwi groźnie... i powziąwszy jakieś postanowienie, nagle rzuciła się na poduszki.

Sen, jakby na to czekał, powieki jej zamknął i nie obudziła się już, aż na śniadanie wołać poczęto.

Ubrała się z pośpiechem wielkim i zbiegła na dół do salki, w której się hetmanową spotkać spodziewała.

Wistocie siedziała ona tu jeszcze po wypiciu czekolady, dając rozkazy do jutrzejszej podróży, ale do Anieli nie zwróciła się nawet.

Strażnikówna, ledwie w swej kawie umoczywszy usta, czekała.

Jakby umyślnie porozchodzili się wszyscy... pozostały same. Księżna się obejrzała dokoła.

— Toaleta dla waćpanny gotowa—rzekła,—oglądałam ją sama jest bardzo ładna i gustowna.

— Bardzo za nią dziękuję, księżnie pani—odezwała się z odwagą wielką panna Aniela—ale się ośmielam spytać co będzie z rogówką? Ja bez niej do ślubu nie stanę?

Posłyszawszy wspomnienie o rogówce, księżna się porwała, jakby ją co ukąsiło.

— Nie potrzeba rogówki do ślubu—zawołała.—Zresztą w Białymstoku ja się postaram o pożyczenie u hetmanowej, ale żebym miała tę fantazyę waćpanny przepłacać—nigdy w świecie! nigdy!

Słowa te wymówiła żywo i nie czekając na odpowiedź zaczęła iść ku drzwiom... Strażnikówna stała tak zbladła, iż zdawało się, że padnie.... ale w oczach jej czarnych zapłonął ogień; połyskiwały czerwonym blaskiem.

— To ostatnie słowo pani hetmanowej?—odezwała się podniesionym głosem.

— Ja nie mam ostatniego, bo zawsze mam tylko jedno—odparła dumnie Sapieżyna i wyszła.

W salce nie było nikogo. Zatrzymała się nieco jeszcze strażnikówna, zebrała całe swe męstwo i krokiem powolnym, ale pewnym wyszła wprost do swojego mieszkania. Tu stanęła, namyślając się raz jeszcze, potrząsnęła głową i napowrót opuściwszy swoją izdebkę udała się do mieszkania panny Lewandowskiej.

Wiadomo było, że kto miał coś do żądania od księżnej, lub chciał jej co donieść w godzinach, gdy nie była przystępną, czynił to za pośrednictwem panny Lewandowskiej.

Zobaczywszy wchodzącą tak zmienioną, iż się czegoś strasznego dowiedzieć spodziewała, łowczanka wstała na jej przywitanie.

— Co pannie strażnikównie? chora jesteś?—zapytała śpiesznie.

— Nie—zaczęła panna Aniela,—proszę mnie tylko posłuchać. Widzę, że jestem wielkim ciężarem dla pani hetmanowej. Jutro mamy wyjeżdżać do Białegostoku, mnie

braknie wielu rzeczy, bez których w Białymstoku wstydby mi się pokazać było. Widzę, że najmniejszy wydatek jest pani hetmanowej dla mnie trudnym. Nie mam łaski. Z tych wszystkich pobudek, prosiłabym pani, abyś odemnie oświadczyła, że ja nie jadę do Białegostoku, ale powracam do matki. Gotowam jechać choćby natychmiast!

Panna Lewandowska słuchała zdumiona i wysłuchawszy do końca, zamruczała:

— Muszę uprzedzić pannę strażnikównę, że gdy się hetmanowa raz o tem dowie, wszystko skończone i już odmienić się nie da.

— Ja też wcale zmieniać postanowienia nie myślę i pakuję się do drogi.

Powiedziawszy to, dygnęła zlekka i wyszła, drzwiami rzucając za sobą.

Panna Lewandowska, jak stała choć poczęła była włosy rozplątywać, narzuciła na nie chustkę i pobiegła do hetmanowej.

Księżna siedziała w fotelu, mając przed sobą papiery, a w progu faktora Chaimka, eleganta w nowiuteńkiej jarmułce.

Zobaczywszy wpadającą tak obcesowo Lewandowką, zmarszczyła się.

— Pilny—bardzo pilny interes!—zawołała łowczanka. Chaimek pochodzi po korytarzu.

Faktor czemprędzej zniknął za drzwiami.

— Panna Aniela tylko co wyszła ode mnie—poczęła Lewandowska. — Prosiła, abym oświadczyła księżnie, iż nie jedzie do Białegostoku, ale prosi o konie i powraca do matki.

Księżna się tak mało spodziewała czegoś podobnego, iż zrazu zdawała się nie rozumieć.

— Słowo daję, wraca do matki!—powtórzyła łowczanka.

Gniew przebiegł po twarzy pięknej pani, usta już rozpoczynały coś bełkotać bez namysłu, ale po małej rozwadze krzyknęła podniesionym głosem:

— Bardzo dobrze, niech ją sobie wywiozą! Rada jestem, że się zbędę tego ciężaru z głowy. Powiedz,

dysponuj, niech ją fornal który na sanie wsadzi i uwolni mnie od tej nieprzyjemnej załogi. Proszę cię, poślij po Tołoczkę.

Księżna, chociaż zaręczała, że rada jest pozbyć się tego ciężaru, przez czas jakiś siedziała pomieszana; nie powołała nawet Chaimka, który marznął w korytarzu.

Lewandowska tymczasem wyprawiła dwóch lokajów w dwa przeciwne końce po Tołoczkę, spodziewając się, że jeden z nich go gdzieś wyszuka.

Nie była to rzecz trudna, bo rotmistrz z innymi dworzanami i wojskowymi siedział jeszcze przy śniadaniu.

Na dany mu ordynans, którego tu wszyscy pilniej słuchali, niż rozkazów samego hetmana, chwycił za czapkę i ruszył do pałacu.

Księżna stała w rannym szlafroczku, bardzo jej do twarzy będącym, widocznie podrażniona i niecierpliwa.

— Wiesz waćpan nowinę?—zapytała żartobliwie niby, ale w głosie mając gniew stłumiony.

— Nie wiem, m. księżno.

— Panna strażnikówna trocka rozmyśliwszy się dopiero teraz, osieroca nas i powraca do matki.

Klasnęła w ręce ze śmiechem.

— Nieprawdaż, że nowina nad nowinami!

— Ale jakże to może być?—pytał, jakby odurzony rotmistrz.

— Jest, jak waćpanu powiadam,—powraca do matki!

Zamyślił się głęboko Tołoczko. Wielkiego żalu po nim znać nie było, owszem oddychał jakoś swobodniej. Szło mu o to tylko, jak wypadało postąpić. Westchnął z głębokości swych szerokich piersi.

— Muszę pójść dowiedzieć się—rzekł cicho i nieśmiało.

— I pożegnać—dodała hetmanowa—bo to pewna, że gdy odjedzie raz, ja po nią więcej nie poślę.

Usiadła księżna, a Tołoczko pobiegł do znanego mu dobrze mieszkania strażnikównej. Drzwi stały napół otwar-

te. Panna Aniela chodziła żywo po pokoju; słysząc kroki odwróciła się. Tołoczko witał ją ukłonem.

— Czyż to może być—wyjąknął powoli,—co mi pani hetmanowa oznajmiła.

— Że ja powracam do matki?—przerwała panna Aniela.—Tak jest. Jeżeli mi pan chcesz wyświadczyć grzeczność, proszę się wystarać o konie... Sądzę, że to przyjdzie łatwiej, niż kupienie rogówki.

To mówiąc, ukłonila się szydersko a uniżenie.

— Panno strażnikówno—zawołał rotmistrz przejęty żalem jakimś po niewczasie—niech się pode mną ziemia zapadnie, jeżelim jam w tem co zawinił.

— Ja pana nie obwiniam, ani wogóle nikogo—odparła panna.—Nie mamy się o co spierać, nie mamy mówić o czem, ja wyjeżdżam... i żałuję tylko, żem tego wcześniej nie zrobiła... Żegnam pana!

Rotmistrz spróbował raz jeszcze się tłumaczyć, panna powtórzyła:

— Żegnam pana...

Wyszedł więc zrozpaczony.

Nagłe to postanowienie panny Anieli, gniew hetmanowej, desperacya Tołoczki, wszystko, czego ukryć nie było podobna, piorunem poszlo z ust do ust, a że w Wysokiem było dosyć próżniaków, którzy na przeżuwaniu plotek czas trawili, posypały się komentarze, złośliwe sądy i przekąsy.

Panna Lewandowska, stateczniejsza niż inni, chociaż odebrała rozkaz, aby fornal wywiózł pannę do matki jakby mierzwę na pole, nie myślała tego w gniewie rzuconego wyroku spełnić. Byłoby to przeciwko hetmanowstwu oburzyło całą szlachtę.

Panny Anieli, która z ufnością oddała się kniężnie, poświęcając jej matkę, nie godziło się tak zbywać pogardliwie.

Widziała, gdy rotmistrz wbiegł do strażnikównej i jak odprawiony krótko, trzymając się za głowę, odchodził zdesperowany. Pośpieszyła naprzeciwko niego, dając mu znaki. Tołoczko podszedł.

— Wiesz pan rotmistrz na czem się skończyło? — spytała.

— Wiem, na rogówce!—zawołał żartobliwie Tołoczko—wiem....

— Wszystko to przez waćpana amory, panie rotmistrzu—mówiła dalej Lewandowska.

Chciał się tłumaczyć, nie dała mu przyjść do słowa.

— Księżna pannę wprost na furze wywieźć kazała do matki—ciągnęła łowczanka—ale to się tak powiedziało w gniewie; obowiązkiem jest waćpana, aby choć przyzwoicie się stąd dostała do matki, aby ją kto odprowadził.

— Ale któż? ale jak?—począł jąkać rotmistrz —co ja tu poradzę?

— Nie wiem, co poradzisz—odparła Lewandowska, —ale to wiem, żeś radzić powinien.

I widząc Tołoczkę bezprzytomnego prawie, trącego, sobie czupryne i łamiącego ręce naprzemiany, spytała:

— Jest kto u hetmana?

— Jakto, czy jest?—zawołał Tołoczko.— Ścisk jak na kiermaszu, wrzawa!

— Kto tam jest? Może się znajdzie ktoś z przyjaciół strażnikowej, coby córką się zajął.

Nie odpowiadając na pytanie, rotmistrz wykrzyknął tylko... Pocałował ją w rękę i puścił się do hetmana.

Tu wistocie były bardzo burzliwe narady o kapturach, o elekcyi, o ludziach, którzy w tych ciężkich czasach na czele powiatów stawać mieli. Nie około hetmana, ale około słynnego w owych czasach, czynnego i przebiegłego Marcina Matuszewicza gromadziło się to koło improwizowane. Był to brat pułkownika, którego rogówka, drogo oceniona, taką wywołała burzę.

Pan Marcin był zdawna przyjacielem domu strażnikostwa, tak jak niezliczonych innych rodzin, którym rozum mem i stosunkami służył.

Tołoczko z największą trudnością wydobył go z zastołu, zaparł do kąta i gorąco, ale zwięźle powiedział mu wypadek cały.

Matuszewicz nie potrzebował zachęty, ani prośby,

ażeby się ująć za sposponowaną strażnikówną. Posłyszawszy, jak rzeczy stały, skoczył, szukając czapki.

Nie miał on nabożeństwa do księżnej i może mu na rękę było z nią się rozprawić! Pobiegł do niej.

Hetmanowa, która jeszcze gniewu nie wydychała, domyśliwszy się, o co szło, przyjąć go nie chciała. Począł tak hałasować w przedpokoju, że mu drzwi otworzyć musiano.

Z Matuszewiczem sprawę odrazu za przegraną było można uważać.

— Przychodzę do W. K. Mości—odezwał się— w interesie mojej przyjaciółki, pani strażnikowej, która córkę swą powierzyła opiece W. K. Mości. Co zaszło w to nie wchodzę, ale szlacheckiego dziecka, tak na furce z parobczakiem do domu odesłać się nie godzi. W. K. Mość masz zapewne więcej przyjaciół, niż sobie niechętnych, ale ich sobie przyczynić w tej chwili nie byłoby politycznem.

— Karetę mam jej dać?—podchwyciła księżna złośliwie.

— Nie byłoby to nic nadto od pani hetmanowej i księżnej Sapieżynej – rzekł Matuszewicz, – ale panna Aniela nie potrzebuje ani karety, ani wozu, bo ja mam z sobą landarę, którą ją zabiorę, a pod rzeczy furę najmę. Przyszedłem tylko o tem oznajmić W. Ks. Mości.

Zmieszana mocno, stała księżna, pierścionki przesuwając na palcach.

— A jeżeli książę hetman czasu tych zawikłań, teraz, nie będzie mieć za sobą szlachty—dodał,—czego się lękam, niech księżna nie przypisuje tego czemu innemu, tylko, tylko....

— Rogówce brata waćpana—przerwała pogardliwie hetmanowa.

— Tak jest—zakończył Matuszewicz.—Kupi ją teraz Koiszewska na pamiątkę ocalenia córki, bo to prawdziwy cud, że się i panna i posąg nie dostała staremu, poczciwemu Tołoczce, któremu nie żony potrzeba, ale pieniędzy i ciepłego pieca, za którymby siedział.

Matuszewicz dobył śpiesznie zegarka, popatrzył nań i pokłon złożywszy, cofnął się ku drzwiom, a księżna się na odpowiedź nie zebrała.

. . . .

Smutno było w Kuźnicy u pani strażnikowej trockiej od czasu, gdy ją córka niewdzięczna opuściła dla księżnej hetmanowej. Żywa zawsze, czynna, odważna Koiszewska chodziła teraz tak w myślach pogrążona, że panna Szklarska, która przez miłosierdzie siedziała przy niej, nie mając odwagi zostawić samą, często po trzy i więcej razy musiała ją pytać o coś, nim się doczekała odpowiedzi. Zabawiała ją jak mogła i umiała, sprowadzała gości, wymyślała nabożeństwa, tworzyła plotki, mogące odwrócić jej myśli od córki, — nic to wszystko nie pomagało.

Czasami Koiszewska próbowała się przywiązać do małej Skrzyńskiej, brała ją na kolana, pieściła, sadzała przy sobie, ale to obce dziecko, zamiast przynieść jej pociechę, ściągało wspomnienie o Anielce, gdy dzieckiem była.

Szklarska wkońcu powiedziała sobie, że na choroby wielkie i lekarstw silnych potrzeba. Wpływ namaszczonego słowa zdawał się jej jedynym sposobem mogącym tę krwawą ranę zagoić.

Żył naówczas niedaleko od Białegostoku w klasztorze mnich znany z pobożności i życia ascetycznego, o którym cuda opowiadano. Jedni go za świętego mieli, drudzy za kacerza,—to tylko pewna, że staruszek miał dar słowa porywający, władzę nad sercami ludzkiemi, którą Bóg obdarza tylko wybranych. Żył starzec ten na świecie ale oderwany od niego, nie szacując wcale tego, co świat cenił najwyżej, w ludziach widział tylko ludzi, pastucha stawiając narówni z najdostojniejszymi dygnitarzami Rzeczpospolitej.

Obawiano się go, bo na nic względu nie miał, a z ust płynęła mu prawda nigdy niczem nie osładzana. Ale dla biednych, cierpiących, utrapionych i łzawych słowo pociechy wychodzące z jego serca, było balsamem. Umiał

pocieszać, a położywszy często ręce, gdy nieszczęśliwego pobłogosławił, leczył go cudownie. Mówiono o przykładach takich, iż ci, co szli do niego oszaleli rozpaczą, wracali z wesołym uśmiechem rezygnacyi. Prostaczkowie zarówno, jak i ci, co się mądrością chwalili, korzyli się przed nim i kraj szaty całowali z wdzięcznością.

Szklarska miała to szczęście, że go znała i że był dla niej względnym. Przyszła jej trochę dziwna myśl szukać ratunku dla strażnikowej u starego pobożnego mnicha.

Pojechała do klasztoru, z wielką trudnością dostała się do celi za pozwoleniem przełożonego i znalazła mnicha zatopionego w czytaniu św. Bernarda.

Popatrzył na nią chwilę.

— Cóż cię to tu, moje dziecko, do mojej celi ściągnęło? — zapytał.—Nie prosta ciekawość pewnie ani tęsknota po mnie. Boli cię co?

— Mój ojcze—odparła żywo Szklarska,—dla siebiebym was nie trudziła, bo nie godzi się świętych ludzi niepokoić dla lada dolegliwości, ale posłuchajcie mnie ojcze.

I Szklarska poczęła mu opowiadać historyę Koiszewskiej i jej dziecięcia. Stary słuchał, czasami tylko poruszając zlekka ramionami, lub w górę podnosząc oczy.

— Czegóż ty chcesz ode mnie?—rzekł.—Czas tę ranę uleczy... Smutne to, zaprawdę, żeśmy dożyli tego, iż ostatni węzeł, co trzymał rodzinę miłość dla rodziców, poszanowanie ich, potargane zostały. Ale wie Bóg, dlaczego przechodzimy próbę wielką.

— Mój ojcze, mój ojcze—całując ręce, dodała Szklarska—wybyście ten ból mojej poczciwej przyjaciółki jednem słowem uleczyć mogli, bo twe słowo cuda sprawia.

— Milcz!—zawołał mnich..—Nie moje słowo, ale moc Boża czyni cuda! W niegodnem naczyniu Bóg często łaskę swą mieści.

— Ojcze, uczyń łaskę!—rzucając mu się do nóg, dokończyła Szklarska, — pojedź do niej ze mną. Zgrom ją pociesz, ulecz, niech o dziecku niewdzięcznem

zapomni. Ma na wychowaniu pokrewną dzieweczkę, do niej się przywiąże, zastąpi jej córkę.

Mnich spojrzał na nią z góry.

— Jakże z twego słowa czuć, żeś ty ani serca matki, ani dziecka nie miała. Cóż może straconą miłość zastąpić?

Klęczała u nóg mnicha Szklarska, poszła potem do przełożonego, wróciła do niego, błagała, aż nakoniec przyrzekł jej jechać.

Nazajutrz na prostym wozie, z różańcem w ręku, starzec jechał do Kuźnicy. Wiedziano tam już, jakiego Bóg miał dać gościa. Czekała na ganku strażnikowa.

Wprost tedy z wozu poszedł z nią i z domownikami przed obraz N. Panny dla odprawienia modlitwy i litanii. Siedli potem dokoła starca, słuchając natchnionego słowa jego.

Miał łzy w oczach i ręce mu drżały, zdawał się duchem gdzieś błądzić daleko. Do Koiszewskiej nie mówił o niej, nie starał się jej pocieszać, przecież słowa jego napozór obojętne, sprowadzały spokój i dusza znękana czerpała w nich ochłodę i siły.

— Płyną łzy wasze—mówił—i cierpią serca i trwożą się dusze, boć przyszedł czas, gdy narody całe, jak Chrystusa na górze Oliwnej, ogarnia trwoga wielka, albowiem nadchodzi godzina próby i męczeństwa.

Patrzcie na te znaki czasu! Oto rodzice się wyrzekają dzieci, a dzieci wyłamują z pod błogosławionej władzy tych, co im dali życie. Na nasze suknie plwają ci, co nas nie znają... walą się kościoły... a podnoszą pod niebiosa domy rozpusty, pałace i domy tego rozumu i nauki, która pokory pozbawiona, ślepa—wkrótce tylko siebie znać będzie... choć jej starsze siostrzyce wszystkie równie mądre, dziś prochem i śmieciem leżą w mogile.

Płaczcie, bo łzy te zdrowe są, a kto płacze, ten nie bluźni...

Co znaczy strata jednego, choćby najdroższą perłę utracił, gdy tu cała ludzkość straciła ewangelię, którą im przyniósł Chrystus... Jesteśmy, jak Izraelici na puszczy,

modlimy się znowu złotemu cielcowi i cielcom żywym, w purpurę poodziewanym.

Wyście stracili córkę?... ale ludzie na długie wieki stracili światło i chodzić będą w ciemnościach, stracili wodzów, rozpędzili kapłanów i zaprowadzili równość między sobą, nie żeby siebie podnieśli, ale żeby wysoko stojących poniżyli, a pod pozorem swobody—ogłosili swawolę królową i ustanowili prawa, gdy najświętsze Boże z serc swych wygnali.

Mówicie, że córka odeszła od was dla wielkiej pani, co się jej losem zająć przyrzekła... a nie czuła tego, że ta, co dziecię matce wydziera, nic dobrego uczynić nie może, bo nie ma serca.

Wielkości nasze stały się wzorami zepsucia, wodzowie prowadzą do prz paści... Ubogi tłum łaknie bogactw, co trują i jutro łupieżą się ich dopomni... Znaki to straszne na ziemi... a nim te kwiaty się rozwinęły, jakaś zgnilizna musiała do wykarmienia ich zbierać się wiekami.

— Płaczesz moje dziecko,—mówił, obracając się do strażnikowej—ależ my wszyscy we łzach tonąć powinni, bo to, co się stało z wami, jutro spotka wszystkich i nie zechce nikt szanować ani siwego włosa, ani rozumu, ani cnoty, ani potęgi ducha czerpanej z Boga i powiedzą, że równi są wszyscy... Pocóż posłuszeństwo, gdy niema już poszanowania żadnej władzy i gdy niema Boga? Na nasz ten kraj powódź grzechu spłynęła z gór, zdala, z za granic naszych spokojnych. Wielkie wody muł i kał niosą zawsze... ale na nich potem wejdzie nowe ziarno Boże. Bóg cierpliwym jest, bo jest wiecznym.

Strażnikowa słuchała i płakała, ale na sercu jej lżej było; przynajmniej dziecię jej nie było jedynym potworem, ale biedną słabą istotą, którą prądy porwały.

Zdawał się mówić rzeczy niezrozumiałe dla prostaczków, ale mocą jakąś jego słowa otwierały głowy i serca... prawda wchodziła w nie.

Wśród tych przerywanych narzekań proroczych, uciszyło się... wiatr jakiś powiał w podwórcach, stary mnich głos zniżył, umilkł. Czekał na coś.

Szklarska pierwsza posłyszała turkot powozu i głosy

w ganku... Ona i strażnikowa domyślały się jakiegoś gościa i strwożyły, lękając się, aby nie przerwali mnichowi jego namaszczonego nawracania i nie zamknęli mu ust.

Szklarska nie miała czasu wstać, aby zapobiedz najściu natrętnemu, gdy drzwi otwarły się szeroko i poważny Matuszewicz ukazał się w nich, prowadząc za rękę Anielę.

Na widok jej Koiszewska krzyknęła, porwała się, jakby uciekać chciała i nie miała siły ruszyć się, a strażnikówna tymczasem przypadła do jej kolan i objąwszy je, łkać i płakać poczęła.

Koiszewska, która chciała odepchnąć niewdzięczną, spojrzała na starego mnicha. Modlił się, ręce złożywszy. I jej ręce się rozłożyły i wyciągnęły ku dziecku. Pochwyciła ją za głowę, namiętnemi okrywając pocałunkami.

Starzec błogosławił, powstawszy.

— Wraca owieczka zbłąkana do zagrody—zawołał,— niech się jej otworzą wrota i serca! Przebaczcie jej, jako chcecie, aby wam Bóg przebaczył!

Matuszewicz, pobożny bardzo, dopiero zobaczywszy mnicha, którego czcił oddawna... rzucił się do rąk jego, całując je.

— Ojcze, was tu chyba łaska Boska na ten dzień i godzinę nam zesłała... Nakażcież zgodę i zapomnienie winy.

Starzec nieco się cofnął przed natarczywością swojego wielbiciela.

— Piękne słowa wasze—rzekł z goryczą—nie zbywa na wymowie wam, ani na przenikliwym wzroku, gdy w cudzą duszę patrzycie. Zajrzyjcież we własną. Któż to te dzieci nieposłuszne stworzył, jeśli nie kłótliwy żywot wasz... nie chciwość wszystkiego, co znikome, a zapomnienie o tem, co wieczne? Któż ojcem rozpusty, jeżeli nie ci wasi elektowie, których dwory stały otwarte, jak szynkarnie, aby naród rozpojony rozum utracił? Mieliście cnotliwego Leszczyńskiego i pchnęliście go na wygnanie, bo wam smakowała bezmyślna rozpusta. W kraju ludzie polowali na ludzi.

— Ojcze—przerwał obrażony Matuszewicz—nie myśmy to poczęli....

— Aleście wy dokończyli—rzekł starzec—a teraz, gdy wstrzymać zechcecie zepsucie i pożądacie ładu i zapragniecie spokoju, miłości i zgody... nie znajdziecie ich!

Wtem nagle wstrzymał się starzec, siadł podparł na ręku i w piersi uderzył.

— Wina moja—rzekł, —nie prorokujmy złego, Bóg wielki i miłosierny. Oto widzimy przykład... zesłał pociechę sercu matki.

To mówiąc wstał, wyprostował się, oczy podniósł ku niebu, począł się modlić pocichu... i błogosławił ręką, zwracając ponad głowy i zatrzymując ją, jak gdyby z niej płynęła odżywiająca moc, gdzie jej więcej było potrzeba.

Wszystko potem w jakiemś błogiem uspokojeniu przetrwało czas długi, nie śmiejąc ni ust otworzyć, ni oczów podnieść, a gdy gospodyni wreszcie wsparta na ramieniu córki, chciała się poruszyć, aby pójść starcowi dziękować, bo jego modlitwie swe szczęście przypisywała... krzyknęła przestraszona—mnicha już między niemi nie było...

Z kijem w ręku szedł nazad do swego klasztoru.

KONIEC.

San Remo 1886.

